



KINGA FACON

SAMULKA

*Gdzieś jest wiara, nadzieja i miłość,
które nadają życiu sens*

10 LAT
WYDAWNICTWA
OTWARTEGO

KINGA FACON

SAMULKA



OTWARTE

KRAKÓW 2016

Ewka konewka

Spadła z drzewka

Na kamyczki!

I potłukła sobie cycki!

To zadziwiające, jak taka głupia przedszkolna wyliczanka dokuczanka może zapaść człowiekowi w pamięć. I w serce. I jak może ciągle boleć. Nadal, po prawie trzydziestu latach.

Ewka konewka. Wiadomo, mam na imię Ewa. Ale dlaczego akurat konewka? Czy te potwory miały za małe rozumki, żeby wymyślić coś ciekawszego? Chociażby Ewka panewka. Albo Ewka rzodkiewka. No dobra, nie ma co się oszukiwać, nie w konewce problem. I nie w drzewku. Nawet kamyczki mogą być. Ale dlaczego „potłukła sobie cycki”? I to przy całym przedszkolu?

Zwykle rozumiem mniej więcej normalnie, ale czasami wydaje mi się, że to przez tę głupią wyliczankę mój biust jest, jaki jest, czyli właściwie go nie ma. A może to jednak geny? Może po prostu mam biust po tacie. Mój tata jest drobny, smukły, zwinny, niewysoki, inteligentny, przystojny, ale – co tu kryć – biustu nie ma. Szkoda, że nie odziedziczyłam figury po mamie. To znaczy odziedziczyłam, ale od pasa w dół. Też szkoda. Mam na czym usiąść, a moje nogi... Szkoda. Szkoda gadać.

Przynajmniej tyle mi się udało, że nie odziedziczyłam po rodzicach cech osobowości, bo miałabym schizofrenię na bank. I kłóciłabym się z sobą całymi dniami i nocami. Może nawet w końcu rozwiodłabym się z sobą.

A wracając do mojego biustu, to nie ma co owijać w bawełnę. Ani w nic innego. Najchętniej ubierałabym się w tekturowe pudło, takie z nalepkami OSTROŻNIE! i TRZYMAĆ PIONOWO.

Z rozpaczą odłożyłam na półkę nowy biustonosz, który kupiłam zwiedziona uśmiechem modelki na opakowaniu. Pomyślałam, że w tym staniku też będę miała taki biust i uśmiech. Ale gdzie tam! Od razu zaczął uwierać, wytrzymałam w nim tylko dziesięć minut. Z braku odpowiedniego pudła włożyłam luźną bluzkę, na to kamizelkę, a całość przykryłam wzorzystą indyjską chustą. Nie spojrzałam w lustro. Po tylu latach człowiek już wie, jak wygląda, po co sobie głowę zawracać.

Zresztą czy wygląd naprawdę jest taki ważny? Jestem najlepszym przykładem, że nie. Mój wygląd naprawdę dla nikogo nie ma znaczenia. No dobra,

przesadziłam. Czasem któryś z maluchów woła: „Ale pani jest piękna!”. Przeważnie wtedy, gdy zapomnę spiąć włosy. Dzieci są dziwne.

Ale i tak rzadko je widuję. Jestem księgową. Tak wyszło. Niestety.

Wczoraj długo rozmawiałam z Anią. Ania jest ruda, ma nawet piegi na nosie, ale jest urocza. Wszyscy ją kochają. Oczywiście najbardziej jej mąż, przystojny lekarz.

Ania przekonywała mnie, że nawet księgowa jest ważna i potrzebna. Łatwo jej mówić, ona swoją pracę uwielbia. Jest nauczycielką z powołania. Zazdroszczę jej. Ja nie mam powołania ani do księgowości, ani do niczego innego. Jednak według Ani jako księgowa też mogę cieszyć się życiem. Dobry żart.

– Ewuniu – przekonywała mnie wczoraj – przecież bez ciebie przedszkole nie mogłoby funkcjonować. – Wyobraź sobie, jakie zrobiłoby się zamieszanie, gdybyś przez tydzień nie przychodziła do pracy. Wszyscy byliby zrozpaczeni.

Wyobraziłam sobie. Rozkoszny obrazek: moja szefowa z czerwonym nosem i czerwonymi oczami szłocha przy biurku, w progu stoją roztrzęsione kucharki, na zapleczu odbywa się nerwowa narada sprzątaczek. A nad tym wszystkim niczym dym pożarów unosi się żaloszny jęk dzieciaków i wychowawczyń: „Aaa! Nie ma pani księgowej! Aaa!”. Aha, pewnie. Gdybym przestała przychodzić do pracy, zatrudniono by inną osobę (na pewno bardziej kompetentną!). I nikt by nie zauważył, że coś się zmieniło.

– Nie pocieszaj mnie – mruknęłam. – Albo nie. Pocieszaj, pocieszaj.

– Nie pocieszam. Po prostu przedstawiam ci sytuację.

Ale to było wczoraj, a teraz zaczyna się nowy dzień, czekają na mnie nowe wyzwania, świat stoi przede mną otworem i... jak to szło? Aha, przyszłość jest jasna, radosna i pełna nadziei. I mam ochotę natychmiast wrócić do łóżka, wleźć pod kołdrę i zwinąć się w kłębek.

Dotarcie do pracy zajmuje mi zwykle piętnaście minut, jeśli idę pieszo, albo pół godziny, jeśli jadę na rowerze. To dlatego, że kiedy idę, muszę się spieszyć, żeby zdążyć na czas, a na rowerze jestem szybsza, więc mogę sobie pozwolić na turystyczne rundki i inne ekstrawagancje. Na szczęście zaczynam pracę o dziesiątej, a nie o tak nieprzyzwoitej godzinie jak, powiedzmy, ósma. Tym razem zdecydowałam się na marsz. Trudno, obejdę się bez wizyty w cukierni czy kwiaciarni. Szłam energicznie, spódnica owijała mi się wokół nóg, chusta spadała z ramion. Nagle dotarło do mnie, że znów zapomniałam zamknąć drzwi na klucz. Po raz już nie wiem który. Zatrzymałam się i bezradnie obróciłam wokół własnej osi. Co robić? Wracać? Spóźnię się do pracy. Iść jak gdyby nigdy nic? Tak chyba będzie najlepiej. Pójdę jak gdyby nigdy nic. A jeśli po powrocie zastanę mieszkanie splądrowane przez złodziei, uznam, że o to mi chodziło, bo miałam w domu za dużo rzeczy, a za mało przestrzeni.

Idąc, zastanawiałam się, czego będzie mi po rabunku najbardziej brakowało.

Raczej niczego. No, mogliby mi zostawić serwis do kawy. Chociaż jedną filiżankę.

Przed wejściem do przedszkola zatrzymałam się, by zerknąć na marcinki rosnące wzdłuż alejki. O ja cię... Wyglądają, jakby patrzyły na mnie i się uśmiechały. I wtedy stało się to, co musiało się stać. Spadła na mnie ciemność – stara wredna znajoma. Wszystko zasnuło się cieniem. Marcinki zszarzały, chodnik utonął w mroku. Kiedy ruszyłam ponownie, czułam się, jakbym szła nie po płytach, a po ziemi na świeżym grobie.

Weszłam, przywitałam się z kucharkami. Dzieciaki hałasowały w salach jak zwykle. Szum jak nad morzem albo w jodłach na gór szczytce. Biedactwa... Niech się bawią, póki mogą... Ciemność nie opuszczała mnie, ścisnęła moje serce, skręcała żołądek, odbierała siłę.

Udało mi się dotrzeć do swojego pokoiku. Rzuciłam torebkę na biurko, a siebie na krzesło. Jest dobrze. Jest pięknie. Wszystko w porządku. Włączyłam komputer, otworzyłam szufladę, wyciągnęłam zielony segregator, schowałam go z powrotem, wyciągnęłam żółty segregator. Wszystko w porządku. Nic mi nie grozi. Wszystko będzie dobrze. Zaraz się rozpłaczę.

Między trzynastą a czternastą robię sobie zwykle przerwę na kawę. Mam w pracy własną filiżankę (ciemnobrazową z beżowym spodkiem), łyżeczkę i cukier trzcinowy. No i kawę. Wiem, wiem, powinnam raczej coś zjeść, ale nie mam siły odmawiać sobie tej drobnej przyjemności.

Najważniejsze, żeby nikt mi nie przeszkadzał. Zamykam drzwi i zasłaniam okno lawendową firanką. Mogę pić kawę, czytać i nie myśleć. Dobrze.

Zaraz, moment. Nie ma ciastka. Ani okruszynki, ani kawałeczka. Ale nie, nie wpadam w panikę, nie wybiegam z przedszkola i nie pędzę do cukierni. Nic z tych rzeczy. W sytuacjach takich jak ta, czyli kryzysowych, zwanych też podbramkowymi, działam w sposób opanowany i rutynowy. Przesuwam filiżankę i wysypuję na beżowy spodek łyżeczkę cukru. Moczę w kawie mały palec, wkładam go do cukru, a następnie do ust. Oto ja. Kobieta, która radzi sobie z problemami. Kobieta niepokonana.

Otworzyłam książkę. Dziesięć minut to niewiele, ale zawsze coś. Ciemność się rozproszyła. Znowu panowała normalna szarość, mgła, przez którą od kilku lat brnę jak polarnik przez zadymkę. Z tą różnicą, że polarnik brnie do celu, a ja w kółko. Z przerwami na kawę.

Skończyłam na momencie, gdy Łucja spotyka Aslana. Czytając ten fragment, zawsze odczuwam coś w rodzaju ulgi; twarda kula siedząca gdzieś między moim żołądkiem a sercem trochę mięknie i mogę odetchnąć. No, koniec przerwy. Odsłoniłam okno. Spojrzałam na alejkę z marcinkami. Nie boję się, nie boję się, nie boję się...

Przemknęłam na zaplecze, by umyć filiżankę, łyżeczkę i spodek. Oraz palec. W przedszkolu było dziwnie cicho. Nasłuchiwałam w korytarzu. Cisza. Zajrzałam

do sali. Aha, bawią się w króla ciszy. Dzieciaki przejęte, że mało nie pękną, a wychowawczynie siedzi zrelaksowana w fotelu. Niech sobie odpocznie, biedaczka.

Wróciłam do swojego pokoju. Ciekawe, czy dzisiejsze dzieciaki też tak sobie dokuczają, jak w czasach, kiedy byłam małą. Podobno dzieci są teraz okropne. Wychowują je telewizja, internet i płatne opiekunki, bo rodzice nie mają czasu. Podejrzewam, że potrafią być przykre dla otoczenia.

Czy u nas w przedszkolu jest jakaś Ewka? Sięgnęłam po czerwony segregator i znalazłam listę. Wiktoria, Weronika, Paweł, Marcin, Julia, Weronika, Maciej, Marysia, Piotr, Weronika, Julia... O, jest Ewa! Jak mogłam o niej zapomnieć! Młodsza siostra Joasi.

Ewa nie dałaby się skrzywdzić. Jest mocna. Nie, nie chodzi o to, że bije innych albo im dokucza. Po prostu jest stanowcza i zna swoją wartość. Obserwuję ją czasem zza firanki, gdy wychodzi z mamą i siostrą do domu. Buzia jej się nie zamyka, błękitne oczy spoglądają figlarnie, mały zaczerwieniony nosek sterczy zadzierzyscie. Dziewczynka przeważnie jest w pysznym humorze, nie przejmuje się byle czym. A na trudne sytuacje ma swoje sposoby. Umie na zawołanie zalać się łzami. I płacze tak rzewnie, że serce się kraje. Czasem mam wrażenie, że jej łzy nie spływają po policzkach, lecz tryskają wokół. Istna fontanna. Albo konewka.

Kupuję psa. Zdecydowałam się w końcu. Jak długo można się namyślać, zastanawiać, kto kogo przeżyje, i wyobrażać sobie psa warującego przy moim grobie lub siebie klęczącą przy grobie psa? Obie wizje wydawały mi się tak samo straszne i tak samo odbierały mi chęć działania. Ale już się zdecydowałam, teraz wszystko powinno pójść sprawnie. Najpierw kupię taką domową budkę, takie jakby igloo. No i dwie miski. Jedną na wodę, drugą na jedzenie. Aha, i jedzenie! Dobrze. Zapiszę to sobie. Zrobienie sensownej listy bardzo uspokaja.

Budka (najlepiej lawendowa, ewentualnie śliwkowa)

Dwie miski

Psie chrupki

Koc

Gumowa kość do zabawy

Obróżka

Smycz

A pies? Taki malutki. Może nawet smycz nie będzie potrzebna, może będę nosić go w kieszeni? Na przykład yorczek. Może być też jamnik albo miniaturowy sznauker. Albo taki biały, puchaty, nie pamiętam, jak się nazywa. Kiedyś wydrukowałam sobie zdjęcia i opisy ras, ale oczywiście gdzieś podziałam te kartki.

Włączyłam komputer i wpisałam do wyszukiwarki „psy rasowe”.

Po godzinie miałam sieczkę w głowie. Za dużo tego. Ratunku! Po co ludziom tyle odmian psów? Nic, tylko by hodowali. I te wszystkie wystawy, konkursy piękności, całe to czesanie i fotografowanie! Zaraz, a dlaczego w ogóle rasowy? Dobra. W tył zwrot, naprzód marsz. Kupię kundelka. Nie. Nie kupię. Przygarnę. Adoptuję, jak się teraz mówi. Adoptuję kundelka. Weszłam na stronę z psami do adopcji.

Porzucona przez właścicieli wesola Pati czeka na kogoś, kto ją pokocha.

Arus jest smutny, bo nikogo nie ma. Zadzwoń.

Benkę znaleziono w rowie przy szosie, ze zwichniętą łapą i złamanym żebrem. Została wyrzucona z pędzącego samochodu.

Siedem szczeniąt owczarka nizinnego czeka na adopcję.

Ten radosny kundelek to Ptyś. Jego rodzeństwo znalazło już dom. Ptyś czeka na dobrego człowieka...

Rimka niedowidzi i kuleje, bo ma już swoje lata. Wciąż jednak wierzy, że ludzie nie są źli.

Zygo to grzeczny, dobrze wychowany rasowy sznauker. Czeka na człowieka, którego mógłby uczynić szczęśliwym...

Wytarłam oczy i nos, zaparzyłam sobie kawę. Wróciłam do komputera. Tym razem będę ostrożna jak Indiana Jones na ruchomych piaskach. Znalazłam

w internecie stronę schroniska w sąsiednim mieście. U nas nie ma; chyba nie jest potrzebne, bo nigdy nie widziałam tu żadnych blakających się zwierząt, jeśli nie liczyć owadów, ptaków i jeży. Drżącą (naprawdę) ręką wystukałam numer i prawie upuściłam telefon, gdy usłyszałam miły kobiecy głos.

– Schronisko dla zwierząt Lassie, słucham?

Pozbierałam się i odpowiedziałam najspokojniej, jak potrafiłam:

– Dzień dobry. Chciałabym adoptować psa. Niedużego, najchętniej białego.

Raczej pieska niż suczkę.

– Dzień dobry. Bardzo się cieszę. Czy mogę zadać pani kilka pytań?

– Oczywiście.

– Czy miała pani już kiedyś psa?

– Nie miałam, ale moi dziadkowie na wsi mieli psy i koty. Bardzo lubię zwierzęta. Zawsze chciałam mieć psa, lecz rodzice się nie zgadzali. Pozwolili mi tylko na rybki i myszki. Rybki zdechły... znaczy... umarły, znaczy... eee... zasnęły. Zasnęły już dawno temu. Ale dopóki żyły, chyba były ze mnie zadowolone. Potem miałam myszki.

– I jak się pani układało z myszkami? – Głos w słuchawce wydawał mi się coraz bardziej sympatyczny.

– Bardzo dobrze. Kochałam je. Pozwalałam im nawet chodzić po moim pokoju, oczywiście nie cały czas, ale codziennie przez godzinkę. Były piękne. Białe, tłuściutkie i bardzo wesołe. To znaczy Pixie była wesoła, Dixie bardziej refleksyjna. W sumie obie pogodne.

– A dlaczego chce pani mieć psa?

– Hmm... No... Tak... Tak po prostu.

– Chciałaby pani przyjechać i obejrzeć psy?

– Nie! – krzyknęłam, chyba trochę za głośno. – To znaczy... wolałabym nie.

– Przepraszam, że o to pytam, ale to może być istotne przy wyborze psa. Ma pani problem z poruszaniem się? Jest pani niepełnosprawna?

Pewnie, że jestem niepełnosprawna. I to bardzo. Nie nadaję się do życia. Ale przecież nie powiem tego tej miłej kobiecie.

– Nie, nie. Tylko obawiam się, że gdybym tak chodziła po schronisku, a psy patrzyłyby na mnie z nadzieją... Patrzyły i czekały... Obawiam się, że nie dałabym rady...

– Doskonale panią rozumiem. To może ja wybiorę psa, a pani po niego przyjedzie?

– Cudownie!

– Dobrze. Jeszcze tylko kilka pytań. Mieszka pani w bloku czy w domu jednorodzinnym?

– W domku z ogródkiem.

– Sama czy z rodziną?

- Sama.
- Już niedługo nie będzie pani sama.

Dawno mi się z nikim tak miło nie rozmawiało. Od trzech lat jakoś, czyli od rozmowy kwalifikacyjnej w przedszkolu. Wtedy też musiałam mówić o sobie, nawet więcej. Między innymi o tym, dlaczego się przeprowadziłam. Wymyśliłam zgrabną historyjkę o lekarzu, który zalecił mi zmianę otoczenia. Moja przyszła szefowa patrzyła na mnie poważnie i udawała – teraz to wiem – że mi wierzy.

- Dziękuję bardzo. Dziękuję. Mogę przyjechać jutro?

– Tak. Mam pewien pomysł. Proszę mi jeszcze powiedzieć, gdzie pani mieszka.

Podalam nazwę miejscowości i ulicę. Na wszelki wypadek dodałam, że to na samym końcu miasta, tuż obok parku i lasu.

– Wiem, wiem. Byłam niedawno w waszym parku, bardzo ładne miejsce. W takim razie widzimy się jutro. Może pani przyjechać o dowolnej porze. Jak rozumiem, nie musi koniecznie być mały i biały?

– Zdaję się na panią – powiedziałam odważnie, odsuwając od siebie wizję czarnego wodolaza wielkości kanapy.

Następnego dnia pojechałam do przedszkola samochodem. Rzadko go używam, ale przecież nie pojedę po psa na rowerze. Po wyjściu z pracy kupiłam worek z psią karmą i wpakowałam go do bagażnika, gdzie czekały już stary koc i zamykany wiklinowy koszyk. Po chwili namysłu wróciłam do sklepu, by kupić butelkę wody i przekąski na drogę (dla siebie i psa).

Jadąc do schroniska, zastanawiałam się, jak będzie wyglądała podróż powrotna. Co zrobię, jeśli pies będzie wyłaził z koszyka? Albo wył? Albo się bał? Te zmartwienia były cudowne, ożywcze, odświeżające jak morska bryza. Poszłam na całość. Co zrobię, jeśli pies zasika tapicerkę? Albo zwymiotuje? To naprawdę niesamowite uczucie: opuścić na chwilę pełne mroku i mgły otchłanie swojej duszy i zobaczyć inny świat. Choćby miał to być świat zasikanych tapicerek.

Pani Joanna, ta, z którą rozmawiałam przez telefon, okazała się niską kobietą o dziewczęcej figurze, wielkich ciemnych oczach i delikatnej twarzy. Spojrzała na mnie życzliwie i chyba trochę nieśmiało.

- Dzień dobry, pani Ewo. Proszę usiąść. To chwilę potrwa.

Ściany pokoiku pani Joanny były obwieszane zdjęciami psów i kotów, a pod stolikiem leżał duży czarno- płowo-rudy pies z długą jedwabistą sierścią. Gdy weszłam, zaczął wesoło uderzać w podłogę puszystym ogonem.

Usiadłam przy stoliku i zaczęłam wypełniać formularz. Kiedy pies dotknął nosem mojej nogi, opuściłam rękę, by go pogłaskać. Był bardzo miły w dotyku. Młócił ogonem coraz szybciej i głośniej.

– O, już panią polubił – ucieszyła się pani Joanna i zajrzała pod stół. – Co, Kajtek, podoba ci się ta pani? Może być?

Spojrzałam na nią zdumiona. Więc to jest mój pies?

Schyliłam się i zajrzałam pod stół, a następnie zsunęłam się z krzesła, przyklękłam, objęłam Kajtka i wtuliłam twarz w jego miękkie futro.

Jazda powrotna przebiegła bezproblemowo. Rozesłałam koc na podłogę, parówką zachęciłam Kajtka, by wszedł do samochodu, i przywiązałam smycz do fotela (bo co, gdyby po drodze chciał wskoczyć mi na kolana?). Kajtek usiadł bokiem do kierunku jazdy, by mieć mnie na oku. Biedaczek pewnie wciąż nie dowierzał, że jest mój. Pani Joanna powiedziała, że wolałabym nie znać jego historii, więc właściwie nic o nim nie wiem. Poza tym, że kochany z niego zwierzak. Od razu to widać. Ma niesamowicie wesołe oczy i radosny pysk. Pani Joanna wybrała bezbłędnie. Tylko co teraz? Od czego zacząć?

– Kajtek – powiedziałam serdecznie, ale stanowczo – w naszym domu będą obowiązywać pewne zasady.

Kajtek uniósł ucho i szczechnął żarliwie.

– Jeszcze nie wiem jakie, ale wkrótce wszystko wymyślę i ci powiem. Na razie wystarczy, że nie będziesz sikał na podłogę. Będziemy chodzić na spacer, żebyś mógł załatwiać swoje sprawy na dworze. Jasne?

Kajtek uśmiechnął się jeszcze szerzej i zaczął młócić ogonem na znak, że zgadza się na wszystko, co wymyślę, nawet jeśli miałyby to być skoki spadochronowe czy szydełkowanie synchroniczne.

Muszę się kogoś poradzić. Wiem. Porozmawiam z Jamesem Herriotem. Przecież jest weterynarzem, znającym się na wszystkich stworzeniach – dużych i małych.

Jesienne poranki nie są dobrą porą na wstawanie z łóżka. Uważam, że zimowe poranki także. Oraz wiosenne i letnie.

Kiedy telefon zagrał pobudkę, zaczęłam codzienną żmudną procedurę przypominania sobie, w jakim celu mam wstać. Rozważyłam różne możliwości i w końcu odnalazłam tę właściwą – śniadanie. Nie byłam głodna, bo zjadłam obfitą kolację, ale wiedziałam, że świeżo zaparzona kawa i jakiś mile kaloryczny dodatek podniosą mnie na duchu.

Koszmarne są poranki. Koszmarne są te chwile, gdy człowiek uświadamia sobie, że po prostu nie ma innego wyjścia niż wstać. Przypomniałam sobie poranki sprzed sześciu lat. Nie miałam siły nawet otworzyć oczu. Leżałam w łóżku godzinami, płakałam, przysypiałam, znów płakałam... Zwlekałam się tylko na siku.

Ale to już przeszłość. Przede mną nowy dzień i nowy promienny cel – śniadanie. Kawa.

Otworzyłam oczy. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam, był wielki włochaty łeb na mojej poduszce. Wrzasnęłam, ale w tej samej chwili przypomniałam sobie o Kajtku.

– Kajtek! – zawołałam z czułością. – Co ty tu robisz!?! Ty zwierzaku! Ty futrzaku kochany! Ty Kajtku, ty!

Tarmosiłam jego uszy, obejmowałam go i tuliłam. Mój pies sapał, wiercił się, machał ogonem, jakby zaraz miał wzbić się w powietrze, lizał mnie po twarzy i po rękach.

– Przestań, potworze! Na podłogę! Siad.

I, o dziwo, zeskoczył z łóżka i usiadł. Patrzyłam na niego zdumiona i zachwycona. Mam tresowanego psa! Fantastycznie.

Mój entuzjazm opadł nieco, gdy zauważyłam na dywanie mokrą plamę. Najwyraźniej biedaczek posikał się z radości.

Pokazałam mu plamę.

– Nie wolno! – powiedziałam dobitnie. – Nasza pierwsza zasada! Zapomniałeś?

Włożyłam kapcie i poszłam do drzwi. Wyjrzałam na dwór. Brr! Zimno, mokro, okropnie. I ja mam wyjść na spacer z psem?

Dopiero po kilku minutach przygotowałam się psychicznie, ubrałam ciepło, przypięłam Kajtkowi piękną, nowiutką smycz i wyszliśmy. Zajrzałam do ogrodu sąsiadów. Pani Mirka ma najpiękniejszy ogród, jaki kiedykolwiek widziałam. Nieduży, otoczony tujami i innymi roślinami, które pewnie też mają jakieś nazwy. Jest piękny o każdej porze roku, nawet jesienią. Większość kwiatów już przekwitła, ale marcinki trzymały się dzielnie i były oczywiście trzy razy większe niż gdziekolwiek indziej. Nie przekwitły też jeszcze astry i bratki. Wciąż zieleniły się

paprocie i krzewy owocowe, a po tujach piął się czerwony winobluszcz. Kajtek chyba docenił ten widok, bo z zainteresowaniem wsadził nos między pręty furtki.

– Kajtek, tam nie wolno! To zasada numer dwa. Możesz sobie patrzeć, możesz sobie wachać, ale to wszystko. Tego tylko brakuje, żebyś coś wykopał, obgryzł czy zasikał. Idziemy na spacer.

Jeszcze nigdy nie prowadziłam psa na smyczy. Na szczęście Kajtek miał najwyraźniej jakieś doświadczenie. W sumie chyba całkiem niezłe sobie radziliśmy. Poszliśmy do parku. Przy wejściu zobaczyłam Legolasa. Nie patrzył na mnie, wzrok miał utkwiony gdzieś w dali. Emanował spokojem. Cięciwa jego łuku nie była naciągnięta, strzały spoczywały w kołczanie. Z głównej alejki skręciliśmy nad staw. Na widok kaczek Kajtek szarpnął mnie tak mocno, że o mało się nie udusił. Musiałam użyć całej swojej siły, by go powstrzymać, inaczej by się na nie rzucił. A więc w obliczu kaczek mój autorytet nic nie znaczy. Dobrze, że chociaż siły mi starczyło.

Potem poszliśmy do cukierni Łasuch. Należę do jej stałych klientów. Chociaż właściwie wszyscy klienci Łasucha są stali. Ale różni. Jedni normalni, czyli łasuchy, inni nienormalni, czyli tacy, którzy kupują ciastka tylko na specjalne okazje. Nikogo jednak nie osądzam, może ci nienormalni kiedyś się nawrócą.

Często długo stoję przy ladzie i leczę smutek widokiem i zapachem ciastek, ciast i ciasteczek. Pani Małgosia patrzy na mnie ze współczuciem, lecz nigdy o nic nie pyta. Bywa, że mija pół godziny, zanim się zdecyduję (nieodmiennie na pączka), a ona zawsze spokojnie czeka i albo obsługuje innych klientów, albo rozwiązuje sudoku.

Zobaczyła nas przez szybę – krążyłam przed drzwiami, nie wiedząc, czy wejść z psem, czy zostawić go na ulicy – i dała nam znak, żebyśmy weszli.

– Dzień dobry! To Kajtek, mój pies. Proszę dwa pączki. Trzy.

– Piękny! A jaki grzeczny!

Spojrzałam z dumą na Kajtka siedzącego u moich stóp i zamiatającego posadzkę ogonem. Może mógłby sam chodzić do cukierni i kupować dla mnie pączki? Ale ta myśl zbyt wybiegała w przyszłość, a więc była bolesna i niebezpieczna. Znowu wszystko pociemniało. Zdołałam zapłacić, ale nie pamiętam, jak udało nam się wrócić do domu.

Siadłam na podłodze w przedpokoju i objęłam Kajtka.

– Biedny psie! Widzisz, na co ci przyszło? Jak ty ze mną wytrzymasz?

Popatrzyłam na niego uważnie, szukając oznak niesmaku, zawodu czy zniechęcenia, ale na jego roześmianym pysku zobaczyłam tylko ufność i wierność.

– Właściwie to chyba powinnam mieć kota. Stare panny zwykle mają koty, prawda?

– Hm... Tak, te, które znam, mają. Ale ty nie jesteś przecież starą panną.

– Nie, no jasne. Jestem osobą samotną. Singielką.

– Źle ci z tym?

– Nie... nie źle. Chyba nie... Jest w porządku. Tyle że chyba powinnam mieć kota, a nie psa.

Ania roześmiała się. Ma piękny śmiech, delikatny, ale bardzo szczery. Patrzyłam na nią z sympatią – rude włosy nad czołem poskręcały się jej w sprężynki pod wpływem wilgoci.

– Jak one sobie radzą? Te twoje znajome stare... no, singielki?

– Zwykle tak sobie organizują życie, że nie czują się samotne. Mają różne zainteresowania i pasje. I na nic nie czekają. Niektóre są prawdziwymi mistrzyniami w znajdowaniu przyjemności w codziennych sprawach. A w smutnych chwilach wracają do wspomnień. Wspominają dzieciństwo, młodość, szczęśliwe momenty albo dawne miłości... Ty masz takie wspomnienia, Ewo?

Uśmiechnęłam się. Lubię takie rozmowy. Roztrząsanie problemów, które w gruncie rzeczy nic mnie nie obchodzą, pozwala mi zapomnieć o bólu, o którym nie da się mówić.

– Chyba nigdy nie kochałam... tak naprawdę. Bywałam zakochana, jasne, ale to były tylko takie romantyczne uniesienia, nie miłość... Nie chciałoby mi się tego wspominać.

Ania zamyśliła się. Pewnie zastanawiała się, jak to możliwe. Lecz Ania wielu rzeczy o mnie nie wie. Nie wie na przykład o Sławku. Sama nie rozumiem, czemu nie powiedziałam jej prawdy. Przecież go kochałam, na pewno. To była prawdziwa, najprawdziwsza miłość. Niewielu rzeczy jestem tak pewna. Gdybym go nie kochała, nie pragnęłabym jego szczęścia.

– No dobra, kochałam. Raz. Był moim kolegą z roku. Zwyczajny chłopak, ale dla mnie najważniejszy. Często uczyliśmy się razem do egzaminów. Siedzieliśmy w czytelni, on opracowywał jedną część zagadnień, ja drugą. Potem wymienialiśmy się notatkami. Podziwiał mnie, bo byłam zdolna, jednak mnie nie kochał, wiem o tym. Lubił mnie, lubił spędzać ze mną czas. Chodziliśmy razem do kina, na spacer... i tyle. Kiedy byliśmy na trzecim roku, poznał Agnieszkę...

– Też ją poznałaś?

– Tak, jasne. Potem należeliśmy do jednej paczki. Sławek zwierzył mi się, że się zakochał w Agnieszce, a ja...

Spacerowaliśmy po Agrykoli. Był późny letni wieczór. Twarz Sławka w świetle latarni wydawała się dziwnie blada. Szedł zamyślony, z rękami w kieszeniach. Jasna grzywka spadała mu na oczy. Wiedziałam już, że nigdy mu jej nie poprawię. Moja ręka nie dotknie jego włosów, nie zsunie się delikatnie na policzek i mocną szczękę pokrytą szorstkim jednodniowym zarostem. „Sławek – zagadnęłam – nie poszlibyśmy jutro do kina, z Agnieszką?” Spojrzał na mnie uradowany. Odgarnął grzywkę z czoła i złapał mnie za rękę. „Zaprosisz ją?”

Oczywiście, że zaprosiłam. I oczywiście z nimi nie poszłam. Po czterech miesiącach byli już małżeństwem.

Wyszliśmy z Anią na podwórko i oparliśmy się o niską drewnianą furtkę oddzielającą moje terytorium (pożółkła trawa, jakieś badyle, parę rachitycznych drzewek) od ogrodu pani Mirki. Niestrudzona ogrodniczka akurat grabiła liście. Nie wygląda na swoje lata. Z daleka dałabym jej najwyżej trzydzieści. Niewysoka, czarnowłosa, szczupła i zręczna. Jest już na emeryturze i prawie cały czas spędza na świeżym powietrzu: albo pracuje w ogródku, albo śmiga po okolicy na rowerze. Spojrzała na nas zdyszana, spocona i bardzo zadowolona.

– Dzień dobry! – zawołałam. – Pani Mirko, mój pies chce panią poznać!

– Dzień dobry! – odkrzyknęła.

Znałam ją wystarczająco długo, by wiedzieć, że najpierw skończy to, co robi, a dopiero potem podejdzie. Wymieniłyśmy z Anią spojrzenia. Ciekawe, jak pani Mirka zareaguje na Kajtka. Jest zupełnie nieprzewidywalna. Może będzie z zachwytem głaskać psa, a może zacznie się niepokoić o swój ogród? No ciekawe. W końcu podeszła, zdejmując rękawice i ocierając pot z czoła. Kajtek wachlował ogonem i uśmiechał się do niej.

– Ewa, co ty, psa wzięłaś? Lepiej byś sobie chłopa znalazła! Długo jeszcze chcesz być starą panną? Dziewczyno, przecież ty tu zdziczejesz i zgłupiejesz, tak ciągle sama i sama. Nikt cię nigdy nie odwiedza, nie masz żadnych znajomych. Co to za życie? Pies to za mało, zobaczysz.

Mówiłam – pani Mirka jest nieprzewidywalna.

Na popołudniowym spacerze spotkaliśmy Jamesa. Najpierw zobaczyłam w parku jego charakterystyczną sylwetkę, potem zza zakrętu wypadł jego pies Sam. Okrążył swojego pana, machając ogonem i podskakując pognął w naszą stronę. James podniósł rękę w powitalnym geście. Jest naprawdę bardzo towarzyski jak na Anglika. Szkota właściwie.

Sam podbiegł do Kajtka. Obszcekał go, obwąchał i dał się obwąchać. Po chwili psy zaczęły się bawić. To znaczy, mam nadzieję, że te przepychanki i podgryzania były zabawą. James podszedł do mnie z serdecznym uśmiechem na spokojnej pociągłej twarzy.

– Twój?

Opowiedziałam mu o wyprawie do schroniska, o pani Joannie, która tak genialnie wybrała dla mnie psa, i o swoich wątpliwościach wychowawczych. Słuchał z przechyloną głową, od czasu do czasu badawczo spoglądając na mnie pocziwymi szarymi oczami. Pogawędka nieco podniosła mnie na duchu. W kwestii psiej. Trochę się obawiałam, czy sprawdzę się w roli przywódcy dwuosobowego stada, ale co tam! Może wystarczy, jeśli Kajtek się sprawdzi.

– James? – odważyłam się na koniec. – Słyszałam, że psy upodabniają się z czasem do właścicieli. Czy to prawda? Czy... – Zamknęłam oczy, żeby nie

patrzeć na ciemność, która znów wyciągała po mnie swoje wilgotne macki. – Czy Kajtek będzie... smutny?

No, proszę, udało się!

– Nie, Ewo, na pewno nie. Nie będzie smutny. Za to ty będziesz radosna. Kochany James. Naiwniak. Chciałabym umieć mu wierzyć.

Lubię wieczory. Wieczór, zwłaszcza jesienny, deszczowy i zimny, to fenomenalny pretekst, żeby nie wychodzić z domu. Kajtek to rozumie. Kiedy chce mu się siku, staje przy drzwiach i piszczy, jakby chciał powiedzieć, że już naprawdę nie może wytrzymać i bardzo przeprasza, ale musi wyjść, choć oczywiście nie oczekuje, że będę mu towarzyszyła. Otwieram mu, a on śmiga w wilgotną ciemność, by po chwili wrócić z mokrą sierścią i brudnymi łapami. Łapy trzeba mu wytrzeć, ale to już ostatni wysiłek, a potem mogę wrócić na swój fotel. Tak, mam nawet fotel. Kiedy się tu urządzałam, czułam się na tyle dobrze, że byłam w stanie poświęcić część uwagi meblom i tak dalej. Brałam wtedy leki, więc ciemność cofnęła się, przyciała i dała mi trochę odetchnąć. Farmakologiczna ulga.

Tata poznał pana Janusza, męża pani Mirki, na jakiejś konferencji, kiedy pisał reportaż o organizacjach pozarządowych. Szybko znaleźli wspólny język – mój ojciec ze swoją wieczną potrzebą naprawiania świata i pan Janusz, który całe życie poświęcił bezrobotnym i bezdomnym. Przy jakiejś okazji tata wspomniał, że myślę o wyprowadzce z Warszawy, a pan Janusz z miejsca wymyślił rozwiązanie. Moje mieszkanie po babci się wynajmie, a za czynsz od lokatorów będę mogła sobie wynająć pół bliźniaka pana Janusza i pani Mirki – i jeszcze mi zostanie. W zasadzie załatwili wszystko za mnie. Nie miałam wtedy siły nawet na wizję lokalną. Wystarczyły mi zdjęcia, zrobione przez pana Janusza, jego opowiadanie, a przede wszystkim nazwa miasteczka. Samulki. Jak sepulki z *Dzienników gwiazdowych* Lema. Pomyślałam, że będzie tam prawie jak na obcej planecie, a o to przecież chodziło. Sama w całym kosmosie. Piękna (he he!), samotna dama w Samulkach. Po prostu: Samulka.

Po przeprowadzce czułam się już na tyle dobrze, że urządzenie nowego domu sprawiło mi niemal przyjemność. Najwięcej serca włożyłam w wystrój sypialni. Pokój gościnny zamknęłam na klucz, który tak dobrze schowałam, że już po kilku dniach nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jest. Ale po co mi to? Nie przewiduję żadnych gości, a już na pewno nie na noc. Moi pełni najlepszych chęci sąsiedzi Wilk i Misiunia – tak się do siebie zwracali, od razu pomyślałam, że to urocze – początkowo nazywali ten pokój dziecinnym, ale odpuścili sobie, kiedy zrozumieli, że na dzieci raczej nie ma tutaj szans. Skupili się na własnych wnukach, które przyjeżdżały licznie i często, napełniając ich część domu tupaniem, wrzaskami i śmiechem.

Sypialnia miała być romantyczna. Z pomocą pana Janusza przemaalowałam swoje warszawskie meble na biało. Białe łóżko, biała szafeczka i toaletka, biały regał i biała szafa. I liliowe dodatki – zasłony, dywan, narzuta. Boże, co ja sobie wtedy myślałam? I ten żyrandol z kryształkami, i lampka nocna w kształcie orchidei... Oto, do czego jest zdolny człowiek w chwilach euforii. Teraz mam za

swoje. Co wieczór przeżywam dziwne rozdwojenie: doznaję satysfakcji estetycznej, a jednocześnie czuję się zażenowana i przygnębiona. Zwykle przeważa satysfakcja i spędzam naprawdę miłe chwile w łóżku, z książką i czasem ze słodyczami. Ale zdarza się, że romantyczna sypialnia jednak wychodzi mi bokiem – wtedy nocuję w dużym pokoju pod pledem w czekoladowo-beżową kratkę.

Duży pokój umeblowałam sprzętami pozostałymi z mieszkania babci. Kochana staruszka miała tyle gratów, że starczyło mi na sypialnię, salon i przedpokój. Solidne ciemne meble, perski dywan, obrazy w ozdobnych ciężkich ramach. Tylko fortepianu nie wzięłam. (Bez przesady. Ja i fortepian! Z nas dwojga tylko on zna się na muzyce). Do tego kupiłam staromodną złocisto-kremową tapetę, tiulowe firanki w kolorze écru i grube zasłony z czekoladowego aksamitu. W ciągu dnia miały być upięte po bokach. Dopóki wygrywałam z ciemnością, zaciągałam je tylko na noc. Potem coraz częściej całymi dniami nie odsłaniałam okien. Biedne kwiaty!

Tak, miałam kiedyś kwiaty. Gdyby były bardziej zaradne i podlewały się same, zapewne żyłyby do dziś. Niestety stwierdzenie „nie ma życia bez wody” okazało się bezlitośnie prawdziwe. Pewnego dnia musiałam – ukradkiem, by pani Mirka nie przyuważyła – wynieść ich trupki do śmieci. Miałam takie wyrzuty sumienia, że nie mogłam patrzeć na kwiaty na obrazach po babci. W końcu zdjęłam wszystkie obrazy i schowałam pod łóżkiem. Przez chwilę rozważałam nawet kupno nowych, o innej tematyce, ale myślenie okazało się tak męczące, że nie starczyło mi siły, by podjąć stosowne działania.

Kiedy wzięłam Kajtka, przygotowałam dla niego kącik do spania w przedpokoju. Rozłożyłam koc na kawałku wykładziny i położyłam obok gumową kość.

– Tu będziesz spał – oznajmiłam.

Kajtek kiwnął ogonem, obwąchał koc, pogryzł kość na drobne kawałeczki, a gdy nadeszła noc, wskoczył do mojego łóżka. Na moją satynową fiołkową pościel!

– Kajtek! – krzyknęłam. – Złaż zaraz! Złaż!

Mój kochany tresowany pies zeskoczył na podłogę, usiadł obok łóżka i zaczął dyszeć, radośnie patrząc mi w oczy. Wzięłam książkę ze stolika nocnego, wyjęłam z niej zakładkę, czyli tabliczkę czekolady, i zabrałam się do miłego spędzania wieczoru. Tylko że to dyszenie mi przeszkadzało. Kurczę.

– Kajtek! Zamknij pysk!

Niestety, tego mój tresowany pies nie potrafił zrobić. Albo udawał, że nie rozumie, o co mi chodzi. Odsunęłam się pod ścianę i wróciłam do lektury. Kajtek najwyraźniej pomyślał, że robię mu miejsce. Wskoczył na łóżko, położył się koło mnie i zaczął dyszeć mi prosto w ucho.

– Kajtek! Złaż w tej chwili!

Zeskoczył. Posiedział chwilę, potem zwałił się na podłogę. Czytałam, starając się nie słyszeć dyszenia. Kiedy poczułam się senna, wygramoliłam się z pościeli, przesunęłam bosą stopą po miękkim psim futrze i poszłam do łazienki. A Kajtek za mną. Czy ten pies nie ma żadnego wyczucia? Naprawdę musi asystować mi przy sikaniu?

Już zapadałam w sen, gdy znów uwalił się tuż obok mnie i zaczął dyszeć. O, nie!

– Złaź! – warknęłam.

Posłusznie zeskoczył na podłogę. No. Zasnęłam. A pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam rano, był psi pysk na mojej poduszce.

I nie poradziłabym sobie, gdyby nie James. Dzięki jego radom udało mi się w końcu nauczyć Kajtka, że nie wolno wchodzić do łóżka. Kupiłam nowy koc, śliwkowy, i położyłam na podłodze w sypialni. To chyba logiczne, prawda? Przyjaciół nie kładzie się spać w przedpokoju.

Wpadła do mnie Hanka. Niesamowicie dzielna dziewczyna. Dużo przeszła. Kiedy była w ciąży z trzecim dzieckiem, jej mąż Antek zakochał się w innej, a gdy ta dała mu kosza, rozpił się i rzucił pracę. Na miejscu Hanki załamałabym się albo zwariowała, a ona znalazła w sobie siłę, żeby po pierwsze nie zwariować, po drugie jakoś żyć, a po trzecie walczyć o męża.

Przyglądała się moim meblom po babci, które być może są nawet antykami (muszę to kiedyś sprawdzić), kremowo-złocistym ścianom wołającym o obrazy i perskiemu dywanowi.

– Ładnie tu u ciebie – powiedziała. – Te meble to z Warszawy?

– Tak. Przywiozłam wszystko oprócz fortepianu i książek.

– Dlaczego zostawiłaś książki? – spytała zaskoczona. – Przecież zawsze mówiłaś, że je kochasz...

– Ciężko mi było, ale no... Musiałam. Zresztą w Samulkach jest biblioteka, bardzo dobrze zaopatrzona, naprawdę. Najpierw zapisałam się do tej w sąsiednim mieście, bo wydawało mi się, że jak większe miasto, to i biblioteka większa, ale...

Hanka uśmiechnęła się. Lubię jej uśmiech. Jest w nim tyle, hm... nadziei? Nie, przesadziłam. W moim słowniku nie ma słowa „nadzieja”. Światła? Niech będzie – światelka. Pospiesznie odsunęłam od siebie obraz cementarnego znicza i mówiłam dalej.

– Poszłam do tamtej biblioteki i zaczęłam oglądać książki. Bibliotekarka chodziła za mną krok w krok i poprawiała te, które odkładałam, chociaż naprawdę kładłam je prosto i na miejsce. Ale dobrze. Naszykowałam sobie stosik i zaniósłam go do niej. Popatrzyła na tytuły, wyciągnęła moją kartę i... no...

Hanka położyła mi rękę na ramieniu. Dziwne, zwykle nie jest zbyt czuła. Życie jej nie głaskało, to i ona nie głaszcze. Napiłam się herbaty. Kiedy przychodzi Hanka, zawsze robię herbatę. Mam dzbanek, cukiernicę i dwie filiżanki do herbaty po prababci, piękne, malowane w kwiaty lawendy. Reszta serwisu gdzieś przepadła. Jedną filiżankę zniszczyłam osobiście, kiedy próbowałam ukreślić w niej kogel-mogel mikserem. Co się stało z resztą, nie wiem. Westchnęłam.

– Pewnie nie chciała mi zrobić przykrości... Może nie pomyślała, co mówi... A może jednak była po prostu wredną małpą. W każdym razie, kiedy zobaczyła *Dzieci z Bullerbyn*, *Historię żółtej cizemki* i Jeżycjadę, spytała, czy wypożyczam to dla córki. Gdy odpowiedziałam, że dla siebie, przewróciła oczami. Wiesz, Haniu, zupełnie mnie zatkało. Na szczęście brałam wtedy leki, więc się nie rozkleiłam. Popatrzyłam na nią i po prostu wyszłam. I już nigdy tam nie wróciłam.

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Skoro do drzwi, a nie do furtki, to pani Mirka albo pan Janusz. Raczej pani Mirka. Pan Janusz jest bardziej nowoczesny i jeśli ma jakąś sprawę, używa telefonu. Poszłam otworzyć. Przejrzałam się

w dużym lustrze w przedpokoju. Lepiej, żeby pani Mirka nie oglądała mnie rozmawianej i rozczochranej. Przyglądałam włosy i otworzyłam.

– Dzień dobry!

Pani Mirka jako osoba nieprzewidywalna wita mnie rozmaicie. Czasem mówi: „hej”, czasem: „cześć”, a czasem raczej mnie oficjalnym: „dzień dobry”.

– Dzień dobry.

– Potrzebuję pomocy.

– Oczywiście. Proszę wejść. Napije się pani herbaty?

– Ha! Herbaty! Chętnie. – Nie zważając na moje protesty, zdjęła buty i wmaszerowała do pokoju. – Jak tu ciemno! Jak w grobie. Oszalałaś? Za młoda jesteś. Odsłoń te okna, zobacz, jak pięknie na świecie! – wykrzyknęła i nie czekając na reakcję, rozsunała zasłony. – Piękne zasłony, kochana, ale za ciemne! Musisz kupić jaśniejsze.

– Proszę... – wystękałam, podając jej filiżankę.

Nie umiem rozmawiać z ludźmi. Kiedy mam coś powiedzieć, czuję się, jakby mózg mi się zacinał. Pani Mirce na szczęście najwyraźniej to nie przeszkadza. Usiadła i nalała sobie herbaty.

– No więc Janusz dostał w końcu to skierowanie do sanatorium. Szkoda, że akurat jesienią, ale trudno, pojedziemy. Wyjeżdżamy za dwa tygodnie. Tylko ktoś musi podlewać kwiatki.

– Chętnie się nimi zajmę – zapewniłam gorliwie.

– Dzięki! Nie prosiłabym o to, ale wiesz, nasze dzieciaki miałyby z tym trochę kłopotu. Musieliby tu specjalnie przyjeżdżać, a to jednak kawał drogi. Bardzo dziękuję. Będziesz wiedziała, jak podlewać?

– E...

– Napiszę ci wszystko na karteczce, zostawię ją na stole w kuchni. Najważniejsze, żeby nie przelać, bo pogniją.

Skuliłam się pod ciężarem odpowiedzialności. Jeśli zawiodę... Schowałam twarz w dłoniach.

– No, to lecę. Widzę, że jakaś zmęczona jesteś. Do widzenia!

Odprowadziłam ją do drzwi. Kajtek już stał na wycieraczce, czekając na spacer. Nie ma rady. Przypięłam mu smycz i wyszliśmy. Pani Mirka mówiła, że na świecie jest pięknie. Jakoś tego nie widzę.

Gdybym uważała się za wartą jakiegokolwiek miejsca na świecie, uznałabym, że bibliotekę w Samulkach stworzono specjalnie dla mnie. Ale nie ze mną te numery. Wiem, czego jestem warta. Nie ulega jednak wątpliwości, że biblioteka jest nadzwyczaj sympatyczna. Nieduże jasne pomieszczenie z bukowymi regałami pełnymi książek. Księgozbiór też niczego sobie. Nawet ja mogę znaleźć tu strawę dla... no, nie, nie dla ducha, mój duch tonie w rozpacz – ale dla umysłu i serca.

No i pracują tu niezwykle przyjazne osoby. Nikt się ze mnie nie wyśmiewa, nikt nie przewraca oczami. Czuję się zawsze mile widzianym gościem. Najbardziej lubię panią Edytę i panią Kingę. Na początku nie zawsze na nie trafiałam, ale od czego są dedukcja i zdolności szpiegowskie. Zaczęłam nawiedzać bibliotekę metodycznie i notować wszystko w grafiku. I podsłuchiwałam rozmowy pracowników. „Kinga, przyjdiesz jutro za mnie? Muszę iść z dzieckiem do lekarza. W zamian mogę wziąć za ciebie dyżur w czwartek”, i tak dalej. Po kilku takich sesjach wiedziałam już wszystko, co było mi potrzebne. O tym, żeby po prostu spytać panią Kingę i panią Edytę o rozkład ich dyżurów, jakoś nie pomyślałam.

Pani Edyta ma chyba najpiękniejsze oczy w całych Samulkach: zielone, rozmarzone, z długimi rzęsami. Jest energiczna i wesoła, a robota pali jej się w rękach. O ile w odniesieniu do bibliotekarki to komplement. Lubię się przyglądać, jak oprawia książki w folię. Widać, że sprawia jej to przyjemność.

Pani Kinga z kolei jest nieśmiała i roztargniona. Nieraz widziałam, jak ogląda książkę, a potem gorączkowo wertuje karty czytelników, jakby zapomniała, kto tę książkę przyniósł. Często się zamyśla. Nauczyłam się to rozpoznawać po jej skupionym, poważnym wyrazie twarzy oraz wzroku utkwionym w dokumentach bibliotecznych. Gdy podczas pierwszej wizyty wypożyczałam *Dzieci z Bullerbyn* i *Muminki*, pani Kinga zwróciła mi uwagę, że nie wzięłam *Pamiętników Tatusia Muminka*, a potem osobiście je dla mnie odszukała i z promiennym uśmiechem wpisała na moją kartę. Ledwie zdołałam podziękować, tak się wzruszyłam. Zgarnęłam książki i pospiesznie wyszłam. Bałam się, że się rozkleję. Zamykając za sobą drzwi, zauważyłam, że odprowadza mnie spojrzeniem; dawno nikt nie patrzył na mnie tak miło i serdecznie.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, pani Ewo.

O, proszę! Jestem osobą znaną! Inni czytelnicy muszą podawać bibliotekarzowi numer karty albo nazwisko. A ja nie! Tak spuchłam z dumy, że ledwo zmieściłam się w drzwiach. Położyłam na biurku pani Kingi stosik książek.

– *Ania z Avonlea*, *Ania na uniwersytecie*, *Ania z Szumiących Topoli*, kolejna część Narnii – mruzczała, wpisując datę do kart. – Aha, i cała seria Jamesa Herriota, *Wszystkie stworzenia małe i duże...* Też bardzo lubię tego weterynarza! I *Chłopi* Reymonta.

Nigdy nie komentowała faktu, że wypożyczam te same książki po kilka razy.

Weszłam między regały. Co by tu? Zdobyłam się na odwagę i podeszłam do półek z nowościami. Zadziwiające, ile nowości kupuje ta niewielka biblioteka. Niestety, mój lęk jest silniejszy niż zamiłowanie do literatury i rzadko jestem w stanie przeczytać coś nowego. Czasami radzę się bibliotekarek.

– Jest może coś dobrego w nowościach?

Pani Kinga popatrzyła na mnie i zamyśliła się. Lubię, gdy ktoś rzetelnie podchodzi do swojej pracy.

– Niech się zastanowię... – powiedziała. – Krwawa sensacja, obrzydliwe horrory, głupie romanse, płytka obyczajówka... – wyliczała pracowicie, a ja zaczęłam się zastanawiać, kiedy wyrzucą ją z pracy za szczerłość. W końcu dodała: – Jest też trochę bardzo dobrych nowych książek, ale... większość, hm, trudna. Są wartościowe, ale dla niektórych czytelników zbyt przygnębiające.

Niektórych? Wiem których!

– Mam! – zawołała w końcu. – Pani Ewo, co pani powie na to?

Wyskoczyła zza biurka, podeszła do regału z nowościami i zdjęła z półki całkiem nowe wydanie *Pana Tadeusza*.

– Adam Mickiewicz, wieszcz narodowy!

Uśmiechała się, ale oczy miała poważne. A we mnie obudziła się od lat uspiona dusza filologa. Tyle godzin poświęciłam *Panu Tadeuszowi*, tyle prac o nim napisałam. Może rzeczywiście warto spróbować po prostu go poczytać? Dla przyjemności?

– Wezmę!

Bibliotekarka zadowolona wróciła do biurka i zaczęła wpisywać książkę na moją kartę, a ja znów weszłam między półki. Co by tu... O, Jane Austen! Chyba już rok nie czytałam. Na razie *Rozważna i romantyczna* i *Duma i uprzedzenie*. Znów spotkam Eleonorę, Mariannę, Elżbietę i pana Darcy'ego. Podeszłam do pani Kingi.

– Tylko tyle? – wyrwało jej się z głębi bibliotekarskiej piersi.

– Tak, bo... – Poczulałam, że zaraz zabraknie mi odwagi. – Bo dzięki temu będę mogła szybciej tu wrócić... – dokończyłam pospiesznie. – Lubię tu przychodzić.

Boże. Boże! Czy to ja powiedziałam? Chyba nie. To chyba nie byłam ja. Przez chwilę obawiałam się, że zapadnę się pod ziemię albo sufit zwali mi się na głowę. Nic takiego się jednak nie stało. Spojrzałam na bibliotekarkę. A ona się po prostu uśmiechnęła i powiedziała:

– Dziękuję. To bardzo miłe, co pani mówi. Zapraszam znowu, jak najprędzej!

Już miałam wyjść, gdy na stosie zwróconych tego dnia książek zauważyłam grubą antologię poezji.

– Jeszcze to poproszę.

W drodze do domu cały czas odtwarzałam w myślach tę scenę. Ja, Ewka konewka, rozmawiałam z bibliotekarką. Nie siedziałam schowana w domu lub swoim pokoju w przedszkolu, nie kryłam się za stosem książek, nie przemykałam chyłkiem ulicami, lecz rozmawiałam. Normalnie! Jak człowiek. Jak zwyczajny człowiek!

6

- Cześć, co tam u ciebie?
- W porządku. Wszystko dobrze.

I na tym nasza rozmowa mogłaby się zakończyć. Ale oboje lubimy słuchać swoich oddechów w telefonie, ciszy i słów, którymi nie umiemy przekazać tego, co istotne.

- A... tego... Jak zdrowie?
- Dobrze. Całkiem dobrze. A twoje?
- Dobrze, jak zawsze. O mnie nie ma co się martwić.

Pewnie chciał powiedzieć, że martwi się o mnie. Że się niepokoi, zastanawia, jak sobie radzę. Że ma nadzieję, że mi się poprawi. Że mnie kocha.

- A co tam u mamy?
- W porządku. Pozdrawia.

To znaczy: pozdrowiłaby, gdyby miała wyjątkowo dobry humor. I gdybyśmy z sobą rozmawiały.

- To fajnie.
- To znaczy: fajnie, że jesteś, tato.

Ostatnio polubiłam popołudniowe spacerowanie z Kajtkiem. Rano z trudem zwlekam się z łóżka, żeby wypuścić go do ogrodu, ale po powrocie z pracy bez problemu przypinam mu smycz i ruszam z nim w świat. Nie da się ukryć, że jakieś znaczenie ma tu pewien intrygujący romantyczny mężczyzna, który snuje się ostatnio po parku.

Park w Samulkach zaprojektowano z rozmachem, ale gustownie. Najbardziej lubię zakątek zwany (dość dziwnie) Alejami Drzew. To siedemnaście alejek, z których każdą obsadzono innym gatunkiem. Drzewa są jeszcze dość młode, więc na razie nie robią wielkiego wrażenia, ale i tak jest ładnie. Tajemniczy mężczyzna upodobał sobie czerwień alejki klonowej. Ja krążę z psem po całym parku. Być może dlatego nie spotkaliśmy się jeszcze twarzą w twarz.

Kiedy Kajtek obszczekał już kaczki przy stawie, obwąchał plac zabaw i obiegł boisko, pociągnęłam go w stronę alejki obsadzonej rozczochranymi wierzbami, a potem skręciłam w klonową. Nikogo tam nie było, więc zaczęłam chodzić w tę i z powrotem. Szłam, szurając nogami w opadłych liściach i obserwując falujący ogon psa.

Kajtek zatrzymał się przy drzewie, by je oznakować. Jako osoba subtelna i dobrze wychowana przeniosłam wzrok na pień klonu i zobaczyłam coś, co na chwilę odebrało mi oddech. Na ciemnej wilgotnej korze wryto napis: KOCHAM CIĘ, MADZIU! Czymś ostrym. Głęboko. Jakiś idiota. Zakochany idiota.

Byłam wstrząśnięta. Nie znoszę przemocy, nie mogę patrzeć na cierpienie, a tutaj poczułam się jak na ostrym dyżurze. Takie młode drzewko, takie delikatne – tak okrutnie pokaleczone. Po co? Dlaczego?

Nagle za moimi plecami rozległ się przyjemny męski głos.

– Urok natchniony wybrał dla swych wcieleń

Nie biel, nie czerwień, lecz tę miłą zieleń.

Okrutni, jak ich żądza, zakochani

Na tych pniach ryją imię swojej pani;

O, głupcy! Kiedyż zrozumiecie wreszcie,

Że w drzewach więcej piękna niż w niewieście?

Jeśli już kora drzew ma być raniona,

Ryjmy w niej tylko ich własne imiona^[1]

Obejrzałam się i zobaczyłam tajemniczego mężczyznę we własnej osobie. Z bliska wyglądał na niższego i szczuplejszego niż z daleka. Ale oczy! Oczy! Nigdy takich nie widziałam. Ciemne, prawie czarne, szeroko rozstawione, wąskie, z bardzo gęstymi rzęsami. Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Gapiłam się w nie, jakbym była u okulisty, który właśnie polecił: „Proszę patrzeć przed siebie i nie poruszać oczami”. Nie poruszałam, jako żywo!

Przyglądał mi się z uśmiechem.

– Pani chyba myśli podobnie? – zapytał (dość nieśmiało, jak na takie oczy).

– Yyy, no... – wymamrotałam, wpatrując się w te jeziora pełne zatopionych skarbów, w te jaskinie skrywające tajemnice niedostępne zwykłym śmiertelnikom, w te gwiazdy z niezbadanych odległych galaktyk... – Tak, to barbarzyństwo!

– Zakochani potrafią być okrutni, bo widzą tylko ukochaną osobę. Reszta to dla nich tylko tło...

– Eee... Czy ja wiem... Może nie? Może czasem miłość budzi w człowieku wrażliwość na innych? – wybąkałam, wciąż wpatrzona w oczy nieznanego.

Ciekawe, co o mnie pomyślał. Gapiłam się na niego jak przysłowiowe ciele na malowane wrota (nie, ciele chyba ma bardziej inteligentny wyraz twarzy... znaczy pyska). Pewnie nie ja pierwsza. Pewnie żadna dziewczyna nie potrafi oderwać od niego wzroku. Może już mu się to znudziło, może nawet go to męczy.

Uśmiechnął się (Jezu, mam nadzieję, że nie umie czytać w myślach).

– Myśli pani, że rycie imion drzew w ich korze to dobry pomysł?

Może i byłam oczarowana oraz olśniona, ale zachowałam odrobinę rozsądku.

– Myślę – odpowiedziałam dość przytomnie – że kaleczenie drzew zawsze jest barbarzyństwem. Nawet jeśli miałyby to być napis: NIE NISZCZYĆ ZIELENI.

O, chyba powiedziałam coś mądrego. Przeniósł wzrok ze mnie na pień klonu (dlaczego!?) i na dłuższą chwilę się zamyślił. Zaczął padać deszcz. Mżawka właściwie. Ale jakoś bardzo zimna i mokra, a ja nie miałam płaszcza ani parasolki.

– Yhm... – chrząknęłam, subtelnie, mam nadzieję. – Obawiam się, że muszę wracać do domu.

Znów na mnie spojrzął.

– Oczywiście. Przepraszam, że przeszkodziłem... I dziękuję za miłą rozmowę.

– To ja dziękuję... – powiedziałam i ugryzłam się w język, więc nie dowiedział się, że dziękuję za radość obcowania z ósmym cudem świata.

Uklonił się lekko, odwrócił się i odszedł alejką klonową, a ja powlokłam się nieprzytomnie sosnową i akacją i wyszłam z parku. Dopiero przed domem zorientowałam się, że tym, co mi po drodze przeszkadzało, jest Kajtek ciągnący za smycz.

^[1] Andrew Marvell, *Ogród*, przeł. Stanisław Barańczak.

To się nazywa drimoterapia. Sama wymyśliłam. Nazwę utworzyłam od angielskiego słowa *dream*, bo po polsku się nie składało. Snoterapia? Snotecznictwo? Bez sensu. Drimoterapia polega na powolnym zapadaniu w sen z tą miłą świadomością, że za chwilę człowiek przestanie się męczyć. Jest to metoda tylko dla zaawansowanych. Mniej wprawnym zdarza się albo zasnąć natychmiast, albo spędzić pół nocy na zmaganiach z czarnymi myślami. Za to fachowiec (czyli na przykład ja) potrafi wyczuć właściwy moment. Odkłada wtedy książkę, idzie umyć zęby (lub nie) i metodycznie wchodzi w proces drimoterapii: poprawia poduszkę, otula się kołdrą i z satysfakcją uświadamia sobie, że już za chwilę uśnie i wszystkie czarne myśli mogą go... no wiecie.

Tym razem coś mi jednak przeszkadzało. Dyszenie Kajtka. Co z tym psem?

– Zamknij pysk – rozkazałam.

Kajtek przestał dyszeć, ale zaczął walić ogonem w podłogę. Głupi. Przykryłam głowę kołdrą. Przypomniała mi się rozmowa z czarnookim w parku. O zakochanych, którzy potrafią być okrutni dla świata. Ciekawe, czy przeżył coś takiego. Może jakaś Ona go rzuciła, zostawiła z sercem krwawiącym i ponacinanym jak drzewo i co wieczór szczęśliwa paraduje z Tym Drugim pod jego oknami? Albo to on wyciął kiedyś jej imię na drzewie, a potem Ona odeszła, a on został sam z tym poranionym drzewem? Albo...

Dałam sobie spokój. Już wiedziałam, że nie obronię się przed wspomnieniami.

Sławek, mój przyjaciel. Agnieszka, moja kumpelka. Najpiękniejsi zakochani na świecie. Już zanim się poznali, byli dobrymi ludźmi, ale miłość zrobiła z nimi coś takiego, że... Ech. Na pewno nie stracili z oczu reszty świata. Wręcz przeciwnie. Dzielili się szczęściem z innymi.

Początkowo chodzili na randki jak normalni ludzie: do kina, do kawiarni, do Łazienek czy na Agrykolę. To im jednak nie wystarczało. Sławek już wcześniej przygotowywał program głośnego czytania w różnych placówkach. Teraz zabierał Agnieszkę z książkami do szpitali i domów opieki. Spędzali tam całe godziny. A Agnieszka, która studiowała na ASP, zabierała Sławka na różne akcje artystyczne w domach dziecka. Dzieciaki go uwielbiały, bo nosił je na rękach, huśtał na kolanach i bawił się z nimi w te wszystkie ciuciubabki i stare niedźwiedzie. Agnieszka patrzyła na niego z dumą, trącała mnie w ramię i szeptała: „Nadaje się na ojca, nie?”. Bo oczywiście wszędzie z nimi chodziłam, czy raczej to oni ciągalі mnie ze sobą. Później, kiedy wzięli ślub i zamieszkali razem, dołączył do nas młodszy brat Agnieszki, Jacek, który właśnie zaczął studiować medycynę i wprowadził się do nich na trzeciego. Był równie szurnięty jak oni i tak samo cieszyło go pomaganie innym... I pomyśleć, że ja też, z nimi...

Drimoterapię diabli wzięli. Wspomnienia wyrwały się spod kontroli, szczyrzyły zęby, ścisnęły gardło. Już nie mogłam sobie poradzić z czarnymi myślami. Tak naprawdę to nic nie ma sensu – ani wspomnienia, ani marzenia, ani terażniejszość. To, co było, skończyło się. To, co mogłoby być, nigdy się nie zdarzy. A to, co jest, i to, co będzie, to tylko rozpacz. I strach.

Nie miałam siły nawet poruszyć głową, więc zasnęłam na poduszce mokrej od łez.

– Misiu, kremowe i szkarłatne róże! – szczebiotła długonoga dziewczyna z ogromnym biustem i ufarbowanymi na czarno włosami. – O tym właśnie marzyłam! Do tego troszkę gipsówki i szeroka kremowa wstążka z gipiury. Będzie przepięknie! Bukiecik na każdej ławce, a przed ołtarzem wielki, wielki bukiet z tych samych kwiatów plus trochę asparagusa. Co ty na to, skarbie?

Wpadłam właśnie na sesję aromaterapii z elementami floroterapii do kwiaciarni Krokus. Wąchanie i oglądanie kwiatów zwykle mi pomaga. Przynajmniej na chwilę. Czasami nawet na kilka godzin. A nie czułam się najlepiej. W zasadzie czułam się źle. Właściwie całkiem fatalnie.

Oglądałam akurat precudny bukiet fiołków afrykańskich w przeróżnych odcieniach purpury i fioletu, gdy przyszło tych dwoje. Dla Renaty i Maćka tacy klienci to skarb. Czasami rozmowa zaczyna się od bukietu panny młodej, a kończy na dekoracji kościoła i samochodu. Potem jeszcze kwiaty dla drużny, to, tamto... Spojrzałam na radosną młodą parę i uświadomiłam sobie, że jestem człowiekiem zazdrosnym, zawistnym i ogólnie wrednym.

– Skarbie, co o tym myślisz? – ćwierkała dziewczyna, obejmując narzeczonego w pasie i zaglądając mu w oczy.

Chłopak, krępy, mocno zbudowany, z ogoloną głową i złotym łańcuchem na krótkiej grubej szyi, ucałował soczyście swoją królowną i powiedział dziwnie ciekim głosem:

– Fantastiko, zajebicie! Tylko co to jest gipiura?

Rzetelnie obejrzałam fiołki i podeszłam do róż. Co za zapach! Ta straszna dziewczyna, ten wieszak z biustem, ma jednak jakieś rozeznanie: od razu wypatrzyła najpiękniejsze kwiaty. Róże o ogromnych kremowych płatkach z delikatnym różowym odcieniem i te wysokie, tryskające świeżością, o ledwo rozwiniętych aksamitnych ciemnoczerwonych pąkach.

– Przepraszam, mogę?

No tak, miss świata chce popatrzeć z bliska. Ustąpiłam, pokornie przesunęłam się w rejon roślin doniczkowych. Skryłam się za okazałą dracena i zaczęłam podziwiać stojące w tej części kwiaciarni kompozycje z chryzantem i jesiennymi liśćmi.

Zadźwięczał dzwonek przy drzwiach. Wszedł szczupły elegancki mężczyzna w ciemnych spodniach, szarej marynarce, nieskazitelnie białej koszuli i gustownym

szafirowym krawacie. Stał przy ladzie, by poczekać, aż pani Renata skończy obsługiwać narzeczonych, ale kiedy tylko go zobaczyła, pospieszyła ku niemu z serdecznym uśmiechem.

– Tomek, witaj!

– Cześć, Renata. Dasz mi trzy białe róże? Nie, może pięć. Bez przybrania.

– Jasne, że bez przybrania. Są tak piękne, że nie trzeba niczego do nich dodawać. Dla Kingi?

– Mhm.

Zapatrzyłam się na spokojną twarz Tomka. Miał niebieskie oczy, wysokie czoło (czyli, inaczej mówiąc, zaczynał łysieć) i miły uśmiech. Spojrzałam na jego ręce. Bardzo ładne, silne, o szczupłych palcach i mocnych nadgarstkach. Na serdecznym palcu prawej dłoni dostrzegłam obrączkę.

– Jakaś okazja? – spytała pani Renata, wprawnie zawijając kwiaty w cienki lawendowy papier.

– Nie. Tak po prostu – powiedział Tomek zakłopotany, ale dziwnie radosny.

Szczęściarz. I jego żona też szczęściara, kurczę. Kurczę blade. Cholera jasna. Stanowczym krokiem osoby, która ma na głowie ważniejsze sprawy niż jakieś kwiatki, wymaszerowałam zza draceny i skierowałam się do drzwi. Znaleźliśmy się przy wyjściu jednocześnie, w tym samym momencie wyciągnęliśmy ręce w stronę klamki. Zatrzymałam się spłoszona. Tomek zdecydowanym ruchem chwycił klamkę i otworzył przede mną drzwi.

– Proszę – powiedział uprzejmie.

Ja się zabiję.

No to może ciastoterapia. Ciastoterapia ma wiele odmian, ale nie będę ich tu wszystkich omawiać. Nazwa jest chyba zrozumiała sama przez się, szczegóły można sobie dopowiedzieć. Osobiście preferuję pączkoterapię. Ostatnio jednak stało się coś niedobrego. Nie wiem, czy z pączkami, czy ze mną. W każdym razie przestały mi smakować. Początkowo nie chciałam w to wierzyć i konsekwentnie nadal je kupowałam, ale przyłapałam się na tym, że jedząc pączka, sprawdzam, ile mi go jeszcze zostało, a to, jak wiadomo, niepokojący objaw. Gdyby mi smakował, najpierw bym go zjadła, a potem sprawdzała, ile zostało, by w końcu ze smutkiem stwierdzić, że nic, i sięgnąć po następnego.

Cóż. Jak nie pączki, to może coś innego? Elastyczność. Elastyczność to klucz do sukcesu. Nie należy się zbyt uparcie trzymać swoich przyzwyczajzeń. Zdecydowanym krokiem weszłam do Łasucha i jak zwykle zaczęłam oglądać ciastka. Wdychając słodkie zapachy, zastanawiałam się, jak powiedzieć pani Małgosi, że nie chcę pączków. Trochę za długo. Pani Małgosia zdążyła już zapakować dwa i właśnie przesuwiała je do mnie po ladzie.

– Proszę!

Przecież nie powiem jej, że nie. Ale co będę jadła?

– Proszę jeszcze dwa palmiery – powiedziałam słabym głosem.

Zapłaciłam i wyszłam, bo nadciągnęli następni pacjenci. Znaczą klienci.

Pączki dałam koleżankom z pracy. Na szczęście nie pytały, z jakiej okazji. Znają mnie i wiedzą, że nie lubię rozmawiać. A palmiery, hm. Palmiery były jakieś dziwne. Nie, nie niesmaczne. Tylko... sama nie wiem. Zjadłam je, wypiliśmy kawę, ale wciąż jakoś nie mogłam złapać wątku. Przekładałam segregatory, stukałam bez sensu w klawiaturę i nie potrafiłam ruszyć z miejsca. Dlatego resztę dnia spędziłam z książką. Zwykle nie czytam w pracy (jeśli nie liczyć przerwy na kawę), lecz tym razem trochę nie miałam wyboru. To znaczą miałam, ale pasjans? Nie, dzięki!

Następnego dnia złapałam wątek, jednak nie chciało mi się nawet zaglądać do cukierni. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy ostatnio coś jadłam. Coś normalnego, nie ciastka. Nie umiałam sobie przypomnieć. Ostatnie dni zlewały się w jedną szarą papkę. Wydaje mi się, że mniej więcej przed tygodniem ugotowałam sobie pierogi z mrożonki. Tak, pierogi z serem. A potem Kajtek nie chciał ich jeść. Były jeszcze jakieś frytki w barze. No i w pracy kucharki często proponowały mi resztki zupy z kotła. Tak, jadłam zupę. Nie jest tak źle. Nie straciłam apetytu.

W niedzielę zabrałam Eleonorę i Mariannę do kawiarni Pod Aniołami. Byłam pewna, że uroczy lokalik przy kościele spodoba się dziewczynom. Potrzebowałam spotkania z Eleonorą. Jej zdrowe, trzeźwe podejście do życia naprawdę dobrze mi robi. Marianna pozachwycała się kawiarnią, pospiesznie wypila kawę i poszła do parku. To będzie cudowny romantyczny spacer, powiedziała. Słońce świeci tak pięknie, drzewa złocą się i czerwienią, i... i coś tam. Wychodząc, minęła się w drzwiach z moim czarnookim nieznajomym z klonowej alejki. Wszedł zamyślony, ze spuszczonego wzrokiem. Powiesił na wieszaku swój czarny płaszcz, szary włóczkowy szalik owinał sobie kilka razy wokół szyi, a potem zdjął go i zwinął w bezkształtny kłęb.

Kawiarnia Pod Aniołami to przybytek niedochodowy. Nie pracują tu profesjonaliści, tylko wolontariusze. Zapaleńcy. Najczęściej małżeństwa z dziećmi, czasem młodzież. Dziwni ludzie. Chce im się poświęcać wolny czas na coś takiego. Lokal jest otwarty w soboty i niedziele. Można tu wypić kawę, zjeść coś słodkiego, spotkać się ze znajomymi albo poczytać w miłej atmosferze (mają tu kilka półek z książkami i czasopismami). Rodzice są spokojni, bo dzieci mają tuż obok swój pokój z kolorową wykładziną i masą zabawek.

Wnętrze jest bardzo przytulne: ściany w kolorze czerwonego wina, na ścianach obrazki i złote aniołki; wygodne sofy, fotele, stare używane krzesła i ciemne stoliki, na stolikach serwetki i świeczki. Na półce za barem stoi kilkanaście rodzajów herbat w ozdobnych słoikach, na starodawnej komodzie pyszną się patery z ciastami domowej roboty, a na pięknym drewnianym bufecie lśnią nowoczesny ekspres do kawy, dzbanki z sokami i duży szklany słoik na datki.

Jako lokal parafialny kawiarnia nie ma cennika. Wszystko kosztuje „co łaska”. Wolontariusze mawiają, że jeśli kogoś stać, może wrzucić dwie, a nawet trzy „cołaski”, ale sama widziałam, jak biednym dzieciakom, które czasem tu zaglądną, dają lody i ciastka za darmo. Zdarza się też, że ubogi emeryt zaprasza do Aniołów przyjaciół, stawia im kawę, ciasta, lody i desery malinowe z bitą śmietaną, a potem wrzuca do słoja pięć złotych. A wolontariusze uprzejmie dziękują za datek, kłaniają się gościom i zapraszają ponownie. Zawartość słoja ledwie pokrywa zakup kawy, lodów i świec oraz opłaty za prąd. Ciasta pieczone są przez wolontariuszy. To, że lokal jeszcze nie splajtował, intryguje wielu przyjezdnych. Kiedyś słyszałam, jak ktoś przy barze objaśniał zainteresowanym zasady funkcjonowania kawiarenki, mówiąc: „Skoro Pan Bóg chciał, żeby to miejsce powstało, z pewnością zatroszczy się też o to, by przetrwało”. Zgrabnie powiedziane.

Dzisiaj za ladą stała piękna promienna kobieta o kasztanowych włosach i bujnych kształtach. Mój czarnooki nieznajomy nie zwrócił uwagi na jej serdeczny

uśmiech; przeszedł obok bufetu, niczego nie zamawiając, pokręcił się chwilę między stolikami, wreszcie zajął miejsce w ustronnym kącie przy półkach. Wziął książkę (zerknęłam na okładkę: wiersze księdza Twardowskiego), rozparł się wygodnie w fotelu i zaczął czytać. Usiadł trochę za bardzo w głębi, więc nie mogłam sobie na niego patrzeć. Ale przecież miałam gościa.

Eleonora wybrała mieszankę herbat Równowaga, ja zamówiłam kawę. Wolontariuszka ostrożnie postawiła na naszym stoliku podgrzewacz, czajnik i filiżankę.

– A może ma pani ochotę na ciastko? Sernik? Albo jabłecznik? Jabłecznik robiłam sama, sernik piekła pani Ela. A może kruche z owocami? Kinga przyniosła.

– Kinga? Ta z biblioteki?

– Tak! Wspominała ostatnio, że za rzadko pani tu przychodzi.

O kurczę. Rozmawiały o mnie. Chyba trzeba uciekać. Skąd ona mnie zna? Wolontariuszka zauważyła chyba, że się zdziwiłam, bo się roześmiała.

– Przecież pani pracuje w przedszkolu naszych dzieci.

No tak! Przypomniałam sobie jak przez mgłę. Tak, widywałam ją czasem wśród osób odbierających dzieciaki.

– Więc? Sernik, jabłecznik, kruche? Może proszę sobie obejrzeć i wybrać to, które się pani najbardziej spodoba.

Ruszyłam w stronę antycznej komody, wybrałam dwie porcje i nałożyłam na dwa talerzyki. Eleonora przyglądała się mojemu czarnookiemu nieznanemu.

– Znasz go? – zapytała.

– Nie... Niezupełnie. Rozmawiałam z nim raz w parku.

– Miły?

– Całkiem miły. Delikatny, uprzejmy. Trochę dziwny.

Przyglądała mu się dyskretnie znad filiżanki. Takiej to dobrze, z jej miejsca widać go doskonale.

– Ma ładne oczy – stwierdziła rzeczowo.

Ciasto wyglądało pięknie, ale było takie sobie. Bez smaku jakiegoś. Niemrawo grzebałam w nim widelczykiem. Eleonora przez chwilę obserwowała mnie w milczeniu.

– Za bardzo się wszystkim przejmujesz – powiedziała w końcu. – Wydarzenia i uczucia miotają tobą, jak chcą. A to ty musisz kontrolować sytuację. Posłuchaj swojego rozsądku. Przecież potrafisz analizować i właściwie oceniać fakty.

– Nie potrafię. Już od dawna.

– To spróbuj od nowa.

– O nie. Próbować od nowa to znaczy wierzyć w przyszłość. To nie dla mnie. Przede mną nie ma żadnej przyszłości.

– O czym ty mówisz, Ewa!?

Wzruszyłam ramionami. I tak nie zrozumie.

Ludzie są dziwni. Żyją sobie spokojnie na skraju przepaści, o krok od otchłani, i nawet jej nie widzą. Biorą śluby, kupują kwiaty, pieką ciasta, chodzą do kawiarni...

– Powinnaś wziąć się w garść – powiedziała Eleonora.

– Łatwo ci mówić.

– Mnie się udało.

Nie mogę w ten sposób rozmawiać. Ta kobieta, ze swoim rozsądkiem i swoimi faktami, jest jak walec drogowy. Jak rozpędzony kombajn.

A ja jestem jak dżdżownica. Przecięta na pół.

Wolontariuszka zaczęła szykować się do wyjścia. Zerknęłam na zegarek – do zamknięcia zostały jeszcze dwie godziny. Czyli pewnie ktoś przyjdzie ją zmienić. Po chwili zadzwoniły mosiężne aniołki przy drzwiach, coś zakotłowało się w wejściu, coś zaszurało i kawiarnię wypełnił hałaśliwy tłum.

Postawny, siwiejący, choć jeszcze dość młody mężczyzna z chłopczykiem na ręku przechylił się przez bufet i ucałował wolontariuszkę, a chłopczyk chwycił ją za szyję i zaczął krzyczeć:

– Cię loda! Cię loda!

– Mówi się „proszę”, a nie „chcę” – skarciła go kobieta.

Mężczyzna wrzucił do słoja pieniądze i poszedł z chłopcem na zaplecze. Po chwili do lady podbiegła ubrana w długą falbaniastą sukienkę dziewczynka z lokami do pasa. Chyba widziałam ją kiedyś w przedszkolu.

– Mamo, tata powiedział, że kupi nam lody!

– Tak, zaraz przyniesie.

Dziewczynka zaczęła się kręcić po kawiarni, przesuwać serwetki i świeczki na stolikach. Mężczyzna wrócił z lodami. Wręczył po jednej porcji dzieciom i nastolatkom, które właśnie weszły do kawiarni. Chłopak, równie wysoki jak mężczyzna, choć jeszcze nie tak potężny, wyszedł ze swoimi lodami na taras, a szczupła dziewczynka zaczęła jęczeć, że nie chce.

– Jedz, dziecko. Trochę cukru ci nie zaszkodzi – uciszył ją ojciec i zwrócił się do pięknej wolontariuszki: – Marzena, przywiozłem ci obiad, żebyś w drodze do domu z głodu nie zasłała. Wsadziłem już do mikrofalówki, chodź na zaplecze, zjesz sobie spokojnie. Ja będę obsługiwał.

– Wariat! Przecież bym wytrzymała! – zganiła go ze śmiechem kobieta.

Chłopiec i dziewczynka pobiegli do pokoju dla dzieci. Nowy wolontariusz zajął miejsce za ladą. Rozejrzał się po sali, uśmiechnął się do nas przyjaźnie i zrobił sobie kawę.

– Marzena! – krzyknął w kierunku zaplecza. – O której przychodzą Maja z Markiem?

– Zaraz powinni być!
– Ilu ludzi tu pracuje? – spytała Eleonora.
– Sporo. Często się zmieniają, to przecież weekendy, chcą też trochę czasu spędzić w domu. I nie mówią o sobie, że pracują, ale że służą.

Znów zadzwieczyły aniołki przy drzwiach. Nowo przybyli najwyraźniej często tu bywali, bo dorośli od razu zaczęli żartować z mężczyzną za barem, a trójka dzieci ustawiła się w kolejce po lody. Najmłodsze – płowłosą, rumianą dziewczynkę – chyba gdzieś już widziałam. Gdzie to mogło być? Po zastanowieniu (niech żyje dedukcja!) doszłam do wniosku, że musiało to być przedszkole. Spojrzałam na dorosłych. Hm, tak. Kojarzę tego bardzo wysokiego, brązowookiego, lekko siwiejącego bruneta z kręconymi włosami. To on odbiera dziewczynkę z przedszkola. Jakie te Samulki małe... A ta kobieta? O, la, la! Wysoka, szczupła, z poważną twarzą i migdałowymi oczami. Piękna para. I chyba bardzo w sobie zakochani.

Marzena wyszła z zaplecza, ucałowała gości i usiadła z nimi przy stoliku tuż obok ekspresu. Po chwili przy drzwiach znów się zakotłowało. Wpadły kolejne dzieci, wśród nich Ewunia. Wepchnęła się pierwsza i od razu pobiegła na zaplecze, a za nią Asia i nieco starszy od dziewczynek chłopiec.

– Zaraz! Co jest!?! Natychmiast wracać! – krzyknął mężczyzna, który wszedł chwilę po nich, i rzucił porozumiewawcze spojrzenie mężczyźnie za ladą i gościom przy stoliku. – Ewka, Aśka, Piotrek!

Dzieci wróciły posłusznie, ale wcale nie wyglądały na wystraszone.

– Co ja mówiłem? – strofował je mężczyzna, przegarniając palcami gęstą czuprynę. – Najpierw trzeba zapłacić.

Dzieciaki zaczęły wygrzebywać z kieszeni drobne i z namaszczaniem wrzucać je do słoja.

Kobieta, która z nimi przyszła, subtelna i delikatna jak młode drzewko, podeszła do bufetu i wyjęła coś z torby. Siwowłosy wolontariusz, do którego, o ile się nie przesłyszałam, mówiła Danek, z podziwem pokręcił głową.

– Kochani! – zawołał. – Maja przyniosła nowego anioła!

I podniósł do góry obrazek w drewnianej ramce, żeby im pokazać. Spojrzałam – i zabrakło mi tchu. Z ciemnego tła wyłaniał się jasny anioł z uniesioną ręką. Uśmiechał się lekko, prawie niezauważalnie, i unosił rękę w międzynarodowym geście „stop”, ale jego postawa wyrażała coś innego. Ten anioł mówił: „Spoko. Wszystko pod kontrolą”. I mówił to do mnie. Złapałam Eleonorę za rękę.

– Widzisz? Anioł!

– Tak, to anioł – potwierdziła spokojnie.

„Tak, to anioł”, też mi coś. Musiałam obejrzeć go z bliska. Ale jak, przy tych wszystkich ludziach? Wstałam i ruszyłam do toalety. Niestety, zanim zdążyłam

dotrzeć do lady, Maja wzięła obraz od Danka i odwróciła, by dopasować wieszaczek. Kiedy wychodziłam z łazienki, anioł wisiał już na ścianie. Świetnie pasował. Malarka cofnęła się o kilka kroków i przyglądała się mu. Zebrałam się na odwagę i stanęłam obok niej. Czułam więź łączącą ją z aniołem. Nie chciałam się między nich wpychać, ale musiałam, musiałam się upewnić. Tak. Ten anioł mówił o nadziei.

I stałam przed nim, w ciemności, z sercem czarnym od rozpacz, żołądkiem ściśniętym ze strachu i z oczami, którym prawie zabrakło już łez, z obolałą duszą i głową spęczniałą od wizji pełnych grozy i śmierci. I ostatkiem sił prosiłam go, żeby przekazał swojemu szefowi, by mi pomógł, bo ja już nie mogę.

Choć nie wierzyłam, że to coś da.

Maja stała spokojnie obok mnie i patrzyła na anioła.

– Trochę krzywo wisi – powiedziała w końcu.

– Kiedy wstałaś – poinformowała mnie rzeczowo Eleonora, gdy wróciłam do stolika – ten twój czarnooki odprowadził cię wzrokiem, a potem od czasu do czasu zerkał na drzwi do toalety.

Ale romantyczne, no naprawdę.

– Później wyciągnął z kieszeni notes i długopis i zaczął coś pisać. Podejrzewam, że to liścik do ciebie. Pewnie chce się z tobą spotkać. Pamiętaj, bądź przyjazna, ale zachowuj się z godnością. Nie zgadzaj się od razu. Uważaj, wstaje – mruknęła.

Tak, wstał. Minął nasz stolik, podszedł do bufetu, wrzucił monetę do słoja i wyszedł.

Popatrzyłam na Eleonorę.

– Liścik, aha.

– Daj mu trochę czasu – odpowiedziała niewzruszona.

Tymczasem Maja i Marek zmienili płytę w odtwarzaczu i zniknęli na zapleczu. Poprzednio kawiarnia rozbrzmiewała cichymi dźwiękami francuskich piosenek, teraz leciały jakieś religijne śpiewy z gitarami, trąbkami i tak dalej. Na szczęście też cicho.

– Czekaj, czekaj – przerwałam Eleonorze, która pouczała mnie w sprawie postępowania z nieśmiałymi mężczyznami. – Muszę posłuchać.

Po ciemniejącym wnętrzu rozchodził się ciepły głos wokalisty.

Nie ma Cię, Panie, nie ma Cię.

W moim życiu ciemno jest.

Rana ma krwawi, boli mnie.

Daj odpowiedź. Nie ma Cię...^[2]

Pomyślałam, że chyba śnię. Jak to możliwe, że ni stąd, ni zowąd słyszę piosenkę (pieśń chyba, czy jak to się nazywa?), która jest najdokładniejszym odbiciem mojej sytuacji? Głośno przełknęłam ślinę, łzy stanęły mi w oczach.

Eleonora spojrzała na mnie ze współczuciem, ale i lekką dezaprobatą.

– Chyba powinniśmy już iść – powiedziałam stropiona.

Maja i Marek przynieśli z zaplecza czyste naczynia i zaczęli układać je na półkach, rozmawiając półgłosem, jakby nie chcieli zagłuszać muzyki.

– Mareczku, daj tutaj dwie filiżanki – poprosiła Maja, wyciągając ręce, a on z szelmowskim błyskiem w zielonych oczach podał jej dłonie.

– Marek, uważaj, bo żona naleje ci kawy w garści! – zawołał wysoki brunet.

– Zrób tak, Maju! – zachęciła siedząca obok niego kobieta. – Skoro tak bardzo prosi...

Postawiłam puste talerzyki na ladzie. Próbowałam odczytać napis na leżącym koło odtwarzacza pudełku od płyty, ale niestety było za ciemno. Kawiarnię oświetlały tylko świeczki w ręcznie malowanych szklanych osłonkach. Wrzuciłam pieniądze do słoja. Chciałam jeszcze odnieść filiżanki i czajnik, ale Marek wyskoczył zza bufetu.

– Ależ, proszę pani! Proszę to zostawić, ja posprzątam. Muszę coś zrobić, bo żona wyrzuci mnie z pracy – dowcipkował, sprzątając nasz stół.

Maja uśmiechnęła się i spojrzała na niego z pełnym czułości politowaniem.

Wyszliśmy na zewnątrz. Było zimno, ciemno i ponuro. Ciekawe, co Marianna miała na myśli, mówiąc o pięknym dniu.

Żeby chociaż ten pies mógł się przejść szybko jedną stroną ulicy, wrócić drugą i myk, do domu. Ale nie! Ciągnął mnie w stronę parku, jakby nie rozumiał, że chce mi się spać, że jest mi zimno i źle. Jakby uważał, że jest najważniejszy na świecie, a wyprowadzanie go jest dla mnie rozkoszą. Głupi.

Jedną ręką przytrzymałam pasek płaszcza, drugą, tą, w której ścisnęłam smycz, usiłowałam poprawić spadający z głowy kaszmirowy szal.

– Prrr! Stój! No stój! – krzyczałam na Kajtkę.

Ale gdzie tam. Gdzieś zniknęły jego dobre maniery, nie był już wytresowany. Zachowywał się jak... zwierzę. Pociągowe.

W parku zwolnił. Spokojnie dreptał przy nodze, wężąc i od czasu do czasu znakując drzewa. Nie wiedziałam, że o tej porze jest tu tylu ludzi z psami. Rzadko wychodziłam z Kajtkiem wieczorem, ale dzisiaj nie było popołudniowego spaceru.

Ruszyłam w stronę Alei Drzew, bo było tam względnie najspokojniej. Skrecałam właśnie z alejki sosnowej w jarzębinową, gdy na końcu klonowej zamajaczyła mi jakaś postać. Po chwili weszła w światło latarni. No tak. Mój czarnooki nieznajomy. Doszłam do końca alejki jarzębinowej i zmusiłam Kajtkę, by zawrócił. Tak jak sobie wyliczyłam, spotkaliśmy się na skrzyżowaniu. Ukłonił mi się, skinęłam głową. Podszedł do nas bez słowa i ruszyliśmy we troje aleją sosnową.

– Bardzo lubię jesień – zaczął.

Zatrzymałam się wstrząśnięta. Nie! On chyba nie jest normalny! Lubi jesień!

– Skłania do przemyśleń, nie uważa pani?

– Uważam, że przemyślenia nie zależą od pór roku – sprzeciwiłam się odważnie. – Albo człowiek myśli, albo nie. I tyle.

– Ach, pani podchodzi do tego zbyt filozoficznie. Ja rozumiem dużo prościej. Zgodzi się pani ze mną, że jesień skłania do rozmyślań o śmierci i przemijaniu?

– Tak, tak – odpowiedziałam znużona.

Co on chce mi powiedzieć? Że jesienią więdną liście, przyroda zamiera, a na grobach palą się znicze? Westchnęłam ciężko.

– Niech się pani nie obawia. Nie będę mówił o spadających liściach, zamierającej przyrodzie i zniczach.

– Nie? – zainteresowałam się. – No, no...

– Chodzi mi o nadzieję, że kiedyś znów będzie wiosna. Proszę posłuchać.

Unieruchomił mnie swoimi czarodziejskimi oczami, wyjął z kieszeni mały notesik i zaczął czytać szeptem:

– *Nadzieja. Mała siostrzyczka Wiary i Miłości.*

Nic nie robi.

Niczego nie zmieni.

Zmoknięta zmarznięta

Stoi

wśród jesiennej zawieruchy.

Chwyta liście wiatrem gnane,

układa z nich bukiet

i mówi, że

będzie wiosna.

Poezjoterapia, jasny gwint. O czym ten człowiek mówi! Jaka nadzieja? Miałam ochotę rzucić się na niego z pięściami, ale musiałam skupić się na jednoczesnym wycieraniu nosa i trzymaniu smyczy, bo Kajtek akurat zaczął bawić się z jakimś psem.

– Czy mogę pani jakoś pomóc?

Podniosłam głowę i zobaczyłam tego wysokiego mężczyznę, którego widziałam po południu w kawiarni Pod Aniołami. Trzymał na smyczy kudłatego psa, który wyglądał jak mieszaniec owczarka niemieckiego z jamnikiem i z zapalem obwąchiwał Kajtka, machając puszystym ogonem.

– Nie, dziękuję – wymamrotałam.

Chciałam odejść, lecz psy bawiły się w najlepsze i ani myślały przestawać.

– Nie chcę się narzucać. Ale widziałem panią w kawiarni, a moja najmłodsza córka chodzi do przedszkola, w którym pani pracuje, więc w pewnym sensie jesteśmy znajomymi... Więc wszystko w porządku?

– Tak. Dziękuję.

A potem, a co mi tam! wyciągnęłam do niego rękę.

– Ewa.

– Robert. – Ucałował moją dłoń.

– Bardzo mi miło – wybąkałam. I nie wiedziałam, co dalej. – Yyy, przepraszam, chyba muszę już iść.

– Mnie również bardzo miło. Proszę nie chodzić samotnie wieczorami w tej części parku. Tam – wskazał w stronę stawu – jest więcej ludzi. Chodź, Bilbo, idziemy.

Bilbo? Jak z Tolkiena. Hm, to w sumie bardzo dobry pomysł. Wypożyczę sobie *Hobbita*. Na *Władcę pierścieni* chyba bym się nie odważyła. Ta ciemność, ta groza gęstniejąca z każdą stroną... Nie, to nie dla mnie. A raczej za bardzo dla mnie.

^[2] Marcin Gajda, *Nie ma Cię*.

Dziś aż do pierwszej pracowałam całkiem żwawo jak na siebie. Potem, kierowana bardziej siłą rozpędu niż rzeczywistą potrzebą, pojechałam na rowerze do Łasucha. Obejrzałam ciastka, czując, że w żołądku rozpycha mi się dziwna pustka, kupiłam pączka na odczepnego, w zasadzie głównie po to, żeby nie martwić pani Małgosi, i wróciłam do pracy. Próbowałam pić kawę, nadgryzłam pączka, ale dałam sobie spokój. Otworzyłam *Dumę i uprzedzenie*. Po raz nie wiem który w swej czytelniczej karierze pozazdrościłam Elżbiecie pogody ducha.

Skończyłam na wyjeździe Charlotty z mężem i – jeszcze zanurzona w atmosferze Longbourn – poruszyłam myszką i włączyłam przeglądarkę. Od kilku dni tego nie robiłam. Najwyraźniej informatyk zmienił ustawienia, bo zamiast wyszukiwarki otworzyła się strona z wiadomościami z kraju i ze świata. Czyli coś, do czego sama z siebie na pewno bym nie zajrzała. Ale stało się. Wystarczył rzut oka, żeby mnie sparaliżowało. Nie mogłam się ruszyć, choć w głowie wyświetliło mi się czerwonymi literami: UCIEKAJ! Czytałam i czytałam, machinalnie klikając na kolejne artykuły. Zaczęło mi się kręcić w głowie.

W końcu wyłączyłam komputer i poszłam do łazienki. Zwymiotowałam, ale to nie pomogło. Nadal bolał mnie brzuch, pękała mi głowa, nogi miałam jak z gąbki, a ręce były zimne i drżały. Tak właśnie wygląda moja konfrontacja ze światem.

Wszystkie nieszczęścia, katastrofy i zagrożenia wylazły z komputera i zagnieździły się gdzieś za moim mostkiem. Być może niektórzy umieją sobie radzić z taką dawką cudzego bólu i krzywdy... Być może niektórzy potrafią zapomnieć chwilę po przeczytaniu. Albo są uodpornieni (ale jak?) i potrafią żyć z tą wiedzą. Ja nie.

Ależ głupek ze mnie. Przecież siebie znam, mogłam to przewidzieć. Dlaczego nie zamknęłam tej strony? Dlaczego gapiłam się jak zahipnotyzowana, wchłaniając całe to zło?

Teraz mam za swoje.

Przez resztę dnia wpatrywałam się nieobecny wzrokiem w wyłączony komputer. Nie miałam nawet siły czytać.

Po wyjściu z pracy zauważyłam, że niebo jakby się obniżyło. Prawie leżało na dachach domów i koronach mokrych drzew. Miało ponury stalowosiny kolor i uporczywie moczyło świat zimną mżawką. Było już dosyć ciemno, wiał nieprzyjemny przenikliwy wiatr. Latarnie nie rozpraszały mroku, potęgowały tylko upiorny nastrój. Ogłuszona czarnymi wizjami, które przewalały się z hukiem w mojej głowie, bezwiednie pojechałam okrężną trasą.

Niebo obniżyło się jeszcze bardziej, więc musiałam pochylić się nad kierownicą jak zawodowy kolarz. Czulałam, że jeśli podniosę głowę, znajdzie się

ona na jakimś niebezpiecznym terytorium i mogę ją na zawsze stracić.

Fontanna na rynku w niczym nie przypominała swojego beztroskiego letniego wcielenia. Stała ponura jak mroczny kosiarz, na dnie lśniła jakaś ciecz. Chyba krew. W bramach i podcieniach czaili się jacyś ludzie. Bandyci, narkomani i zboczeńcy zapewne. Gdzieś zza okna dobiegał płacz małego dziecka. Bez wątpienia matka porzuciła je i zostawiła z agresywnym ojcem alkoholikiem. Biedne maleństwo. Na pewno ma ośmioro rodzeństwa. Wszyscy prędzej czy później zejdą na złą drogę. W najlepszym razie będą wegetować na koszt pomocy społecznej. Kiedy wreszcie dotarłam do nowej dzielnicy, pogratulowałam sobie, że założyłam kaptur. Szelest ortalionu skutecznie zagłuszył strzały, jęki i wybuchy. Wąskie ulice z małymi ogródkami, które kiedyś lubiłam oglądać, są pewnie teraz zasłane trupami i gruzem. Nie będę się tam pchała, przeszkadzałabym tylko w akcji ratowniczej. Skręciłam na południe. W niektórych miejscach było dziwnie pusto i ponuro, w innych z kolei ludzie zachowywali się podejrzanie, podchodzili do siebie i rozmawiali albo mijali się bez słowa. Strasznie mnie to wszystko zmęczyło. Tęskniłam do Kajtka, do jego szczekania, roześmianego pyska i falującego ogona. Kajtek, Kajtek. Pewnie zrobił już podkop i uciekł. To mądre zwierzę, może wpadł na to, że nie ma sensu marnować życia w moim towarzystwie.

Nagle usłyszałam cichy brzęk i wylądowałam na mokrej jezdni. Bolesny kontakt z rzeczywistością. Wypełzłam spod roweru i usiadłam na krawężniku. Zdjęłam kaptur (przeszkadzał mi w myśleniu) i rozejrzałam się w poszukiwaniu pomocy. Ulica była jednak pusta i zastanawiająco nieznaną, jakbym niespodziewanie znalazła się w obcym mieście. Poczulałam się, jakbym była zupełnie sama w Samulkach. Ale postanowiłam być samodzielna.

Wstałam i podniosłam rower. No tak, spadł mi łańcuch. Oparłam rower o latarnię i starając się nie zwracać uwagi na obrzydliwy czarny smar, próbowałam założyć łańcuch na zębatki. Nic z tego. Podnosiłam rower, kręciłam kołami i pedałami, kombinowałam z jednej i z drugiej strony... wszystko na nic.

Zmęczona i przygnębiona usiadłam na asfalcie. Schowałam twarz w dłoniach, wyciągnęłam przed siebie nogi. Może mnie ktoś rozjedzie? Byłby wreszcie spokój. Po co mam zajmować miejsce na świecie? Jestem stara, brzydka i nieprzystosowana. Nie umiem nawet założyć łańcucha. Człowiek, który nie potrafi spokojnie przeczytać wiadomości z kraju i ze świata, który boi się radia i telewizora, nie nadaje się do życia.

Z ciemności, która wokół mnie zgęstniała, przyplęnęło wspomnienie tamtej chwili, gdy zobaczyłam siebie w telewizji. Znów poczułam to samo przerażenie i ten sam wstręt. Zrobiło mi się niedobrze.

Wtem jakieś trzydzieści metrów ode mnie zatrzymał się samochód. Od strony pasażera wysiadł mężczyzna w granatowo-żółtej wiatrówce.

– To podrzuć mi jutro te faktury do pracy – powiedział do kierowcy

i zamknął drzwi.

Samochód ruszył, ominął mnie szerokim łukiem i odjechał, gwałtownie dodając gazu. Mężczyzna w wiatrówce skierował się do furtki za moimi plecami. Zaszleścił ortalion, zadzwoniły klucze, pisnęły zawiasy. Właśnie zaczęły mnie łąpać dreszcze, gdy znów usłyszałam szelest i poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia.

– Proszę pani?

Nie odpowiedziałam. Niech spada, zboczeniec.

– Czy mogę jakoś pomóc? Dobrze się pani czuje? Co się stało?

W końcu podniosłam głowę i spojrzałam na niego. A co tam. Powiem mu.

– Nic się nie stało. Jestem względnie młoda i względnie zdrowa, mam pracę i dom. Nie mam męża, który mógłby mnie zdradzać, nie mam dzieci, które mogłyby zostać porwane albo zachorować na białaczkę, nie mam przyjaciół, których mogłabym stracić, nie jestem ofiarą katastrofy samolotowej, nie straciłam dorobku całego życia w pożarze ani powodzi...

Dziwnie na mnie patrzył. Pochylał się nade mną, jakby złapało go lumbago, z idiotycznej grzywki spływały mu na twarz krople deszczu. W jego oczach zauważyłam, bo ja wiem? Zaciekawienie? Niedowierzenie? Nie, już wiem – fascynację. No, mówiłam, zboczeniec.

– Łańcuch mi spadł – dodałam takim tonem, jakbym wyznawała grzech ciężki.

Zdecydowanym krokiem, jak rycerz wyruszający na bój, podszedł do mojego roweru. Przykleknął, podwinął rękawy i przystąpił do oględzin.

– Zakleszczył się – oznajmił, odwróciwszy się do mnie. – Ma pani narzędzia?

Boże. Więc jednak nie zboczeniec. To po prostu głupek. Narzędzia? Gdzie, w kosmetyczce? Ukryłam twarz w dłoniach. Po chwili usłyszałam brzęk. Zerknęłam przez palce. Mój wybawca otworzył pojemnik pod siodełkiem. Wstałam, podeszłam i kucnęłam obok. Przemoknięte dżinsy nieprzyjemnie oblepiały mi nogi. Mężczyzna sprawnie nałożył łańcuch, schował narzędzia i spojrzał na mnie spod tej swojej grzywki.

– Może wstąpi pani do mnie na chwilę, żeby się ogrzać? Mieszkam tutaj. Zrobię pani herbaty...

A więc jednak zboczeniec!

– Dziękuję, ale muszę już wracać. Czekają na mnie.

– No, tak... – Chyba poczuł się dotknięty. – Oczywiście.

Wyjął z kieszeni chusteczki higieniczne, wytarł siodełko i kierownicę i podał mi rower.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. I do widzenia – dodał, jakby istniał choć cień szansy, że

jeszcze kiedyś się spotkamy.

Skręciłam w najbliższą przecznicę i odkryłam, że jestem całkiem niedaleko domu. Po kilku minutach stałam już w przedpokoju i głaskałam szalejącego z radości Kajtka. Pies miotał się po przedpokoju, walił ogonem w ściany i podskakiwał. Nie skłamałam, mówiąc, że w domu na mnie czekają. Czekali Kajtek i jego ogon. Zerknęłam w lustro i zamarłam. Wiedziałam, że moją głowę i policzki oblepiają mokre włosy, domyślałam się, że mam czerwony nos. Ale nie wiedziałam, że całą twarz mam w smarze.

Rano nie miałam siły wstać. W południe też nie miałam siły wstać. Kajtek wskakiwał na łóżko, lizał mnie po twarzy i rękach, skomlał i błagał, bym go wypuściła. Wstałam, wstałam, nie jestem aż takim potworem. Wypuściłam psa, poszłam do łazienki, wpuściłam psa i wróciłam do łóżka. Postanowiłam zostać tam do końca życia. Czyli, mam nadzieję, już niedługo.

Otuliłam się kołdrą i zamknęłam oczy. Zadzwoił telefon. Nie, nie. Proszę mi nie przeszkadzać. Nie mogę odebrać. Mam właśnie sesję drimoterapii. Zasnęłam. Obudził mnie głód i Kajtek skomlaący pod drzwiami. Przez dłuższy czas zbierałam siły, w końcu udało mi się zwlec z łóżka. Wypuściłam Kajtka, wyjrzałam na zewnątrz. No tak. Nic ciekawego. Szaro, ciemno. Sprawdziłam, czy nie mam okularów przeciwsłonecznych. Nie miałam. A więc stało się. Mrok opanował ziemię.

Wzięłam z kuchni tabliczkę czekolady i wpuściłam Kajtka. Dyszał wesoło, otrząsał się i machał ogonem, jakby było się z czego cieszyć. Zrobiło mi się go szkoda. Ostatnio nie byłam dobrą panią.

– Chodź, Kajtek – powiedziałam, kładąc się do łóżka.

Pies radośnie wskoczył na pościel i ułożył się obok mnie. Pogłaskałam go po głowie. Walił ogonem w kołdrę i dyszał.

– Oj, głupku, głupku. Z czego tak się cieszysz?

Przytuliłam go, moje łzy spływały wprost na futro psa. Zaczęłam głaskać jego jedwabistą sierść. Trochę pomogło. Rozpakowałam czekoladę, Kajtek usiadł na łóżku i czujnie mi się przyglądał. Ułamałam kawałek, spróbowałam. Czekolada jakby puchła mi w ustach. Była zupełnie bez smaku. Obejrzałam opakowanie, ale wyglądało normalnie. Z trudem przełknęłam.

– Nie chcesz tego, Kajtek. Niedobre, mówię ci.

Zrezygnowany klapnął na pościel, wyciągnął się wygodnie i zamknął oczy. Pogłaskałam go po uszach, a on lekko pomachał ogonem i położył łapę na mojej ręce.

To się nazywa dogoterapia, czyli psolecznictwo. Leżę sobie obok psa, wtulam twarz w kudłatą sierść na jego karku, gładzę go po głowie jedną ręką, a po boku drugą... Czuję płynące od niego intensywne fale serdeczności i zaufania. Oto ktoś, dla kogo coś znaczę. Ktoś, kto mnie potrzebuje.

Telefon! Podskoczyłam wystraszona. Kajtek zaczął szczeleć. Nie odbiorę, nie mogę. Jestem zajęta. Dogoterapia.

I wtedy nagle sobie uświadomiłam, że jest środek tygodnia, a ja od kilku godzin powinnam być w pracy. I że to pewnie szefowa. Odebrałam.

– Halo? – powiedziałam zrezygnowana.

– Ewa! Żyjesz? Co się stało? Dlaczego cię nie ma?

Szefowa wydawała się bardziej zaniepokojona niż zła. No, przyłapała mnie ostatnio kilka (dobra, kilkanaście) razy na wpatrywaniu się w wyłączony monitor, ale to przecież jeszcze nic nie znaczy. Mogłam przecież rozmyślać o... o pięknie przyrody... na przykład.

– Cześć – jęknęłam. – Nie mogę wstać...

O nie! Wyrwało mi się. Co teraz? Wezwie karetkę? Wpakują mnie w kaftan bezpieczeństwa?

– No tak, grypa szaleje – powiedziała szefowa współczująco. – Leż w ciepło, nie przemęczaj się. Weź coś przeciwgorączkowego. Leż, kuruj się i niczym się nie martw.

Nie mogę zasnąć. No to poczytam. Przez kilka minut wpatrywałam się w litery, a potem uświadomiłam sobie, że nic nie przeczytałam. Odłożyłam książkę. Ssało mnie w żołądku, ale na samą myśl o jedzeniu zrobiło mi się niedobrze.

Zasłony były zaciągnięte, więc nie bardzo się orientowałam, która może być godzina. Nie miałam siły zerknąć na zegarek w telefonie. Przypomniała mi się tamta piosenka z kawiarni. *Nie ma Cię, Panie, nie ma Cię...* Łzy napłynęły mi do oczu. Dlaczego? Dlaczego Cię nie ma? Gdzie jesteś?

Nagle ogarnęła mnie wściekłość. Zaczęłam krzyczeć. Przestraszony Kajtek zeskoczył z łóżka, usiadł na podłodze i utkwiał we mnie zdumiony wzrok.

– Dlaczego Cię tu nie ma!? Gdzie jesteś!? Dlaczego tak spaprałeś ten świat!?

Uderzyłam pięścią poduszkę. Kajtek ochoczo wskoczył na łóżko i zaczął radośnie lizać mnie po twarzy.

– Leżeć! – wrzasnęłam. Nie mogłam przestać gadać. – Przecież kiedyś Ci ufałam, wierzyłam Ci! Chodziłam do kościoła! I co? Nico! Nie dość, że zabrałeś mi przyjaciół, to jeszcze każesz mi dalej żyć na tym paskudnym świecie! A ja mam tego dosyć! Dosyć bólu i smutku, wojen, terrorystów, głodu i chorób! Głupich ludzi, dewastacji środowiska i w ogóle wszystkiego!

Uspokołam się. Bardzo się uspokołam. Już nie płakałam i nie krzyczałam. Skończył się czas płakania, skończył się czas narzekania. Nadszedł czas działania. Wiedziałam, co robić. Wyszłam z łóżka. Nie zwracając uwagi na podskakującego i płaczącego się pod nogami psa, poszłam do kuchni, wzięłam nóż, przyłożyłam do nadgarstka i...

I w tej chwili zadzwonił telefon.

No jasne, że nie odbiorę. Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. A to nie jest film. To jest życie. To znaczy śmierć.

Telefon wciąż dzwonił. Poszłam do sypialni i spojrzałam na wyświetlacz. Pani Mirka. Cholera jasna, kwiatki! Zupełnie o nich zapomniałam. Kiedy oni wyjechali? Chyba z tydzień temu. No ładnie...

– Halo?

Usłyszałam jakieś chlipnięcie, a potem dziwnie schrypnięty, łamiący się głos mojej sąsiadki.

– Ewa... Janusz miał zawał...

Usiadłam na łóżku. Nie! Protestuję. Ja się nie zgadzam, absolutnie.

– Bardzo z nim niedobrze...

Zaraz, zaraz. Czyli żyje. Pani Mirka znów chlipnęła. Powinam chyba coś powiedzieć. Tylko co?

– Ewa, słuchaj, mam prośbę. Idź jutro do kościoła, złap księdza i zamów mszę świętą z prośbą o... o ratunek dla Janusza.

Oszalała. Po prostu oszalała z bólu.

– Co mówią lekarze? – wydusiłam.

– Żeby się modlić. Zrobili, co mogli, reszta w rękach Boga.

No, tu bym dyskutowała. Ale przecież nie będę odbierać resztek nadziei tej dobrej kobiecie.

– Dobrze. Zaraz rano polecę.

Ogarnęła mnie senność. Ze znużeniem przypomniałam sobie o kwiatkach. Ech. Może jutro. Chcę spać. Tylko spać.

– Księdza? A jakiego? – dopytywała zamiatająca kościół kobieta w poliestrowym fartuchu.

Jezu, jak to jakiego? Takiego w sutannie, z koloratką.

– No, tutejszego – wybąkałam, wodząc wzrokiem po lśniących drewnianych ławkach i marmurowej posadzce.

Dziwnie się czułam. Miałam wrażenie, że po wczorajszej awanturze Bóg się na mnie obraził, więc nie mam prawa tu być.

– Przecież dwóch mamy, pani nie wie? Nietutejsza pewnie, co?

Hm, cóż. Bardzo rzadko bywam w kościele, a jak chodzą po kolędzie, to specjalnie idę na spacer albo udaję, że nie ma mnie w domu.

– Bo wie pani – kontynuowała – jest ksiądz Mirosław, znaczy proboszcz, i ksiądz Andrzej, rezydent. Ksiądz Mirosława już nie ma, pojechał do szkoły, uczyć religii. Święty człowiek. – Spojrzała na mnie groźnie, jakby to była moja wina, że ten święty człowiek musi uczyć religii. – Święty człowiek, ale pojechał.

– A ten drugi?

– Ksiądz Andrzej jest bardzo zajęty. Zawsze zajęty. Boże, jak on się przepracowuje! Nie wiem, czy znajdzie dla pani czas. Święty człowiek, ale strasznie zapracowany. – Znów popatrzyła na mnie surowo.

– To co mam zrobić?

Niespodziewanie się uśmiechnęła.

– A nic. Pójdę i się zapytam. Pani sobie siądzie i poczeka. Różaniec zmówi.

I odeszła, zostawiwszy szczotkę na środku kościoła.

Usiadłam w ławce. To może potrwać. Dobra okazja, żeby się zdrzemnąć.

Oparłam ręce na pulpicie i położyłam na nich głowę. Ale cisza. Aż dzwoni. No, właśnie. Tak to właśnie jest. Człowiek się męczy, szarpie, w końcu przychodzi do kościoła, a tu nic. Cisza. Nikogo.

Stuknęły jakieś drzwi, rozległy się kroki, zaszeleścił materiał. Z trudem podniosłam głowę. Stał przede mną wysoki, szczupły ksiądz, na oko sześćdziesięcioletni, z jasną młodzieńczą grzywką i uważnymi niebieskimi oczami. Zaczęłam się niezadarnie gramolić, ale powstrzymał mnie ruchem ręki i usiadł koło mnie (trochę za blisko, jeśliby mnie ktoś pytał). Na pulpicie położył grubą książkę w czarnej skórzanej okładce zamykanej na suwak.

Wyjaśniłam mu, z czym przychodzę. Chyba znał pana Janusza, bo się zasmucił, westchnął i spuścił wzrok. Po chwili spojrzął na mnie pogodnie.

– Załatwione. Zadzwoń do Mirki, pozdrów ode mnie ją i Janusza i powiedz, że msza zostanie odprawiona jeszcze dzisiaj.

– Dziękuję.

Już miałam wstać, ale położył szczupłą bladą dłoń na mojej ręce.

– Jeszcze coś.

– Co? – spytałam zaskoczona.

Uśmiechnął się lekko, jakby żartobliwie, ale jego jasne oczy patrzyły na mnie z powagą i – tak, chyba tak – z czułością.

– Ty – odpowiedział.

Ja? A co ja tu mam do rzeczy?

– Nie rozumiem.

Co on, podrywa mnie, czy co? Ludzie! Ksiądz! W kościele!

Wciąż na mnie patrzył, poważnie i tak spokojnie, jakby wcale nie był zajęтым człowiekiem, wręcz przeciwnie – jakby miał nieskończenie dużo czasu. Jezu. Doznałam olśnienia. On wcale nie chce ze mną flirtować. Jemu chodzi o moje zmartwienia.

Aż się spociłam. Zaczęły mi drżeć ręce.

– Dlaczego Go nie ma? – wybuchłam.

Samą mnie to zaskoczyło, chyba bardziej niż jego. O dziwo, od razu zrozumiał, że nie pytam o księdza proboszcza.

– Jest – powiedział spokojnie, z niezachwianą pewnością.

– To dlaczego nie odpowiada, kiedy do Niego wołam?

– Może odpowiada, tylko nie słyszysz, bo jesteś zbyt zajęta wołaniem?

Chciałam zaprotestować, lecz się zawahałam. Może coś w tym jest...

– Tutaj znajdziesz odpowiedź. Proszę. – Podał mi swoją grubą książkę.

– Mam to całe przeczytać? – spytałam urażona.

Żartowniś.

– Nie. Otwórz w dowolnym miejscu i przeczytaj fragment.

– To jakaś wróżba?

– Nie. To modlitwa. Otwórz.

Patrzyłam na niego zdziwiona i wystraszona, ale zaciekawiona. Spróbuję. A właśnie że spróbuję. Książd Andrzej zsunął się z ławki na kolana. Miał zamknięte oczy i spokojną twarz. Otworzyłam Biblię. Zamyśliłam się. Po długiej chwili zorientowałam się, że też mam zamknięte oczy. Kiedy podniosłam powieki, zobaczyłam zdanie: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają”^[3].

Kiedy przyszedłam do pracy o ósmej (ósmej!), szefowa o mało nie spadła z krzesła.

– Jesteś! – zawołała z podziwem i niedowierzaniem. – Już wyzdrowiałaś?

– Eee... no, nie. Wiesz... muszę do lekarza.

– No, tak, oczywiście. – W jej niebieskich oczach zobaczyłam troskę. – Podrzucić cię do przychodni?

– Nie, dzięki. Muszę jeszcze wyprowadzić psa i no... przygotować się.

Nie odrywała ode mnie wzroku. Czyżby coś podejrzywała? Możliwe. Jak na człowieka chorego na gripę byłam chyba zbyt żwawa.

– Wzięłabym urlop, dobrze? Kilka dni.

– Oczywiście.

Wciąż się we mnie wpatrywała. Może jakoś dziwnie wyglądam?

– Wpadnę jeszcze na chwilę do siebie, muszę coś... eee... sprawdzić w komputerze – powiedziałam i pospieszyłam do swojego pokoiku.

Po drodze gonił mnie zapach zupy mlecznej. O mało nie zwymiotowałam.

Wróciłam do domu zmęczona i roztrzęsiona. To było straszne. Znudzona lekarka zadawała mi rutynowe pytania, na które odpowiadałam równie rutynowo, starannie filtrując informacje. Zgoda, jestem chora, potrzebuję leczenia, tylko że absolutnie nie potrzebuję wywlekania duszy na zewnątrz i obracania jej na różne medycyny. Zresztą o tych najbardziej bolesnych sprawach w ogóle nie jestem w stanie mówić.

Samulkowa psychiatra była zupełnie inna niż pani Agnieszka z Warszawy. Tamta była młoda, ładna i delikatna. Współczuła mi i chciała mi pomóc. Gdyby nie to, pewnie w ogóle nie dopuściłabym do siebie myśli o leczeniu. A tu siedziała przede mną obojętna biurokratka.

– A więc twierdzi pani, że to zespół depresyjno-lękowy – mruzczała, nie podnosząc wzroku znad karty pacjenta. – Od czego się zaczęło?

Milczałam uparcie. Dała za wygraną.

– Kiedy go zdiagnozowano? – spytała, zaciskając szczęki, jakby tłumiała ziewanie.

– Sześć lat temu – odpowiedziałam w końcu.

– Czy zastosowano jakieś leczenie?

– Tak.

– Jakie?

– Farmakoterapię i psychoterapię behawioralno-poznawczą.

– Z jakim skutkiem?

Zawahałam się. Kurczę. Przecież się nie przyznam, że z psychoterapii uciekłam, a leki samowolnie odstawiałam.

– Dostyc dobrym.

– Odstawiała pani leki?

– Tak.

A niech to, złapała mnie.

– Ile razy?

– Kilka.

– Proszę o dokładną liczbę.

Chyba była zirytowana, że nie przyniosłam żadnych papierów. Westchnęłam.

– Pierwszy raz po roku. Po kilku tygodniach nastąpiło pogorszenie, więc wróciłam do leków. Na mniej więcej dwa lata – recytowałam monotennie. – Potem pół roku przerwy... Przed przeprowadzką znów brałam leki, ale krótko. Potem przerwa, potem znów leki... Jakies półtora roku. I jakoś rok temu znowu odstawiłam.

Mówiłam monotonnym, spokojnym głosem, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo cierpię. Bo co ją to tak naprawdę obchodzi? Dusza pękająca z bólu... Ulga, którą przynosiły leki... Dumne ucieczki od znieczulenia i upokarzające powroty do psychiatry...

– Niezła karuzela – skomentowała beznamiętnie.

Pochyliłam głowę, żeby nie wyczytała czegoś z moich oczu.

– Co pani brała?

– Efectin, bioxetin, faxolet...

– Co pani teraz dolega?

Odchrząknęłam i wyrecytowałam przygotowaną wcześniej listę.

– Problemy ze snem, brak apetytu, obniżony nastrój, płaczliwość, ciągle zmęczenie, rozdrażnienie... – Yyy, jak to szło? Aha. – Niska samoocena, uczucie zagrożenia i czarne myśli.

– Jakie? – zainteresowała się.

O, nie! Nie powiem. Nigdy nikomu nie powiem, to zbyt straszne.

Zapisywała coś w karcie, nie patrzyła na mnie. Potem podniosła głowę i wbiła we mnie wzrok.

– Próby samobójcze?

– Nie – odpowiedziałam pośpiesznie.

– Myśli samobójcze?

Uczepiła się.

– Cz... czasami.

Znów podniosła wzrok znad papierów.

– Jak często?

Nie przyznam się przecież, że kilka razy dziennie, bo jeszcze pośle mnie do szpitala.

– Kilka razy – odpowiedziałam.

I nie skłamałam!

Przystawiła pieczętkę w karcie i wypisała receptę.

– Tutaj ma pani receptę, tu dawkowanie. Za dwa tygodnie kontrola.

Uff.

^[3] Mt 9,12. Wszystkie cytaty biblijne za: *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 5 na nowo oprac. i popr., Pallottinum, Poznań 2003.

– Nie mamy *Hobbita*, bardzo mi przykro – powiedziała pani Edyta, patrząc na mnie przeprasząco. – Wszystkie egzemplarze są akurat w czytaniu.

Nie byłam przygotowana na taki cios. Tak się nastawiłam na spotkanie z Bilbem Bagginsem... Bezradnie kręciłam się po bibliotece, próbując znaleźć coś innego, ale okazało się to zbyt trudne. Nic mi nie pasowało.

– Pani Ewo! – zawołała pani Edyta.

– Tak? – zapytałam, wychodząc spomiędzy regałów.

– Dlaczego nie weźmie pani *Władcy pierścieni*? To przecież też Tolkien. Proszę! – powiedziała i podała mi trzy grube tomy.

Nie chciałam tego wypożyczać. Bałam się. Ale co miałam robić? Uciec z krzykiem?

– Dziękuję – powiedziałam cicho i potulnie spakowałam książki do torby.

Pani Edyta wyciągnęła zza okładki mojej karty bibliotecznego jakiś świstek. Przeczytała i podniosła na mnie zdziwiony wzrok.

– To od Kingi – powiedziała i wręczyła mi karteczkę.

Edyta – napisano na niej – *zaproś panią Ewę do kawiarni! Kinga.*

Spojrzałam na panią Edytę zdziwiona.

– Aaa, już rozumiem – powiedziała bibliotekarka. – Zna pani kawiarnię Pod Aniołami?

Skinęłam głową.

– Kinga często się tam udziela. Najwyraźniej pomyślała, że miejsce się pani spodoba. Niech pani wpadnie, w niedzielę będzie tam moja szarlotka i kremówka.

Poczułam, że coś mnie ściska w gardle. Gdyby nie leki, może bym się nawet rozpląkała. Wyszłam z biblioteki z *Władcą pierścieni* i mocnym postanowieniem, że w niedzielę pójdę do kawiarni. A może... może pójdę też do kościoła? Nie mogłam zapomnieć pełnego miłości spojrzenia księdza Andrzeja. Czułam, że coś się za nim kryje. Coś, a może ktoś? Trzeba to sprawdzić.

– Jak ty dałeś radę? Nie rozumiem. Nigdy nie zrozumie. Dlaczego nie pozbyłeś się pierścienia?

Frodo uśmiechnął się zakłopotany i sięgnął po kolejny kawałek ciasta, które upiekła pani Edyta. Nic dziwnego. Było tak pyszne, że z trudem powstrzymałam się przed wzięciem czwartego kawałka. W kawiarni panował nastrojowy półmrok. Oczy Froda błyszczały pogodnie, a jego rumiana twarz wyglądała jeszcze przyjaźniej niż zwykle.

– Przecież na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

– Nie żartuj. Jestem za słaba.

– Też byłem słaby. Ale wiedziałem, że nie mogę się pozbyć pierścienia, bo zło właśnie na to czeka.

– No widzisz, nie pozbyłeś się go. A ja... Ja próbowałam się zabić.

– Jednak tego nie zrobiłaś, prawda?

Nie zrobiłam, bo przerwał mi telefon. No i Frodo nie wiedział o moim słoiczku po kremie. Miałam tam leki nasenne. Dużo. Wystarczająco dużo. Zaczęłam zbierać sześć lat temu. Zabierałam innym pacjentom w szpitalu, wyłudzałam od niedoświadczonych pielęgniarek, wypraszałam recepty u lekarzy, sępiłam od znajomych... Na najczarniejszą godzinę.

Wstałam i podeszłam do bufetu z pustą filiżanką. Za ladą dyżurował ten elegancki mężczyzna, którego widziałam w Krokusie, jak kupował białe róże.

– Jeszcze jedną kawę dla pani? – spytał przyjaźnie.

– Tak, cappuccino.

Rozejrzałam się wokół. Było dość pusto, tylko przy największym, ośmioosobowym stoliku siedziało ożywione towarzystwo – gadali, jedli ciasta i popijali kawę. Wydali mi się znajomi. Przyjrzałam się i rzeczywiście byli to właściciele Krokusa, Marek, malarka Maja, Marzena o kobiecych kształtach, siwowłósy Danek... i – no, proszę! – pani Kinga z biblioteki. Patrzyła właśnie czule na stojącego za ladą mężczyznę, który przez szablon w kształcie serca posypywał moje cappuccino sproszkowaną czekoladą. A potem przeniosła spojrzenie na mnie. Uśmiechnęła się szeroko, wstała i podeszła do lady.

– Dobry wieczór! Cieszę, że pani przyszła. Jak ciasto?

– Niebiańskie.

– Muszę to powtórzyć Edycie! – powiedziała pani Kinga z promiennym uśmiechem i przytuliła się do Tomka, który wyszedł zza baru i otoczył ją ramieniem. – Może się pani do nas przysiadzie? – dodała nieśmiało, wskazując na rozbawione towarzystwo przy dużym stole, a Tomek przysunął dla mnie krzesło.

Boże, zwariowali. Co oni sobie myślą? Że co? Ja (ja) mam siedzieć z nimi i rozmawiać?

– Może... może innym razem – wystękałam i skinęłam w stronę stolika, zza którego z życzliwym zainteresowaniem przyglądał nam się Frodo.

Nie nalegali. Odetchnęłam z ulgą.

– W każdym razie zapraszamy – powiedziała Kinga.

Wróciłam do swojego stolika. Popijając cappuccino, przysłuchiwałam się obradom przy dużym stoliku.

– Tomek, chodź tutaj, co tak stoisz przy tym ekspresie! – zagrział czarnowłósy, zarośnięty Maciek z Krokusa.

– Pracuję – wyjaśnił spokojnie Tomek, majstrując we wnętrzościach ekspresu.

– Chodź, chodź! Wyzwania czekają! – dodał Danek. – Musisz zdecydować, czy będziesz wycinał gwiazdki, czy składał łańcuchy.

– My się tym zajmiemy! – zawołała Marzena. – Wy ogarniecie choinki

i prace na wysokościach.

– Proponuję zapędzić do roboty dzieciaki – zasugerował Marek. – Większe mogą zrobić łańcuchy, a mniejsze będą je wieszać. Twój Olek – zwrócił się do Marzeny – zawiesi gwiazdę na szczycie.

– Marek, bo jak cię trzepnę... Dwuletnie dziecko chcesz wsadzać na pięciometrowe drzewo?

– Ja? Sam będzie chciał, zobaczysz.

– Kochani – odezwała się rzeczowo Renata – może zrobmy listę, a potem rozdzielimy prace.

– Widzisz, Frodo?

– Widzę, widzę! Chętnie bym im pomógł wieszać te gwiazdy.

Patrzyliśmy na nich przez chwilę. Danek zdjął okulary i masował skronie, pewnie bolała go głowa. Marzena przyglądała mu się niespokojnie. Maja tęsknie zerknęła na drzwi, Marek opiekuńczo położył rękę na jej dłoni. Kinga lekko się skrzywiła, Tomek zaczął masować jej plecy. Maciek nerwowo spojrział na zegarek.

– Widzisz? – spytałam znowu. – Oni się nie poddają. Każdy z nich dźwiga swój pierścień, ale idzie. A ja chowam się w domu i śpię. Żyję tylko dzięki lekom... To takie upokarzające.

– Wcale nie. To normalne, że korzystasz z pomocy. Ja też sam nie dałbym rady.

– Co?

– A lembasy, chleb elfów? To one dodawały mi sił.

– Ale kiedy ich zabrakło, szedłeś dalej.

– I na samym końcu upadłem. I nie wstałbym, gdyby nie Sam. Bez przyjaciela nie dałbym rady.

Zginał mi gdzieś kaszmirowy szal. Lubiłam się nim otulać, czytając w fotelu. W pracy trzymałam go na kolanach jako namiastkę domu i spokoju. Zakładałam go dla ochrony przed chłodem, kiedy wychodziłam. Od kilku tygodni nie mogłam go znaleźć – ani w pralce, ani w szafie, ani w lodówce. Przejrzałam wszystkie schowki, wszystkie szuflady, zrobiłam porządki. I nic. Przepadł.

No trudno. Nie będę przecież rozpaczać nad utratą czegoś tak w gruncie rzeczy mało ważnego na tym okrutnym, szalejącym świecie. Co tam szal! Niektórzy nie mają domu, inni nie mają co jeść, a ja miałabym przejmować się szalem.

Kajtek zaskomlał.

– Wszystko w porządku, piesku – powiedziałam. – Wszystko w porządku.

Nie dał się nabrać. Patrzył mi w oczy, jakby chciał powiedzieć, że jeśli potrzebuję, mogę wziąć jego futro.

– Dzięki, Kajtek. Poradzę sobie.

Gdzie ja go mogłam podziąć? Skrawkiem pamięci dosięgłam momentu, gdy zwinięty szal wkładałam do reklamówki. Tak, tak było. Padał deszcz, nie chciałam go przemoczyć. Ale gdzie? I kiedy?

Wyciągnęłam z szafy dużą kraciatą chustę po babci. Przez chwilę byłam nawet ciekawa, jak wyglądam, ale zapomniałam o tym, zanim doszłam do lustra.

– Ewa, ratunku! – powitała mnie szefowa w drzwiach przedszkola.

Ścisnął mi się żołądek.

– Co się stało?

– Piękna chusta. Słuchaj, ty skończyłaś polonistykę, tak?

– Tak.

– Miałaś jakieś zajęcia z pedagogiki?

– Tak, nawet mam uprawnienia.

– To wspaniale! – krzyknęła i uściskała mnie uradowana.

– Eee... To nic wyjątkowego. Dużo ludzi z roku je zrobiło.

– Pomożesz mi?

– Jasne. – Zrobiłabym dla niej naprawdę dużo. Jest dobrą szefową i w ogóle dobrym człowiekiem. – Co mam zrobić?

– Weź zastępstwo za Beatę. Tylko dziś. No, może jeszcze jutro, dopóki kogoś nie znajdę. Dzieci Beaty zachorowały na ospę, jej teściowa też, a mąż jest w delegacji.

Jezu.

– Może lepiej weź panią Elę z kuchni...

– Też chora.

O nie.

- To panią Małgosię.
- Jedzie jutro na pogrzeb.
- No to panią Zosię.

Szefowa popatrzyła na mnie wymownie. No, dobra, żartowałam.

– To nie będzie trudne, naprawdę. Połowy dzieci nie ma, bo są chore. Na pewno dasz sobie radę. No?

- Dobra – westchnęłam.

Moja kochana szefowa chyba nie zdaje sobie sprawy, że na to zastępstwo lepiej nadałby się znak drogowy. Albo pracownik przedsiębiorstwa pogrzebowego. Albo pani Zosia.

Poczułam się, jakbym spadła z drzewka. Na kamyczki.

Trzy dni później, gdy już trochę ochłonęłam i doszłam do siebie, zaprosiłam Anię Shirley. Wyjęłam swój ulubiony brązowy serwis, zaparzyłam kawę, ułożyłam pączki na paterze. Kajtek leżał pod stołem i ogryzał kość z zupy. Brzmiało to trochę tak, jakby obgryzał nogę stołu albo krzesła, ale Ani wcale to nie przeszkadzało. Słuchała mojej opowieści z taką satysfakcją, jakbym była jej dzieckiem i właśnie wróciła ze szkoły z plecakiem pełnym piątek i szóstek.

– I w którymś momencie – opowiadałam – podzieliłam grupę na pół. Jedni mieli być Muminkami, drudzy Migotkami. Znasz Muminki, prawda?

- Oczywiście. Jesteśmy z tej samej biblioteki.

– No. I bawiliśmy się w tę przygodę z *Lata Muminków*, kiedy teatr, w którym mieszkali podczas powodzi, odpłynął w nocy, a oni zostali, bo spali na drzewie. Żeby wydostać się z lasu, musieli przechodzić z drzewa na drzewo, bo na dole wszędzie była woda. Rozłożyłam na podłodze poduszki i krzeselka, a dzieciaki miały po nich przejść z jednego końca sali na drugi tak, żeby nie dotknąć podłogi. Migotki zamykały oczy, a Muminki miały im pomagać. I strasznie im się spodobało!

Nie twierdę, że prowadząc zajęcia, czułam się cudownie, lekko i beztrąsko. Nie twierdę, że nie dokuczały mi zawroty głowy, nudności i szum w uszach, bo zawsze tak mam przez kilka pierwszych tygodni przyjmowania leków. Nie twierdę, że nagle świat złagodniał i wypiękniał, a szara mgła poszła precz. Ale byłam otoczona małymi ludźmi, którzy radośnie się bawili, śmiali się, kichali i smarkali. Małymi miłymi ludźmi, którzy całym sercem angażowali się w zabawę. Wymyślałam im zajęcia, przytulałam, czytałam na głos, wycierałam im nosy i podciągałam rajstopy. I było... było fajnie.

Śniło mi się, że byłam piękna. Chodziłam po cichym wiosennym lesie w długiej zwiewnej sukience koloru czerwonego wina. Stapałam po miękkim mchu, tańczyłam w ukośnych promieniach słońca, wśród sosen i młodych drzewek okrytych delikatną mgiełką zielonych pączków, słuchałam słodkiego, kojącego śpiewu ptaków. Wspięłam się na pagórek, gdzie spomiędzy mchów wytryskiwała fontanna. Woda mieniła się w słońcu i cicho szumiała. Stałam przed nią. Wiedziałam, że znalazłam się we właściwym miejscu.

Patrzył na mnie poważnie, ale jego oczy wypełniała radość. Wiedziałam, że już go kiedyś spotkałam, tylko nie potrafiłam sobie przypomnieć gdzie. Na próżno szukałam tytułu książki, opowiadania czy wiersza. Jednak był znajomy. Patrzył na mnie dobrymi jasnymi oczami, a ja patrzyłam na niego i wcale się nie dziwiłam, że jestem taka spokojna.

I im dłużej tak na siebie patrzyliśmy, tym wyraźniej czułam, jak coś się we mnie otwiera, a przez moją duszę przetacza się potężna fala, która wypłukuje całe moje cierpienie, cały mój strach i smutek.

Wyciągnął do mnie rękę. Podałam mu dłoń...

I się obudziłam, oczywiście.

Za oknem zobaczyłam pana Janusza idącego przez podwórko z naręczem kwiatów. No tak, imieniny. Kwiaty dostał pewnie od podopiecznych i współpracowników z fundacji. Wrócił ze szpitala jakieś dwa tygodnie temu. Był wtedy blady, garbił się, chodził powoli i ostrożnie. Wystraszyło mnie to. Przed chorobą był taki energiczny, ciągle coś robił, dźwigał, naprawiał, krzątał się, jeździł na rowerze. Zerknęłam na niego jeszcze raz. Teraz wyglądał już dużo lepiej.

Na podwórku rozległy się piski i krzyki. Po chwili pana Janusza otoczyła gromadka radosnych dzieciaków, które zaintonowały *Sto lat*. Wnuki. Pan Janusz ostrożnie odłożył kwiaty na trawnik i przykucnął, by przyjąć uściski i buziaki. Zauważyłam, że broni się przed wskakiwaniem mu na ramiona i wieszaniem się na szyi. No tak, pewnie jeszcze go boli po operacji. Ale na jego twarzy zobaczyłam ten sam serdeczny uśmiech co dawniej.

– Kajtek, idziemy po kwiaty – oznajmiłam psu, który od razu zaczął dyszeć, walić ogonem w ściany i skakać. – Uspokój się, nie dla ciebie. Dla sąsiada.

Przypięłam smycz, włożyłam kurtkę, okręciłam się chustą i wyszłam z domu. Pies ciągnął mnie radośnie i nawet w dobrym kierunku.

Weszłam do Krokusa i stałam jak wryta. Ale tłumy. Gwarno, wesoło. Co jest? Aaa, najwyraźniej trafiłam na kolejne zebranie grupy z Aniołów. Właściciele kwiaciarni wyciągali z pudeł różne skarby: rolki szerokiej marszczonej wstążki papierowej, złote taśmy, zwoje tiulu, pęczki rafii i puszki złotego sprayu. Każdą kolejną rzecz witano okrzykiem i podawano sobie z rąk do rąk. Renata rozdzielą

materiały i odhaczała je na liście.

Nie mogłam oderwać od nich wzroku. Byli tacy przejęci, jakby mieli co najmniej uratować świat. A chodziło przecież tylko o ozdobienie choinek na święta.

Patrzyłam na ich twarze i szukałam w nich... Czego właściwie? Może jakiegoś znaku dla siebie. Maja sprawdzała giętkość złotego papieru i oglądała go pod światło. Marek rozmawiał z Dankiem i machinalnie oddzielał kremowe wstążki od kawowych. Marzena i Kinga gawędziły wesoło, formując jakieś kształty z cienkich kwaciarskich drucików. Przy ladzie stała jasnowłosa kobieta w okularach i bardzo wysoki błękitnooki mężczyzna z pełnymi wargami. Kombinowali coś przy wstęgach, ale chyba im nie szło. W końcu kobieta zwróciła się do reszty:

– Kochani, jak się robi te łańcuchy? Dzieci mnie wyśmiejają...

– Już do ciebie idę – powiedziała Kinga, porzuciła druciki i podeszła do lady.

Przyjrzałam się. O kurczę, znam to! Robiłam takie łańcuchy z Jackiem. Nauczył mnie tego, tak samo jak pieczenia tortu orzechowego i składania origami.

W kwaciarni nagle pociemniało, jakby ktoś zastąpił żarówkę świeczką. Nikt tego nie zauważył. Aha, to tylko moje ciemności. W mroku słyszałam szmer głosów i szelest papierów, czułam słodki, duszący zapach kwiatów.

– Ludzie! – huknął nagle Maciek. – Odsuńcie się! Klientka chce kupić kwiaty, a wy się tłoczycie i tłoczycie. I kto zdjął dzwonek? Nie słyhać, jak ktoś wchodzi.

Pojaśniało. Zobaczyłam uśmiechnięte twarze. Zgromadzeni przyjaźnie mnie powitali i zrobili mi miejsce przy ladzie. Maciek patrzył na nich groźnie, ale widać było, że nikt nie przejmuje się jego minami.

– Sam zdjąłeś rano, kiedy cię głowa bolała – wyjaśniła spokojnie Renata, patrząc na męża z pełnym czułości rozbawieniem.

– Słucham panią – odezwał się do mnie rzeczowo Maciek.

Jezu. Wszyscy na mnie patrzą. Ale dam radę. Muszę kupić kwiaty.

Kiedy wybierałam najpiękniejsze z ciemnoczerwonych róż, znów rozbrzmiały rozmowy.

– Nie ma Kermanów.

– Ich babcia miała udar, leży w szpitalu.

– Jak się czuje?

– Już lepiej, ale musi leżeć. I nie mówi...

– Słyszałam, że chcą ją jak najprędzej zabrać do domu. Iza uważa, że szpital to nie jest dla niej dobre miejsce.

– To jak oni sobie poradzą? Przy chorym jest masa pracy, trzeba ciągle być na miejscu...

– Podobno ustalili jakieś dyżury, będą brali urlopy na zmianę.

– Może trzeba jakoś im pomóc? Wpaść czasem, posiedzieć przy staruszce, żeby mogli odetchnąć?

– Dobry pomysł. Zadzwoń do Izy, zapytam.

Maciek zapakował róże w papier i wręczył mi je szarmanckim gestem.

– Dziesięć procent rabatu za oczekiwanie – oznajmił, rzucając groźne spojrzenie przyjaciółom, którzy z uznaniem pokiwali głowami.

Wysłałam z Krokusa na ciemną, wilgotną ulicę. Kajtek zaczął skakać i ochlapywać mnie błotem.

– Cicho, cicho, uspokój się. Dobry piesek, kochany. Dobry mokry piesek. Dobry, mokry, brudny.

Pana Janusza nie było w domu. Nikogo nie było. Stałam pod drzwiami z bukietem róż, jak głupek, i zastanawiałam się, co robić. Kajtek popiskiwał i głośno węszył na moim podwórku – chyba szukał przejścia pod siatką. Rozejrzałam się. Ani na podwórku, ani na chodniku przed domem nie było samochodów. Dokąd pojechali? Przecież nie do McDonalda? Może pan Janusz urządził imieniny w restauracji? Ale nie, chyba nie. To nie w jego stylu.

Kajtek zaczął robić podkop, więc musiałam czym prędzej iść do siebie. Postanowiłam czekać na powrót pana Janusza przy oknie. Kiedy go zobaczę, wybiegnę, wręcę mu kwiaty i wrócę.

Po jakichś trzydziestu stronach *Władcy pierścieni* usłyszałam samochody. Potem silniki ucichły i trzasnęły drzwiczki. Pierwsze wyskoczyły dzieciaki, za nimi dorośli. Pani Mirka, elegancka i młodzieńcza w dopasowanej czerwonej kurteczce, zgoniła wnuki z furki i wpuściła rodzinę na podwórko. Pan Janusz szedł na końcu, prawie całkiem wyprostowany, z uśmiechem od ucha do ucha.

Odłożyłam książkę, pospiesznie wyjęłam kwiaty z wazonu, wysłałam z domu i podeszłam do sąsiada, starając się zachowywać swobodnie.

– Wszystkiego najlepszego... – wyjąkałam.

Pan Janusz objął mnie i delikatnie przytulił.

– Dziękuję, Ewuniu – powiedział serdecznie, pocałował mnie w rękę, przyjął kwiaty i wskazał drzwi swojego domu. – Wpadniesz na kawę i ciasto?

To nie byłam ja, na pewno nie. Ja bym przecież nie poszła. A ten ktoś poszedł, siedział w elegancko urządzonej salonie, pił kawę z mlekiem i raczył się pysznym sernikiem. I słuchał, jak pan Janusz opowiada o swojej matce. I do tego kogoś, kto tam siedział i słuchał, do tego kogoś, kto nie mógł być mną, podbiegło jedno z dzieci, wpackowało się temu komuś na kolana i oznajmiło, pociągając nosem:

– A my byliśmy w kościele! To była specjalna msza za dziadka, żeby podziękować Panu Bogu, że go uratował, żeby dalej z nami był!

Postanowiłam rozpalić w kominku. W zeszłym tygodniu kominiarz sprawdzał wszystkie kominy na naszej ulicy i oznajmił, że mogę. To znaczy powiedział: „Możecie rozpalić w kominku”, i puścił do mnie oko. Drewno miałam, pan Janusz pomógł mi kupić, leżało w jego drewni.

Przewyciężyłam obezwładniającą chęć schowania się pod kołdrą, ułożyłam szczapki na palenisku, dołożyłam podpałkę i zapaliłam. Udało się. Byłam tak zdumiona, że dopiero po kilku minutach przypomniałam sobie, że trzeba zamknąć drzwiczki.

Kajtek kręcił się niespokojnie, popiskiwał, chował się za moimi nogami i czujnie zerkał na chwiejące się płomienie. Przysunęłam fotel do kominka, poprawiłam poduszki i usadowiłam się wygodnie. Kajtek próbował wskoczyć mi na kolana, ale przekonałam go, że na podłodze przy fotelu też będzie bezpieczny. Westchnął ciężko, położył się u moich stóp, oparł pysk na łapach i z niepokojem wpatrzył się w ogień.

– No co ty, Kajtek? To ogień. Jest za szybą. Nie zrobi ci krzywdy – powiedziałam uspokajająco i wyciągnęłam rękę, by pogłaskać go po karku.

Zapatrzyłam się na swoją dłoń w jedwabistej czarno-rudej sierści. Taka zwyczajna rzecz: wyciągnąć rękę, pogłaskać psa... Przypomniała mi się opowieść pana Janusza o matce. Nie miała dłoni, straciła je jeszcze przed wojną przy pracy w fabryce amunicji. Wyszła za męża późno, po trzydziestce. W czasie wojny jej mąż brał udział w kampanii wrześniowej, trafił do stalagu, uciekł i wstąpił do partyzantki. Potem poszedł do powstania, jak wszyscy. A mama pana Janusza została sama z rocznym synem. I dała radę. A potem, już po wojnie, sama prowadziła dom. Sama wychowywała syna, opiekowała się przewlekle chorym mężem, gotowała, prała, sprzątała, pracowała w ogrodzie. „Wszystko potrafiła zrobić, wszystko. Była dzielna, pyskata, wesoła i energiczna”, mówił pan Janusz. A mnie zrobiło się głupio.

To ciekawe, jesień nie przynosi mi żadnych dodatkowych smutków. Najgorsze jest lato. Na tle lazurowego nieba czarne chmury bardziej rzucają się w oczy. Jesienią granice między tym, co widzę, a tym, co mam w głowie, trochę się zacierają. Łatwiej mi się wtedy czołgać przez życie. Kiedy biorę leki, jest to nawet chodzenie na czworakach. Z mojego punktu widzenia można to uznać za uniesienie. Co mi tam mżawki i ulewy, kałuże, wiatr, gołe drzewa i gnijące liście na ziemi. Co to dla mnie. Wychodzę z psem. No może nie do parku. Cukiernia i do domu. Ale kiedy wyszłam z Łasucha, zobaczyłam coś, co sprawiło, że zmieniłam plany – granatowo-żółtą wiatrówkę.

Zawsze uważałam, że kobieta nie powinna ganiać za facetami, a teraz co? Rozchlapując kałuże i ciągnąc za sobą zdezorientowanego psa, szłam za

mężczyzną w wiatrówce. Szedł szybko (trochę za szybko, jeśliby mnie ktoś pytał o zdanie), energicznie, mokry ortalion błyszczał w świetle latarni. Jeszcze chwila, a zniknie za zakrętem i stracę go z oczu. Znam to z filmów, zawsze tak jest. Kajtek zatrzymał się, żeby obwąchać latarnię. No nie, w takiej chwili? Szarpnęłam smycz. Jazda, idziemy. Poprawiłam chustę, która zsunęła mi się z ramion, i przyspieszyłam. Kajtek ruszył radośnie przed siebie. Z lubością wskakiwał w kałuże i ochlapywał mnie brudną wodą. No, na pewno ładnie będę wyglądała, jak go dogonię: ciekący, czerwony z zimna nos, załzawione oczy, potargane włosy wymykające się spod mała twarzowej, ale za to ciepłej czapki z pomponem, płaszcz cały w błocie. I głupi pies na smyczy. Mężczyzna w wiatrówce zwolnił, zerknął na zegarek i stanął. A potem energicznie przeczesał palcami płową grzywkę i otworzył drzwi.

Gdzie on mnie przyprowadził? Bez zastanowienia chwyciłam za potężną klamkę i uchyliłam ciężkie drzwi. Kościół. Znalazłam się w ciemnym pustym przedsionku. W środku, w głównej części, było dużo ludzi. Przy ołtarzu stał młody ksiądz z zadartym nosem i miłą okrągłą twarzą. Miał krótkie włosy i wesołe niebieskie oczy, czyste i niewinne jak u dziecka. Chyba niedawno zaczął przemowę. Znaczący przemówienie. Kazanie.

– Cieszę się, że przyszliście. Mam nadzieję, że nie uważacie się za porządnymi ludźmi, bo te rekolekcje są dla grzeszników. Dla tych, którzy nie radzą sobie z sobą. Dla tych, którzy się poplątali, pogubili się w życiu. I dla tych, którzy nie widzą w życiu żadnego sensu, którzy cierpią i się miotają. Dla tych, którzy wątpią i szukają. Natomiast jeśli jesteś zadowolony z siebie, jeśli uważasz, że nie grzeszysz, a wręcz robisz Panu Bogu łaskę tym, że w Niego wierzysz... to lepiej wyjdź teraz.

Nikt się nie ruszył. No, no. Nie sądziłam, że da się zebrać tylu popaprańców w jednym miejscu.

Usłyszałam jakiś rumor – to Kajtek zwałił się na marmurową posadzkę. Nastawił uszy i czujnie obserwował wnętrze kościoła. Ktoś wszedł do przedsionka bocznymi drzwiami. Ksiądz Andrzej. No ładnie. Zaraz nas przepędzi. Zaszeleściła sutanna, zapachniało wodą po goleniu.

– Czemu nie wejdziecie do środka? Śmiało! – zachęcił, uśmiechając się łobuzersko.

– Ale... Pies...

– Gryzie?

– Nie, skąd... Tylko... komuś mogłoby się to nie spodobać.

– Biorę to na siebie. Proszę dać mi smycz.

Wziął Kajtka i ruszył przodem, ja za nimi. To się nazywa autorytet Kościoła! Ksiądz poprowadził nas boczną nawą pod sam ołtarz, do jednej z pierwszych ławek, i oddał mi smycz. W odpowiedzi na życzliwe uśmiechy siedzących

w pobliżu ludzi Kajtek wesoło pomachał ogonem, a potem grzecznie schował się pod ławkę, skąd po chwili dobiegło zadowolone dyszenie.

Ksiądz na ambonie też zauważył Kajtka, uśmiechnął się lekko i podjął:

– Jak myślisz, co Bóg chce ci dziś powiedzieć? Może obawiasz się, że będzie cię rozliczał z błędów, wytykał ci pomyłki? A może masz nadzieję, że ci się wytłumaczy? A może już niczego nie oczekujesz, jesteś zbyt zmęczony i przygnębiony? Posłuchaj, co Bóg chce ci powiedzieć...

No, no? Słucham.

– Bóg chce cię zapewnić o swojej miłości. Jesteś Jego ukochanym dzieckiem. Kocha cię. Chce, abyś taki, jaki jesteś, słaby, poraniony i zagubiony, przyjął Jego miłość.

No, dobra, dobra. Super. Ale facet w wiatrówce, podobnie jak wszyscy wierni, którzy obserwowali mój tryumfalny marsz przez kościół, z pewnością zauważył mój czerwony nos i ubłocony płaszcz. I tragiczną czapkę z pomponem.

Korzonki są różne: duże i małe, proste i rozgałęzione, jadalne i nie. Moje są przede wszystkim bolesne. Przekonałam się o tym w parku pewnego zimnego dnia na początku grudnia. Kajtek wygrzebał sobie coś z kupy zamrożonych liści i zaczął obgryzać, mlaskając z zadowoleniem. Znałam jego upodobania. Z pewnością było to coś obrzydliwego. Dopadłam go jednym susem i schyliłam się gwałtownie, by pociągnąć za obrozę.

Schyliłam się i poczułam, jakby ktoś oblał mi wrzątkiem krzyż i prawy pośladek. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Odruchowo spróbowałam się wyprostować. Zabolało tak, że znów się schyliłam. Ból zelżał, ale obejmował teraz także prawą nogę. Zastygłam pochylona nad psem i zaczęłam się zastanawiać, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Kajtek w ogóle nie zauważył, że coś jest nie tak. Był zbyt zajęty swoim znaleziskiem. Pochylona pozycja miała tę zaletę, że udało mi się zobaczyć, co to takiego. Stary wieczorowy pantofelek, czarny, kiedyś pewnie błyszczał. Zobaczyłam to. Ona w długiej obcisłej, czarnej sukni naszywanej perełkami; z boku ekscytujące rozcięcie aż do biodra. Aha, i biała etola. Parę minut wcześniej pokłócili się na balu w ośrodku kultury. On wyszedł, ona wybiegła za nim. Dlaczego zaparkował tak daleko? Ba. Specjalnie. Planował romantyczny spacer po parku. Czy go dogoniła? Myślę, że tak. Pogodzili się przy samochodzie, a potem odjechali do... gdzieś tam. Mniej więcej dwadzieścia lat temu, sądząc po stanie pantofelka.

– Przepraszam, czy wszystko w porządku?

Drgnęłam wystraszona, głos rozległ się tak niespodziewanie. Zajęty balowym pantofelkiem Kajtek nie zareagował. Stałam zgięta wpół, jedną ręką trzymałam się za krzyż, a drugą dyskretnie szarpałam smycz. Kajtek, ty potworze! Masz mnie bronić, a nie mlaskać!

Kątem oka zerknęłam na napastnika. O rany. Facet w wiatrówce. To znaczy akurat teraz w grubej czarnej polarowej kurtce zapiętej aż pod brodę.

Schylił się, by spojrzeć mi w twarz.

– Niemożliwe! To pani! A ja pani tak szukałem. Nawet w „Kurierze Samulkowym” dałem ogłoszenie. Nie widziała pani?

Szukał mnie...

– Nie, ja... nie czytam gazet. Ani nie oglądam telewizji. I nie słucham radia. Żyję jak neandertalczyk. A czemu... Czemu ogłoszenie?

– Bo zgubiła pani szal, taki lawendowy. Został w reklamówce obok latarni, tam gdzie łańcuch pani spadł. Pamięta pani?

No nie. On nie może być prawdziwy. Który mężczyzna użyłby słowa „lawendowy”? Większość nie odróżnia fioletowego od purpurowego. No i to

urocze przekonanie, że mam tak ciekawe życie, że mogę nie pamiętać tamtego epizodu z rowerem.

– Boli panią? Korzonki?

– Chyba tak. Zna się pan na tym? Co robić?

– Musi pani jak najszybciej wrócić do domu i położyć się w ciepło. I wziąć leki przeciwbólowe. Zaparkowałem tu zaraz. Zawiozę panią. Proszę się na mnie oprzeć, śmiało. O tak.

Ruszyliśmy. Kuśtykałam powoli, wspierając się mocno na swoim towarzyszu, Marcinie, jak się dowiedziałam. Rozmawialiśmy. Kiedy ból atakował mocniej, przystawałam i łapałam się, cóż, za pośladek.

Dobrnęliśmy w końcu do białego opla stojącego w tym samym miejscu, gdzie dwadzieścia lat temu zaparkował ten od czarnego pantofelka. Opel przywitał nas mrugnięciem świateł i cichym piknięciem. Marcin otworzył przede mną drzwi, a ja znieruchomiałam. Spadła na mnie ciemność tak gęsta, że przez chwilę myślałam, że oślepiłam. Zachwiałam się na nogach, o mało nie upadłam. (Kręcący się pod nogami zaniepokojony Kajtek nie ułatwiał sprawy).

– Co się stało? – zapytał Marcin.

Złapałam go za rękaw. Może nie upadnę.

– Wszystko dobrze?

W końcu trochę się przejaśniło. Marcin patrzył na mnie badawczo.

– Tak bardzo boli?

– Nie – wykrztusiłam.

A potem poszło. Sama nie wiem, jak to się stało.

– Po prostu boję się jechać na miejscu pasażera. Ostatnio kiedy tak jechałam, był wy... wypadek. Straszny.

Jezu. Powiedziałam to.

– I... I tylko ja przeżyłam.

Delikatnie dotknął mojego ramienia, jakby myślał, że to może cokolwiek pomóc. I miał rację. Pomogło. Oparłam znękaną głowę na jego piersi. A on w odruchu serca (jaki to dobry człowiek!) przytulił mnie ciepło.

Gdyby nie Kajtek, pewnie stalibyśmy tam jeszcze kilka godzin.

Marcin zamknął samochód, ostrożnie wziął mnie pod rękę i poszliśmy.

– Skąd pan wiedział, jakiego koloru jest mój szal? To znaczy, skąd pan wiedział, że jest lawendowy, a nie na przykład wrzosowy lub liliowy?

– Nie wiedziałem. To moja siostra. Pomogła mi napisać ogłoszenie. Nie wahała się ani przez chwilę. Lawendowy i już. Poczuję się jak neandertalczyk.

Zamilkł.

– Dlaczego nie czyta pani gazet i nie ogląda telewizji? – zapytał w końcu.

– Żeby... żeby nie dowiedzieć się czegoś straszego.

– Przecież nie wszystko jest straszne.

Milczałam ze ściśniętym sercem. Popatrzył na mnie uważnie.

– Zdarzają się też dobre rzeczy – dodał spokojnie. – Pamiętaj pani o tym?

Dalej milczałam.

– Nie pamięta pani.

Obawiałam się, że będzie mnie krytykował albo pouczał. Ale nie. Przecież to człowiek, którego sobie wymyśliłam. Po prostu zaczął opowiadać o tych dobrych rzeczach. O swoich siostrzeńcach, że takie z nich fajne, mądre chłopaki, choć mieli ojca alkoholika. O znajomym, który chorował na raka i wyzdrowiał. O ludziach, którzy pomagają innym (wymienił nawet pana Janusza). A na koniec, niestety, opowiedział mi kawał. Zaczęłam się śmiać i od tego śmiechu rozboleło mnie jeszcze bardziej niż przedtem. Stęknęłam i stanęłam na jednej nodze, bocian nieszczęsny.

Kiedy minął najgorszy atak bólu, ruszyliśmy dalej. Kajtek, wstrętny zdrajca, nie odstępował Marcina ani na krok, zupełnie jakby był jego psem. Wystarczyło, że Marcin trzymał smycz. Pewnie by mnie to irytowało, gdyby nie świadomość, że bez smyczy i psa idzie mi się wygodniej. Wreszcie doczłapałiśmy do domu. Marcin wziął klucz, otworzył drzwi i wprowadził mnie do ciemnego przedpokoju.

– Gdzie jest światło? – spytał szeptem, jak rasowy włamywacz.

– Gdzieś tutaj, po lewej – odpowiedziałam niezbyt precyzyjnie, ale udało mu się znaleźć włącznik, dzięki czemu mogliśmy dokładnie obejrzeć mojego psa stojącego przy drzwiach z podniesioną łapą. Marcin spojrzał na mnie pytająco.

– Chce, żeby mu wytrzeć łapy – wyjaśniłam.

– Musisz poczekać – powiedział do psa. – Najpierw zajmę się twoją panią.

Kajtek posłusznie usiadł. Marcin pomógł mi się położyć na sofie, otulił mnie kocem i poszedł do kuchni.

– Gdzie pani trzyma lekarstwa?

– W szufladzie koło kuchenki – powiedziałam i...

O nie. Zobacz.

Skuliłam się. Szkoda... zapowiadała się taka fajna znajomość.

Marcin podszedł do mnie, postawił na stoliku szklankę z wodą i przykucnął przy sofie.

– Proszę, nurofen. A to? Brała już pani dzisiaj?

Zaczerwieniłam się i opuściłam głowę.

– Brałam – wyznałam, czując się jak ostatni mięczak.

– Dobrze. Zaraz będzie herbata. Słodzi pani?

– Nie.

Przecież cukier jest niezdrowy, he, he.

Wrócił do kuchni z pustą szklanką i dowodem mojej słabości – pudełkiem efectinu.

Kajtek rzewnie skomlał w przedpokoju.

Obudziłam się po północy. Zasnęłam na sofie, w ubraniu. W ciszy rozbrzmiewało rytmiczne chrapanie psa. Pokój oświetlało jedynie przenikające przez zasłonę światło latarni. Kiedy mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, zobaczyłam, że w fotelu ktoś siedzi. Moje serce przyspieszyło. Ale nie. Po chwili zorientowałam się, że to nie Marcin. Mój nocny gość był od niego znacznie wyższy i dużo szczuplejszy. Przypominające kępy sitowia włosy wydały mi się znajome. No tak. Błotosmętek.

– Nie zdziwiłbym się, gdybyś miała nowotwór rdzenia kręgowego – powiedział ponuro.

– Daj spokój. Powiedz mi lepiej, co sądzisz o Marcinie.

– Albo dysk ci wypadł. Uciska teraz rdzeń kręgowy albo korzonki nerwowe i powoduje...

– Błotosmętku...

– No dobrze. Więc powiedz, dlaczego facet w jego wieku nie jest żonaty?

Widzę dwie możliwości: albo jest rozwodnikiem, albo... jak by ci to powiedzieć...

– A może jest żonaty? Widziałam obrączkę.

– Co ty powiesz. A na którym palcu?

– O rany, nie pamiętam. Ale jak podawał mi lekarstwa, to widziałam coś złotego.

– Ewuniu, kiedy ostatnio byłaś u okulisty?

– Przestań. Jak nie obrączka, to niby co to jest?

– Sprawdzisz następnym razem.

– Nie będzie następnego razu.

– I to ja jestem pesymistą?

Błotosmętek oparł głowę na swojej żabiej dłoni i przyglądał mi się z politowaniem. Zaczęłam się zastanawiać. Coś złotego, na lewej. I na pewno nie sygnet. Nie pasowałby do takiego miłego człowieka.

– Błotosmętku?

– Uhm?

– Z jakiej on jest książki?

– Z tej samej co ty.

– Weź nie żartuj.

– Nigdy nie żartuję. Błotowije nie żartują, a ja jestem najpoważniejszy z nich wszystkich.

– Myślisz, że to prawda, co opowiadał? No wiesz, że... że jest dobro na świecie...

– Co ty. Po prostu próbował cię pocieszyć. Co niewątpliwie dobrze świadczy o jego sercu, ale nieco gorzej o rozumie.

– W porządku. Czuję, że nie możesz wytrzymać. Wal.

– Może być włamywaczem – zaczął.

- I mordercą – dodałam.
- Łowcą posagów.
- Zboczeńcem.
- Psychopata.
- Syneczkiem mamusi.
- Uwiedzie cię i rzuci.
- Nie zniosę tego...

Lubię tego czarnowidza Błotosmętka. Od razu mi lepiej. Serio – czuję się silniejsza.

Ogarnęła mnie senność, ale broniłam się przed nią. Coś nie dawało mi spokoju. No tak. Nie byłam szczerą z Marcinem. Nie powiedziałam mu całej prawdy, kiedy zapytał, czemu nie oglądam telewizji i nie słucham radia. Teraz, po rozmowie z Błotosmętkiem, obiecałam sobie, że jeśli się jeszcze kiedyś spotkamy, to mu powiem.

Ta myśl napełniła mnie dziwnym spokojem. A chwilę później zszokowana uprzytomniłam sobie, że właśnie pomyślałam o przyszłości. Zupełnie jakby przyszłość dla mnie istniała. Przyszłość. Coś, co od sześciu lat było dla mnie abstrakcją. Pustym słowem.

A teraz ta przyszłość nagle się pojawiła. I była jasna. I miała płową grzywkę, nosiła czarną polarową kurtkę i coś złotego na palcu.

Tuż przed południem ktoś zadzwonił do drzwi. Kajtek zaczął szczeekać jak szalony. Udało mi się w miarę bezboleśnie wstać z sofy. Na progu stał zupełnie nieznan mi człowiek.

– Przesyłka dla pani – oznajmił dziarsko i wręczył mi ogromny, ogromny bukiet wielkich ciemnoczerwonych róż.

A do róż dołączony był – naprawdę! – bilecik:

ZDROWIA I RADOŚCI ŻYCZY MARCIN.

– Chodź, Kajtek. Idziemy podziwiać świat – powiedziałam.

Naiwniak nie wyczuł sarkazmu. Zaczął walić ogonem w ścianę, przebierać nogami i dyszeć. Też bym tak chciała. No, może bez walenia ogonem. I bez dyszenia. Przypięłam Kajtkowi smycz i z dreszczem obrzydzenia otworzyłam drzwi na świat. Wcale nie był piękny. Był zimny.

– Chodź, stary. Nie ma co się zastanawiać. Miejmy to już za sobą.

Spojrzałam na zaczarowany ogród pani Mirki. No, jasne. Jak ona to robi, się pytam! Jakim cudem, jakim prawem zawsze jest tu tak uroczo? Ganek ozdobiony świerkowymi gałązkami i srebrnymi gwiazdkami. Podwórko zasypane śniegiem. Tuje i te inne pozmiały kształty, całe w białym puchu. Na gałęziach drzewek owocowych słonina dla ptaków, na przysadzistym świerku (czy jodle, bo ja wiem) kolorowe lampki, czerwone jabłuszka i srebrne bombki. No i ta zimowa cisza.

Nie, jednak nie cisza. Coś piszczy i szczeeka.

– Dobrze, dobrze. Idziemy.

Samulki były już gotowe do świąt. Wszystkie latarnie ozdobiono świecącymi gwiazdami, a w centrum wzdłuż głównej ulicy zawieszono sznury kolorowych światełek. Właściciele sklepów dodali swoje, ozdabiając lampkami drzwi, okna, fronty budynków i drzewa. Licznie pojawili się też przerażający białobrodzi osobnicy w czerwonych czapkach, niektórzy nawet podświetlani od środka.

Łasuch również przyodział się odświętnie. Pani Małgosia obwiesiła witryny niebieskimi lampkami, a na szybach sztucznym śniegiem namalowała gwiazdki. Niebieski chyba nie najlepiej wpływa na apetyt, ale zdaje się, że to ulubiony kolor Małgosi, więc nie ma co się burzyć. Zresztą niebieskie lampki najwyraźniej nikomu nie przeszkadzają, bo w cukierni było pełno ludzi. Poczekałam, aż wyjdą, i weszłam. Krótki seans ciastoterapii. Mmm... pączki. I pączusie. Szarlotka, chyba jeszcze ciepła... Mmm... sernik z lukrem w kratkę, prawidłowo... Mmmakowiec, jaki cudownie mokry w środku. Ciastka karmelowe z orzechami, bezy z kremem, kremówki, ptysie, wuzetka, drożdżówki... Mmm... Już mi lepiej.

Zanim zdążyłam się odezwać, pani Małgosia wręczyła mi to co zwykle i szeroko się do mnie uśmiechnęła.

– Wesołych świąt!

– Wesołych świąt – wymamrotałam pośpiesznie.

Jutro pewnie też tu przyjdę. Ale co tam. Najwyżej złożymy sobie życzenia jeszcze raz. Życzeń nigdy za wiele. Zwłaszcza świątecznych.

Postanowiłam przejść się swoją trasą turystyczną. Pociągnęłam zdziwionego Kajtka w stronę osiedla domków jednorodzinnych. Rano padał gęsty śnieg, więc po drodze do pracy niewiele widziałam. Może teraz będzie lepiej. Naciągnęłam czapkę na uszy, poprawiłam szalik i ruszyłam podziwiać świat. O, na przykład tutaj. Taaa, bardzo ładnie. Świąteczka, Mikołaje i girlandy prawie zasłaniają dom. Wygląda na to, że każdy z domowników postanowił zrobić niespodziankę pozostałym i na własną rękę ozdobił, co się dało. A tutaj dla odmiany spójna koncepcja. Cały parkan, wszystkie choinki, okna i drzwi gęsto opleciono fioletowymi światełkami. Brr... Zawsze myślałam, że lubię ten kolor... Kolejny dom, to znaczy, przepraszam, rezydencja, cały w białych lampkach, podjazd też...

Kajtek zwiędział świat ze spuszczoną głową i starannie obwąchiwał żółte plamy na śniegu.

– Kajtek, nie bądź taki przyziemny. Podnieś wzrok znad tych kup i sików, popatrz w niebo, zobacz, jakie cudowne gwiazdy. – Spojrzałam na ciężkie szare chmury. – Zobacz, jakie piękne światełka, choinki i Mikołaje. Jaki piękny świat. – Ekhem. – Dobra, idziemy.

O, jak ładnie. Naprawdę ładnie. Zatrzymałam się. W małym ogródku przed żółtym domem o spadzistym dachu stała choinka obwieszona jedzeniem dla ptaków – plastrami słoniny, siatkami pełnymi ziaren i orzechów, kubeczkami ze smalcem. Łańcuchy z kłosów zbóż leżały na gałęziach i na śniegu pod drzewem. Ptaki doceniły poczęstunek. Na słoninie kołysały się sikorki, pod choinką skakały wróble, do smalcu dobierała się sójka.

– Spójrz, Kajtek, tu mieszkają ludzie, którzy pamiętają, że Boże Narodzenie to czas miłości i dobroci. Przygotowali prezent dla zwierząt, by sprawić im radość.

I w tym momencie moje serce na moment się zatrzymało. Po pierwsze, uświadomiłam sobie, że nie kupiłam prezentów. Po drugie, zorientowałam się, że stoję przed domem Marcina.

Idę po prezenty. Jak wszyscy. Przed wyjściem przyjrzałam się w przedpokoju spoglądającej na mnie z lustra beznadziejnej kobiecie w idiotycznej czapce i idiotycznym szaliku. Może gdyby rozpuściła włosy, zdjęła czapkę i szalik, założyła jakieś krótkie futerko (rozpięte i ukazujące gustowny brylant na nagiej szyi), krótką spódnicę i wysokie kozaczki na obcasie... Aha. Jasne.

– Pilnuj domu – poleciłam Kajtkowi i wyszłam.

Pierwsze wątpliwości poczułam na widok rozświetlonego, pełnego klientów supermarketu. Zatrzymałam się, żeby zebrać siły. Dalej, kobieto. Prezenty. Naciągnęłam czapkę na czoło, szalik na nos i tak zamaskowana weszłam do sklepu.

O, nie. Z głośników grzmiały kolędy, ludzie się miotali, światła świeciły

chyba o parę tysięcy kilowatów za mocno, produkty leżały, stały, wisiały, błyszcząły i pachniały.

Spokojnie. Tylko spokojnie. Wszystko jest w porządku. Odetchnęłam głęboko i zaczęłam sobie tłumaczyć:

– Kolędy grają, bo zaraz Boże Narodzenie. Co mieliby puszczać: Gorzkie żale? Ludzie się miotają, ale to tylko ogólne wrażenie. Przyjrzyj się pojedynczym osobom. Robią zakupy z sercem przepelnionym spokojem, miłością i radosnym oczekiwaniem. – Rozejrzałam się, usiłując znaleźć taką osobę. – No... No dobra, mniejsza z tym. A co do świateł, to niby jakie mają być w sklepie? LAMPY naftowe? Świece? Musi być jasno, żeby dało się przeczytać te wszystkie informacje o konserwantach, barwnikach i terminach przydatności. A towary muszą być widoczne, przecież po to są, żeby ktoś je kupił.

Oho, błąd. Zalała mnie gwałtowna fala współczucia dla biednych rzeczy, których nikt nie będzie chciał, bo są za mało atrakcyjne lub za mało widoczne. Zapragnęłam natychmiast je uratować. Kto wie, do czego by doszło, gdyby mój wzrok nie padł przypadkiem na wyładowany wózek sklepowy popychany przez dwoje zmęczonych, ale chyba zadowolonych ludzi w średnim wieku. W wózku, owszem, pyszniły się kolorowe pudełka z prezentami i apetyczne produkty spożywcze, ale na samej górze spoczywała skromnie, lecz godnie ogromna paczka papieru toaletowego.

Prezenty. Muszę kupić prezenty. Naprzód marsz, sieroto. Hm, może nie „sieroto”. W końcu te prezenty mają być dla rodziców. Znalazłam w portfelu złotówkę, wyszarpnęłam wózek i wkroczyłam do supermarketu. Co by tu...

Dla mamy. Komplet ręczników? Ostatnio podobno przemaalowali łazienkę, ale nie wiem, na jaki kolor. Jak nie trafię, będzie kwas. Naczynie żaroodporne? Nie, mama nie zajmuje się kuchnią, od tego ma panią Joannę. Od kiedy pamiętam, obiady gotowała dla nas pani Joanna i to ona szykowała przyjęcia świąteczne, imieninowe, urodzinowe i tak dalej. Coś z biżuterii? Oj nie, lepiej nie. Nigdy nie udało mi się trafić w mamy gust – poczynając od pierwszych naszyjników z plasteliny, poprzez sztuczne brylanciki, którymi zachwyciałam się w czasach szkolnych, aż do uroczych broszek, które robiła Agnieszka. Mama zawsze dziękowała mi w taki sposób, że czułam się jak głupek bez cienia wycucia.

O, dział męski. Krawat dla taty. Zaczęłam oglądać, dotykać. Tylko że tata prawie nie nosi krawatów. Nie lubi. No to skarpetki. Nie no, to taki przygnębiający prezent. Kosmetyki? Nie, to działka mamy. Ona mu kupuje, zwykle drogie i dziwne. W takim razie książkę... No, nie. On zawsze jest na bieżąco, niczym go nie zaskoczę.

Przyspieszyłam kroku. Sprzęty gospodarstwa domowego. Kubek? Narzędzia? Słodycze? Kapelusz? Ochroniarz stojący przy kasach spojrzał na mnie dziwnie. Pewnie nie widział dziś jeszcze nikogo, kto by wychodził z pustym

wózkiem.

Z głośników grzmiała *Cicha noc*. Cicha, jasne. Żeby ją pokręciło.

Floroterapia. Oto, czego mi trzeba. Zadźwięczał dzwoneczek przy wejściu do Krokusa, zapachniało świerkiem i kwiatami. Zarośniętą twarz pana Maćka rozjaśnił serdeczny uśmiech. Nie spytał, czym może służyć. On wie, że niektórzy przychodzą do kwiaciarni nie tylko po to, by coś kupić.

Zaczęłam oglądać bukiety i stroiki. Dużo aniołów, na stroikach i luzem. Pochylałam się nad kwiatami, wahałam. Kluczyłam, udawałam, że błędę, ale w końcu nie mogłam udawać dłużej – stanęłam przed wazonem pełnym pięknych ciemnoczerwonych róż. Takich samych jak tamte. Czy naprawdę dostałam wtedy kwiaty? Czy tylko to sobie wymyśliłam? Oglądałam kiedyś taki film. Główna bohaterka miała wymyślonego ukochanego. Wyobrażała sobie, że się z nim spotyka, rozmawia, dostaje od niego kwiaty. Potem się wyjaśniło, że sama je kupowała... Ale ja chyba nie... Nie przypominam sobie... A przecież nie spytam. Co miałabym powiedzieć? „Panie Maćku, czy ostatnio kupowałam takie róże?”. Albo lepiej: „Panie Maćku, czy ktoś kupił ostatnio taki wielki bukiet?”. A on odpowie: „Tak, był tu taki rycerz w czarnej polarowej kurtce, przyjechał na białym koniu”. Aha. Jasne.

Z zaplecza wyszła Renata ze stroikiem w ręku. Stanęła na środku i zastanawiała się, gdzie go postawić.

– Dzień dobry – przywitała mnie serdecznie.

– Dzień dobry.

Nie mogłam oderwać oczu od stroika. Była to malutka choinka ze złotą gwiazdą na czubku. Stała na pięknym soczystozielonym mchu, pod nią leżała małeńka figurka – Dzieciątko. A ozdobiona była nie bombkami czy lampkami, lecz pięknymi, ciemnoczerwonymi różami.

– To... To dekoracja, czy... czy można kupić? – wyjąkałam.

Renata wahała się przez chwilę, a potem powiedziała:

– Proszę bardzo. Może pani kupić.

Bibliotekę zostawiłam sobie na deser. Była już prawie dziewiętnasta, ale wiedziałam, że zastanę tam panią Kingę, więc mogę liczyć na życzliwe przyjęcie.

– Pani Ewo – powiedziała, gdy tylko mnie zobaczyła – wygrała pani nasz konkurs na czytelnika roku. W połowie stycznia odbędzie się uroczystość z wręczeniem nagród. Dziesięciu najlepszych czytelników dostanie dyplomy i upominki, a trzech najlepsi dodatkowo książki.

Mój żołądek natychmiast skrzył się w bolesny obwarzanek, a skóra na twarzy stała się zimna i napięta.

– Oczywiście obecność nie jest obowiązkowa – dodała pani Kinga uspokajająco. – Nagrody można odebrać w dowolnym terminie. Chciałam tylko spytać, jaki upominek sprawiłby pani największą przyjemność. Będą zakładki,

długopisy, magnesy na lodówkę i albumy fotograficzne. Drobiazgi, ale wie pani, kultura jest biedna. No, chyba że w ostatniej chwili znajdzie się jakiś hojny sponsor – dodała ze śmiechem.

Odetchnęłam głęboko. Spokojnie, już dobrze.

– Może jakąś ładną zakładkę?

– Świetnie!

Wstałam i na jeszcze trochę trzęsących się nogach weszłam między regały. Uff... Co by tu, co by tu... Mam.

– *Opowieść wigilijna!* – ucieszyła się pani Kinga. – Najlepsza lektura na Boże Narodzenie. Aaa! – wykrzyknęła nagle, podnosząc głowę znad mojej karty. – I mam dla pani coś z nowości.

Czy ona zwariowała? Nowość... dla mnie?

– Ale... ale ja się boję... – wyjąkałam.

I dopiero chwilę po tym, jak wybrzmiało ostatnie słowo, uświadomiłam sobie, co zrobiłam. Właśnie przyznałam się obcej osobie do swojego lęku, otworzyłam swoje obolałe serce. Czyli, krótko mówiąc, wystawiłam się na cios. Nie mogłam się nadziwić własnej głupocie. Niby człowiek taki cwany, stara się chronić i maskować, a tu taka skucha!

Utkwiłam wzrok w podłodze, dudniło mi w uszach. Co teraz? Pani Kinga nic nie powiedziała. Dziarskim krokiem podeszła do regału z nowościami i zdjęła z półki kilka grubych tomów.

– Powiedziałam „nowość”, bo nie mieliśmy tego w zbiorach. W zeszłym tygodniu dostaliśmy sporo książek od pewnej byłej nauczycielki, między innymi ten cykl. Proszę się nie bać. Rzecz dzieje się w sympatycznym amerykańskim miasteczku. Mili ludzie, zwykłe życie, trochę duchowości, bo głównym bohaterem jest pastor. Nie pożałuje pani. Słowo tendencyjnej bibliotekarki!

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Kiwnęłam głową, a pani Kinga położyła na swoim biurku stos książek. Zerknęłam na tytuły. *W moim Mitford, Światelko w oknie, Te wysokie, zielone wzgórza, Do Kanaanu, Nowa pieśń.*

– Naprawdę myślę, że się pani spodoba. Dobrze, wpiszę pani te książki i chyba będę zamykać kramik, późno już.

Oj, zmusiłam ją do pracy po godzinach.

– Przepraszam – bąknęłam. – Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała pani Kinga z uśmiechem. – A może przyjdzie pani jutro do kościoła, żeby pomóc nam z choinkami? Każda para rąk się przyda. Zaczynamy zaraz po roratach.

Zatkało mnie. Czy ja dobrze słyszę? Choinki? W kościele? Ja? Z ludźmi?

A właściwie... dlaczego nie?

– A co to są roraty? – spytałam ostrożnie.

– Taka msza odprawiana codziennie w adwencie. O szóstej. Szóstej rano –

dodała z łobuzerskim uśmiechem.
O kurczę.

Perspektywa pobudki o piątej była tak przerażająca, że położyłam się spać już o dziewiątej, więc oczywiście długo nie mogłam zasnąć. Budziłam się mniej więcej co półtorej godziny, w końcu wstałam o czwartej. Oszołomiony Kajtek zastanawiał się chyba nad tym samym co ja: co też wyprawiam?

Wypuściłam go na podwórko, wpuściłam z powrotem, zaparzyłam sobie kawy, zrobiłam tosty z miodem i w piżamie usiadłam przy stole. Otworzyłam Dickensa. Było cudownie, cicho i spokojnie. Kajtek leżał z pyskiem na mojej stopie i chrapał. Jednak stopniowo w tę miłą atmosferę zaczął się wkradać jakiś niepokój. O co chodzi? Może nie zakręciłam kranu w łazience? Albo zapomniałam zapłacić któryś rachunek? Może miałam coś zrobić? I nagle przypomniałam sobie o tych roratach. O Boże. Poderwałam się. Wystraszony Kajtek wyskoczył spod stołu, pośliznął się i spojrzał na mnie czujnie.

Zerknęłam na zegar. O nie. Za piętnaście szósta! Rzuciłam się do łazienki. Umyłam zęby i przeczesalam włosy. Ubranie. Majtki zdjęłam z suszarki, skarpetki miałam na sobie, bo w nich spałam. Spodnie. Gdzieś tu były... Są. Sweter. Nie ma swetra. Nie ma czasu na szukanie swetra. Trudno, musi być góra od piżamy. Co tam. Nikt nie zobaczy pod kurtką. Buty, czapka, szalik. Pies. Nie, pies zostaje.

Otworzyłam drzwi, pośliznęłam się na progu (oj, korzonki!) i ruszyłam w stronę kościoła. Ale ciemno. Co ja w ogóle robię? Poczulałam się głupio. Środek nocy (no prawie), a ja idę do kościoła, zostawiając pierwsze ślady na świeżej warstwie śniegu. Zwolniłam. Może tylko tak sobie spaceruję? Pospaceruję i wrócę do domu, pod ciepłutką kołdrę. Nagle zaskrzypiały czyjeś kroki. Ktoś mnie wyprzedził, mignął w świetle latarni i zniknął za rogiem. Ja też skręciłam. Minął mnie drugi człowiek, trzeci. O, parking przed kościołem. Usłyszałam trzaskanie drzwiczek i pikanie alarmów.

Przed wejściem do kościoła stała grupka ludzi. Rodzina z trójką dzieci, staruszka, jakiś chłopak. Chłopak trzymał drzwi i przepuszczał pozostałych; już zamierzał wejść, ale kiedy mnie zobaczył, zatrzymał się i lekko skłonił głowę. Weszłam, co było robić. I chciałam się natychmiast wycofać, bo w kościele było całkiem ciemno. Nic z tego. Zaraz za mną wszedł tamten chłopak, a potem usłyszałam, jak wchodzi kolejne osoby.

Jedynym źródłem światła była duża świeca w bocznej nawie, ale nie musiałam się rozglądać – czułam, że kościół jest pełny. Zapłakało jakieś niemowlę. Ktoś kaszlnął, potem ktoś jeszcze. I jeszcze ktoś. Zauważyłam, że ludzie w ławkach zapalają świece. Nie, nie świece. Raczej latarnie czy lampiony. Robiło się coraz jaśniej. Rany, ile dzieci. Wiercących się, rozglądających, poszturchujących. Rodzice łapali je za kaptury, zdejmowali im czapki, przyglądali włosy.

Rozległ się dzwonek. „Niebioso, deszcz z góry spuśćcie, o chmury, świętego ześlijcie” – zaczęli śpiewać wierni. Nawet ładnie śpiewali i w miarę równo, choć z pewnością niektórzy jeszcze nie całkiem się obudzili. Tuż obok mnie ktoś rozdzierająco ziewnął, nie zdążywszy nawet zakryć ust. Z drugiej strony ktoś próbował śpiewać, choć głos miał zachrypnięty i kasłał po każdej zwrotce. Kawałek dalej jakaś kobieta trzymała na kolanach śpiące dziecko, podczas gdy drugie drzemało oparte o jej ramię. Ja też chyba trochę przysnęłam. Ocknęłam się, kiedy ksiądz powiedział: „Podnieśmy lampiony w górę i śpiewajmy Panu Bogu”. Rozejrzałam się. Cały kościół pojaśniał. Ale ładnie.

Po nabożeństwie zostałam w ławce. Zrobiło się już całkiem jasno i jakoś tak zwyczajnie. Dzieci ganiały po kościele, dorośli rozkładali drabiny i rozmawiali, śmiejąc się i pokrzykując. Skuliłam się i oparłam głowę na złożonych rękach. Może pomyślą, że się modlę i dadzą mi spokój.

– Fajnie, że jesteś – przywitała mnie Kinga, beztrąsko przechodząc na ty. W dzinsach i flanelowej koszuli, z dziewczęcym warkoczem, wyglądała zupełnie inaczej niż w bibliotece. – Chodź, pomożesz mi rozplątać lampki.

Grupka osób wyciągała ozdoby z wielkich kartonowych pudeł. Powitały mnie uśmiechy i ponury głos Maćka.

– No, może nareszcie ktoś rozsądny. Pora przestać się zachwycać tymi fiubździudełkami i brać do roboty. Przecież sami to robiliście. Gdzie wasza skromność i pokora?

Ale tymi fiubździudełkami nie dało się nie zachwycać. Ozdoby były beżowo-kremowo-złote, niektóre miały bordowe elementy. Grube łańcuchy z marszczonej taśmy papierowej, drobne łańcuchy z gwiazdek, anioły w złotych aureolach, duże, ręcznie zdobione bombki... Z trudem oderwałam się od oglądania i zabrałam się z Kingą do lampek. Ministranci wołali do nas z drabin, żebyśmy się pospieszyły, bo gwiazdy już wiszą.

W całym tym rozgardiaszu robota posuwała się jednak do przodu. Chyba najwięcej problemu sprawiały dzieci, które rwały się do pomocy, choć więcej w tym było rwania niż pomocy. Marzena stała na krześle i usiłowała koordynować pracę swoich maluchów, które wieszały bombki na dolnych gałęziach choinki.

– Nie tu, Julka, w prawo. W prawo! Gdzie jest prawo?

– Nie wiem...

– Tam gdzie ołtarz. Dobrze. Niżej. Niżej! Wiesz, gdzie jest niżej?

– Tutaj?

– No... Niech będzie. Tylko popraw, bo spadnie. Olek, zdejmij tego anioła. Za nisko jest. Daj go cioci, ciocia powiesi wyżej. Daj cioci, słyszysz?

Olek ostrożnie podał mi słomianego anioła. Wzięłam go i odeszłam kilka kroków od choinki, żeby znaleźć najlepsze miejsce.

Na środku nawy głównej stała Maja.

- Ten gruby łańcuch trochę wyżej, na tamtą gałąź z lewej! – dyrygowała.
- Gdzie? Tu? – dopytywał Marek, chwiejąc się na drabinie.
- Nie, Mareczku, bliżej ambony. O, o! Dobrze!
- Żono, docień moje poświęcenie. O mało nie spadłem, widziałaś?
- Widziałam, widziałam – uspokoiła go Maja i spojrzała na mnie i na słomianego anioła. – Powieś go obok lewej nogi Marka. Coś tam za pusto, prawda? Niestety usłyszał.
- Co? Moja noga ci się nie podoba? Mogę ją zabrać, proszę bardzo. Ale jak spadnę i polegnę, to sama będziesz patroszyć i smażyć tego karpia!
- Nagle przy ołtarzu pojawił się ksiądz, ale nie ksiądz Andrzej i nie ten od rekolekcji dla grzeszników, tylko jeszcze inny. Szczupły, łysawy, w okularach, z nieśmiałym uśmiechem. Najpierw pochwalił ozdoby, potem każdemu po kolei podał rękę na powitanie, a w końcu niestety zauważył mnie, mimo że strategicznie poszłam wieszać gwiazdki w najdalszej gęstwinie.
- O, nowa osoba! Bardzo się cieszę! Witam – powiedział, podchodząc z wyciągniętą dłonią.
- Podaliśmy mu rękę. Nie wiedziałam, czy powiedzieć „dzień dobry”, czy „niech będzie pochwalony”, więc nic nie powiedziałam. Nagle otoczyła mnie grupa ludzi. Marzena objęła mnie ramieniem.
- To Ewa – przedstawiła mnie.
- Och, solenizantka – wykrzyknął ksiądz uprzejmie. – Wszystkiego najlepszego! Cieszę się, że jest pani z nami. Przyjdzie pani na pasterkę?
- Wyjeżdżam na święta do rodziców, do Warszawy – wybąkałam pospiesznie.

– Wyjeżdżam na święta do rodziców – powiedziałam pani Mirce i panu Januszowi.

Pakowali się właśnie – jechali do dzieci. Panu Januszowi trochę nie w smak był ten wyjazd, nie uśmiechało mu się zostawiać podopiecznych. Wigilii w fundacji mieli dopilnować wolontariusze, ale mój sąsiad nie potrafił przestać się martwić.

– Uspokój się, Wilku – powiedziała pani Mirka. – Dadzą radę usiąść do stołu i napęlić sobie brzuchy bez twojej pomocy.

– No tak... Ale żeby się nie spili... No wiesz...

– Już tam ich wolontariusze dopilnują. Zresztą zakazałeś przynoszenia alkoholu.

– A co tam zakaz... – powiedział smętnie pan Janusz i poszedł do domu po ostatni półmisek z rybą w galarecie, którą przygotowywał jak nikt inny.

Pani Mirka spojrzała na mnie czujnie.

– Żebyś tylko na pewno pojechała. Siedzieć samemu w święta to grzech ciężki, nieprzyzwoitość i głupota. Jasne?

– Tak – mruknęłam pokornie i ruszyłam do swoich drzwi. – Wesołych świąt.

– Wesołych świąt! – zawołał pan Janusz, niosąc do samochodu półmisek ze swoim popisowym daniem.

Po wczesnej pobudce i paru godzinach w kościele nie czułam się najlepiej. A jeszcze spacer z psem... W parku wpadłam na pomysł. Pójdziemy sprawdzić, co słychać w tamtym żółtym domku. Oczywiście nie zamierzałam pukać do drzwi, udając aniołka czy innego akwizytora, by zapuścić ciekawskie spojrzenie w głąb przedpokoju i zobaczyć na wieszaku na przykład granatowo-żółtą wiatrówkę. Po prostu przejdziemy się ulicą. Wolniutko. W jedną stronę, później z powrotem. I tylko zerknę na podwórko, żeby zobaczyć, czy stoi tam biały opel.

Padał śnieg. Całkiem przyjemny, nawet trochę figlarny. Płatki powoli wirowały w powietrzu i dość skutecznie zmniejszyły widoczność. Jakby co, będę mogła powiedzieć, że to nie byłam ja. Mróz trochę zelżał, właściwie było całkiem przyjemnie. Życie wydawało się jakby łatwiejsze, świat spokojniejszy.

Doszłam na miejsce. W porządku. Dom, choinka, ptaki, wszystko się zgadza. Szybki rzut oka na podwórko. Nie ma samochodu. Ani śladów opon przy bramie. W oknach świeci światło. Idziemy dalej. Zawracamy. W oknach świeci światło. W kuchni krząta się jakaś kobieta. Pewnie szykuje wigilię... Jezu. Jeszcze raz. Tak, nie przywidziało mi się. W kuchni krząta się jakaś kobieta.

Śnieg jakby zszarzał. Żonaty? Wymyślony? Już sama nie wiem, co gorsze.

Kajtek zaszczekał tak nagle, że aż się wzdrygnęłam. Zaszczekał i podskoczył, radośnie machając ogonem. Z żółtego domu wypadli dwaj chłopcy

i podbiegli do furtki. Skupili się na psie, na mnie właściwie nie zwrócili uwagi. Może to ja nie istnieję.

– Ty, ale fajny, zobacz!

– O ła! Ale się śmieje.

Zacmokali, zagwizdali i pobiegli. Kajtek patrzył za nimi, z postawionymi uszami, aż zniknęli w wirującym śniegu.

Nieprawdziwy? Żonaty i z dziećmi? Ech, Ewka konewka, coś ty sobie myślała?

Może usiądę tu sobie na śniegu i po cichutku zamarznę.

Weszłam na stryszek i znalazłam ogromną walizkę na kółkach. Wyjęłam z niej dużą walizkę, też na kółkach. Z dużej walizki na kółkach wyjęłam średnią walizkę, bardzo poręczną i elegancką, czarną, z elementami obszytymi materiałem w szarą kratkę, też na kółkach. Przetarłam ją szmatką i otworzyłam. Fajna walizka, naprawdę. Szkoda, że się marnuje. Powinna jeździć po świecie, latać samolotami, zwiedzać lotniska, hotele i pensjonaty, gubić się na dworcach i szurać kółkami po paryskim bruku. Ze średniej walizki na kółkach wyjęłam małą walizkę, taką na dwudniowe wyjazdy, bez kółek. Wyjęłam ją, otworzyłam i zajrzałam do środka.

Wszystko w porządku. Jest. Błękitne pudełko. A w pudełku słoiczek po kremie, biały z błękitną przykrywką. A w słoiczku tabletki. Moja wyprawka na ostatnią podróż. Moja tajna broń. Mój as w rękawie.

Włożyłam słoiczek do pudełka, pudełko do małej walizki, małą walizkę do dużej walizki, a dużą do ogromnej walizki i odstawiłam ogromną walizkę na miejsce. Ostrożnie (korzonki!) zesłam ze średnią walizką na dół.

Kajtek o mało nie oszalał z radości. Pewnie myślał, że zostanę tam już na zawsze.

Nad wejściem na dworzec autobusowy jarzyły się kolorowe lampki, w oknach wisiały świecące gwiazdy z ogonami, przy kasach stał podświetlony Mikołaj, a na środku hali królowała wielka pachnąca choinka. Kółka walizki turkotały na posadzce, stukwały pazury Kajtka. Znalazłam pustą ławkę w poczekalni i usiadłam. Wyjęłam książkę o Mitford i zaczęłam czytać. Niestety warunki zupełnie nie sprzyjały lekturze. Co pewien czas z głośników rozlegał się dźwięczny gong, a po nim zapowiedź odjazdu kolejnego autobusu. Hałę wypełniały rozmowy, wrzaski dzieci, szuranie bagaży i warkot autobusów za przeszkloną ścianą. A naprzeciwko nas usiadł jakiś człowiek w czapce z pomponem, rozpiętej za dużej kurtce, brudnych spodniach i kolorowych śniegowcach. Siedział i śmierdział. Straszliwie śmierdział. Kajtek zeszywniał pod ławką. Chyba też był w szoku. Ale raczej pozytywnym.

– Yk! – wyrwało się człowiekowi w czapce z pomponem.

Powiew alkoholowego wyziewu dotarł do mojej ławki. Skuliłam się i wcisnęłam nos głębiej w szalik.

– Yk! Przepraszam najmocniej panią szanowną. I psa. Nie chciałem tak głośno... Yk! O kur... Przepraszam najmocniej. Czy pani szanowna przebaczy?

– Tak – powiedziałam grzecznie i wróciłam do lektury.

– Yk! Bo jakby pani nie przebaczyła, to by znaczyło, że nie ma Boga na świecie. Dzisiaj w nocy Bóg się rodzi, moc truchleje, a każde bydlę ludzkim głosem przemawia, tak jak, za przeproszeniem, na przykład ja.

Nagle pojawił się przy nim jakiś mężczyzna.

– Gienek! – wrzasnął. – Ja cię po całych Samulkach szukam, a tyś się tutaj zamelinował. Ja pier... O, przepraszam panią. Gienek, ty elemencie aspołeczny, zapomniałeś o wigilii w fundacji? Wszyscy już się schodzą, ksiądz zaraz przyjdzie! Rusz się, kur... kurde, bo mnie zaraz coś strzeli – dodał i wziął Gienka pod ramię, żeby podnieść go z ławki.

Nic z tego nie wyszło, bo Gienek właśnie zaczął bić się w piersi.

– Nie zapomniałem, Mieciu, yk, nie zapomniałem! Tylko z... zwątpiłem. W Boga. I w dobroć człowieka. Jak zobaczyłem na Główniej, że pan Janusz wyjeżdża, to aż mnie zaćmiło i musiałem się po... po... pocieszyć. Yk!

– Wstawaj, jak rany, baranie jeden! Pan Janusz wszystko przygotował i pojechał do rodziny. Ale się narobiliśmy. Jest jak w restauracji. Jezu, jakie żarcie... Chodź. No chodź, no rusz się, człowieku!

– Ja nie jestem... yk! człowiek, jestem szmata... Zwykła... yk! szmata. Do wyrzucenia. Nie nadaję się do niczego.

– Nie pierdol. Nadajesz się, jak każdy. No, ruchy!

Gienek dzwignął się w końcu z ławki i oparł na Mietku. Poczekalnię zalała nowa fala smrodu.

– Jezu... Po co ja godzinami przy tej pralce stałem? Po co dziewczyny żelazkami machały? Po to, żebyś w zaszczanych galotach na wigilię przyszedł? Idziemy.

Poszli. Dopiero po chwili zauważyłam, że ktoś jeszcze koło mnie siedzi. Swobodnie, z wyciągniętymi przed siebie nogami, w trochę śmiesznym czerwonym płaszczu.

– Święta... – powiedział lekko.

– Jeszcze nie. Dopiero Wigilia.

– No no, aleś ty zorientowana...

Poprawił się na ławce, założył nogę na nogę.

– Uroczą choinka – powiedział. – Próbowowałaś patrzeć na te światełka z przymrużonymi oczami?

Spróbowałam. Bardzo ładnie.

– Wiesz, jakiego koloru jest na choince najwięcej? – spytał i zaczął oglądać swoje paznokcie. Czyste, równo przycięte.

– Zielonego – mruknęłam. – To kolor nadziei. Nie męcz mnie, dobrze?

– Dobrze – zgodził się podejrzanie łatwo.

Milczeliśmy. Ruch na dworcu wyraźnie się zmniejszył. Coraz mniej odjeżdżało autobusów, coraz mniej było ludzi. Zrobiło się prawie cicho. Zadymka na dworze trochę się uspokoiła. Z dworcowych głośników rozbrzmiała kolęda *Jezus malusieńki*. Mimowolnie spjrzałam na drzewko.

Miałam wtedy dziesięć lat. Właśnie kończyłam ubierać choinkę. Była piękna. Duża i rozłożysta. A jak pachniała! Tata jak zwykle zawiesił sznur lampek na gałęziach i gwiazdę na czubku, reszta należała do mnie. Mama była jeszcze w pracy; tata siedział w swoim gabinecie; w kuchni, podśpiewując kolędy, krzątała się pani Joanna. Wieszałam bombki, przeglądałam się w nich i podziwiałam coraz piękniejsze drzewko. Byłam szczęśliwa.

W pewnym momencie huknęły drzwi wejściowe. Wróciła mama. Nie zajrzała do mnie, poszła prosto do taty. Była wyraźnie wściekła. Po chwili wyszli z gabinetu, przystanęli na progu dużego pokoju. Tata pewnie liczył na to, że widok choinki poprawi mamie humor. Mnie nie zauważyła, bo stałam akurat za drzewkiem.

– Błogosławieństwa! Błogosławieństwa od Dzieciątka! Życzenia ze Stanów! Co za suka! Nienawidzę świąt! – syczała, ścisząc głos, żeby pani Joanna nie usłyszała.

Ja słyszałam.

Uderzyła pięścią w ścianę. Znieruchomiałam. Wtedy jeszcze rzadko bywałam świadkiem takich scen. Zwykle rodzice się pilnowali, zamykali drzwi.

– Wszystko przez tę gówniarę! Zmarnowała mi życie!

– Daj spokój, głupoty opowiadasz.

– Głupoty!? To są głupoty!? A moja kariera, moje pasje!? Naprawdę nie rozumiesz? Tobie to łatwo. Masz swoją cudowną pracę i nic cię nie obchodzą moje problemy. Przez tego bachora straciłam wtedy taką szansę! Taką szansę...

Tata chciał coś powiedzieć, ale widać się rozmyślił, bo tylko wzruszył ramionami.

– A ta suka Jadwiga oczywiście wykorzystała sytuację. Boże. Mogłabym ją udusić gołymi rękami. I to ona jest teraz międzynarodowym ekspertem, mieszka w Nowym Jorku i zarabia takie pieniądze. A ja?

– Nie przesadzaj. Twoje stanowisko to dla większości ludzi szczyt marzeń – powiedział tata ze znużeniem.

– Weź mnie nie wkurzaj! Naprawdę wystarczy mi ta kartka od niej. Błogosławieństwa od Dzieciątka! Dzieciątka, jasne. Mój bachor przyniósł mi tylko nieszczęście. Nie mogę sobie darować, że w końcu nie zrobiłam tej skrobanki.

– Często urządzała takie sceny?

Już nie oglądał swoich paznokci. Skrzyżował ręce na piersiach, pochylił głowę. Wyglądał, jakby spał.

– Nawet nie... – odpowiedziałam, wpatrując się w żłobek pod choinką. – A kiedyś ucałowała mnie i powiedziała, że mnie kocha. Ale wtedy już jej nie wierzyłam. Zawsze, kiedy ją widzę albo o niej myślę, od razu mi się to przypomina. Ta skrobanka, którą chciała zrobić.

– Przecież nie zrobiła.

– Ale planowała.

– Słuchaj. Nawet jeśli ona nie chciała, żebyś się urodziła, to może ktoś inny chciał?

Zmrużyłam oczy. Światelka na dworcowej choince zamieniły się w gwiazdy.

– Mniejsza o to... nieważne...

Wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Wstałam, zapięłam kurtkę, włożyłam czapkę.

– Muszę już iść. Kto cię tu przysłał?

Wstał i rozłożył ręce.

– No, wiesz, ten... Jak mu tam... Duch minionych świąt Bożego Narodzenia.

Ten z *Opowieści wigilijnej*.

Pochyliłam się, żeby przypiąć Kajtkowi smycz. Nieznajomy chwycił moją walizkę.

– Pomóc ci?

– Nie trzeba. Przecież wiesz, że jest pusta. Nigdzie nie jadę.

Zmarznięta i śpiąca dowlokłam się do domu. Długo szukałam klucza. Ani śladu. Zgubiłam czy co? W końcu po prostu nacisnęłam klamkę. Było otwarte. Kajtek wpadł do środka jak strzała, pobiegł do miski z wodą i zaczął pić, chlapiąc na prawo i lewo. Mało wymagające stworzenie, pomyślałam pobłażliwie. Nie to co ja. Nalałam sobie szklanek wody, wypiliśmy duszkiem i osunęłam się na kanapę.

Piękny świąteczny, świerkowy zapach mojej choinki mieszał się ze słodką wonią róż. Zapaliłam świeczkę, przygotowałam talerz i sztućce. Walcząc z sennością, odgrzałam sobie wigilijną kolację, która czekała w lodówce, elegancko ułożona na styropianowej tacy. Pierogi z kapustą i grzybami, porcja smażonego karpia, ryba po grecku, kluski z makiem. Nawet kawałek opłatka na sianku. Odłożyłam go na bok.

Kajtkowi też smakowało. Zjadł, uwalnił się pod stołem i zasnął. Zaparzyłam sobie kawę, nałożyłam kawałek sernika, ale byłam zbyt zmęczona. W połowie jedzenia poddałam się i poszłam do łóżka.

Telefon musiał dzwonić naprawdę długo, zanim dźwięk przedarł się do mojej świadomości przez grubą warstwę snu. Z początku myślałam, że wciąż śpię. Później, że dzwoni mi w ucho. Dopiero po dłuższym czasie uprzytomniłam sobie, że to moja komórka. Potem przestała. Usłyszałam posapywanie Kajtka. Otworzyłam oczy. Spojrzałam na wyświetlacz. Numer zastrzeżony. Dwudziesta trzecia siedem. Wydawało mi się, że bardzo długo spałam. Czułam się wypoczęta, ale w środku jakaś roztrzęsiona. Podekscytowana. Zupełnie jakby przy moim łóżku stał duch obecnego Bożego Narodzenia i kiwał na mnie palcem.

Wstałam i zaczęłam się ubierać. Włożyłam eleganckie proste czarne spodnie i poszłam do łazienki, żeby uprasować bluzkę. Wybrałam tę białą, z koronkową stójką pod szyją. Na to założyłam czarny aksamitny żakiet.

Zaśmiałam się w duchu, przypominając sobie, jak przy wieszaniu ozdób w kościele kobiety zachwyciły się moją liliową górą od piżamy. I nie były to zdawkowe uprzejmości. Każda zwróciła uwagę na co innego. Marzena powiedziała, że ślicznie wyglądam, Renata, że do twarzy mi w tym kolorze, Maja, że bluza ma piękny odcień, a Kinga zachwyciła się miękkością materiału.

Kajtek, mój wierny stróż i obrońca, nawet nie drgnął, gdy schodziłam na dół. Dokończyłam sernik, posprzątałam w kuchni, ubrałam się ciepło i wyszłam z domu. Tym razem pamiętałam o zamknięciu drzwi na klucz.

Do rozświetlonego kościoła ciągnęły tłumy ludzi. Niesiona tą falą minęłam kruchtę i znalazłam się w głównej nawie. Popatrzyłam na choinki. No, brawo. Rozjarzone białymi światełkami robiły o wiele większe wrażenie niż rano. Naprawdę pięknie, pomyślałam, ale po chwili przypomniałam sobie słowa Maćka: „Gdzie wasza skromność i pokora?”. Wydobyłam więc z głębi swojej osobowości

te cechy, spuściłam wzrok, a po chwili dyskretnie rozejrzałam się po ludziach.

W ławce, przy której stałam, siedział Gienek, ten, który (najwyraźniej przejściowo) stracił wiarę w dobroć człowieka. Odmieniony – wesoły, pachnący mydłem i wodą kolońską, w czystej kurtce, pod którą miał białą koszulę i krawat. Tylko ktoś o bardzo wrażliwym węchu poczułby od niego alkohol. Zresztą nie od niego jednego. Gienek zauważył mnie, zerwał się na równe nogi i zaczął wychodzić z ławki.

– Witam panią – szepnął przejęty – szczęście Boże. Pani będzie łaskawa zająć miejsce siedzące.

Zawahałam się. Chętnie bym usiadła, żeby schować się przed wzrokiem ludzi, ale trochę się obawiałam, że Gienek nie utrzyma się na nogach. Chyba zauważył, że nie mogę się zdecydować, bo dodał:

– Żadna dama nie będzie stała w obecności mojego siedzenia.

Usiadłam, żeby nie robić zamieszania, i uświadomiłam sobie, że znajduję się teraz o wiele bardziej w obecności jego siedzenia niż poprzednio. Ale na szczęście spodnie też miał czyste. Ze starego stroju, tego z epoki dworcowej, zostały tylko kolorowe śniegowce, teraz w większości zakryte nogawkami. Przypomniała mi się jego dramatyczna deklaracja, że jest szmatą i do niczego się nie nadaje. Też mogłabym tak o sobie powiedzieć. Byłam taka sama. Niechciana, nieudana i niepotrzebna.

Zadzwonily dzwonki, wszyscy wstali, zagrzmiały organy i rozbrzmiała kolęda *Wśród nocnej ciszy*. Aż mnie ciarki przeszły. Ludzie śpiewali co sił w płucach, z zapałem i radością. Nie pamiętałam słów, próbowałam słuchać, ale moje myśli się rozpieczęły. Zorientowałam się, że siedzę w tej samej ławce co wtedy, gdy rozmawiałam z księdzem Andrzejem. Przypomniał mi się jego spokój, jego niezachwiana pewność, że Bóg istnieje i mówi do mnie. Jak to było? Że nie daję Mu dojść do głosu? Tak, jakoś tak. Że powinnam przestać wołać i zacząć słuchać. No, tanto zdanie z Biblii faktycznie wyglądało na odpowiedź. Na instrukcję. Czy odczytałam ją właściwie? Poszłam przecież do lekarza. Ale... A jeśli to była jakaś przenośnia?

Gienek śpiewał, kołysząc się w swoich śniegowcach, za mną ktoś głośno wydmuchiwał nos, a środkiem nawy dostojnie kroczyli ministranci ze świecami i trzej księża w lśniących szatach: ksiądz Andrzej, młody ksiądz od rekolekcji dla grzeszników, a na końcu proboszcz z figurką Dzieciątka w ramionach. To było w jakiś sposób wzruszające: śpiewający tłum, grzmiące organy, światła, dzwonki, wielka celebra – a w tym wszystkim ta figurka, taki bobas. Dzidzius. Ksiądz proboszcz podszedł do szopki i położył Dzieciątka w żłóbku wyścielonym sianem.

Ludzie śpiewali, wstawali, klękali, siadali, ksiądz coś mówił, oni mu odpowiadali, choinki iskrzyły się światełkami, pachniało kadzidłem, a ja czułam się coraz gorzej. To nie dla mnie, całe to przedstawienie. Jakaś gwiazda, jakaś szopka,

jakieś sianko... Czy to kadzidło, czy szara mgła? O nie. Proszę, nie. Ja już nie mam siły.

Rozejrzałam się. W oddali dostrzegłam Maję w białej puchowej kurtce i błękitnym szaliku. Patrzyła gdzieś w górę. Na co? Zamknęłam oczy, żeby nie widzieć wypełniającej kościół szarości... I zobaczyłam anioła z kawiarni. Tego, który z lekkim uśmiechem wyciągał dłoń przed siebie, jakby chciał powiedzieć: „Spoko, wszystko pod kontrolą”. „Nie stój tak! – wrzasnęłam na niego w myślach. – Idź po ratunek! Zawołaj Go!”

Ukryłam twarz w dłoniach. To nie ma sensu. Znów przypomniała mi się mama, przypomniały mi się tamte jej słowa. I tata, mój dobry tata – który nic wtedy nie odpowiedział.

A potem przypomniał mi się słoik w pudełku w walizce w walizce w walizce. Uspokołam się, myśląc o tabletkach, które może w końcu dadzą mi ukojenie. Na zawsze. Przetarłam oczy, popatrzyłam na ołtarz. Ksiądz Andrzej coś mówił.

– Bóg – mówił – dał swojemu Synowi wspaniałą matkę i troskliwego opiekuna. Wszystko przygotował. Maryja także była przygotowana, wzięła pieluszki. Józef troskliwie się nią opiekował. Ale trafili na przeszkodę nie do pokonania. Zamknięte drzwi. Zamknięte serca. Czy ta sytuacja powtórzy się dziś w nocy? Czy my też zatrzaśniemy drzwi? Czy wpuścimy Jezusa do swoich serc, gdy przyjdzie?

Ple, ple, ple, pomyślałam. Nie przyjdzie. Nie do mnie. Spuściłam wzrok. Sunęłam palcem po pulpicie, wzdłuż słojów pod lakierem.

– „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne”^[4] – kontynuował ksiądz Andrzej, a jego zmęczona twarz promieniała jakimś wewnętrznym światłem. – Niech to będą życzenia świąteczne dla ciebie. Abyś doświadczył realnej, istniejącej naprawdę miłości Boga do ciebie. Abyś doświadczyła. Abyś mimo całej swojej słabości i mimo wszystkich krzywd, których doznałaś, uwierzyła, że Bóg cię kocha. Niech te oto słowa z księgi proroka Izajasza dotkną twojego serca: „Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie”^[5].

Podniosłam wzrok. Zaraz, czy on mówi do mnie? Nie patrzył w moją stronę, w ogóle nie patrzył na ludzi. Patrzył na Biblię, która przed nim leżała. W kościele zapadła cisza. Potem zapiszczało jakieś niemowlę. Ktoś kaszlnął, ktoś ziewnął. Ktoś zapłakał. Ja zapłakałam.

^[4] J 3,16.

^[5] Iz 49,15.

Tak, tak, lubię zimę. Pod warunkiem że trzyma się ode mnie z daleka. Założyłam na piżamę dresowe spodnie, polarową bluzę, pikowaną puchową kamizelkę i kurtkę, a następnie stanęłam przed lustrem. Ale gruba baba. Niedoczekanie. Zdjęłam kurtkę, zdjęłam kamizelkę. Kajtek patrzył z ciekawością i lekkim zniecierpliwieniem. No, kobieto, zdecyduj się wreszcie.

No, dobra, zaraz. Jeszcze chwila. Myśl o zimnie działała odstręczająco, widok grubej baby w lustrze tak samo. Zawiesiłam się. Kajtek pisnął uprzejmie, ale nagle.

– Cicho, pies. Nie poganiaj. Tobie to dobrze, masz futro. Ale ja, nie wiem, czy zauważyłeś, nie mam. Muszę się ubrać. A nie mogę wyglądać jak gruba baba, bo... bo...

No, właśnie. Bo co? Bo od jakiegoś czasu chodzimy ulicą Słowików, żeby popatrzeć na pewną choinkę ozdobioną jedzeniem dla ptaków, dlatego że... No? Dlatego że wciąż mam nadzieję (ja! nadzieję!), że pewnego dnia zobaczę tam granatowo-żółtą wiatrówkę (eee, w taki ziąb?), że pewnego dnia zobaczę tam... Marcina.

Dlaczego nie tracę tej nadziei? Nie wiem, nie rozumiem. Po pierwsze, on nie istnieje. Po drugie, jeśli istnieje, to najwyraźniej ma żonę i dzieci. Nie wiem, nie rozumiem, nie mam siły się zastanawiać. Nie mam nawet siły cieszyć się z tego, że mam nadzieję. Po prostu codziennie zabieram psa na ulicę Słowików.

Spojrzałam na Kajtka. Zaraz, zaraz. Futra nie mam, ale... tak! Kożuszek. Nigdy go nie nosiłam, bo głupio było mi wkładać na siebie coś, co zdarto z jakiegoś miłego barana. Dostałam go od babci. Kiedy jeszcze była w stanie wychodzić z domu, dała swój stary kożuch do przerobienia na mój rozmiar. Podziękowałam serdecznie, bo nie chciałam zrobić jej przykrości, ale nigdy go nie nosiłam. Nie mogłam przestać myśleć o nieszczęsnym zwierzęciu. Zabrałam go z Warszawy tylko przez sentyment.

Wdrapałam się na strych, odnalazłam spuściznę po baranie i włożyłam. Kajtek z zainteresowaniem obwąchał rękaw i machnął ogonem, jakby chciał powiedzieć: „Cześć, stary! Czemu tak długo się ukrywałeś? Chodźmy na spacer”.

Przyjrzałam się sobie (nam) uważnie. Może być. Wyglądaliśmy, baran i ja, całkiem, całkiem. Kożuszek był dopasowany, miał wielkie kościane guziki i duży kołnierz. Założyłam swoją czapkę z pomponem, śniegowce i grube rękawice i przypięłam psu smycz.

– Nie ciesz się tak – powiedziałam, gdy zaczął lizać mój rękaw. – To tylko skóra. Właściciel od dawna nie żyje.

Tak. Nawet gdyby z tego barana nie zdarto skóry na mój kożuch, i tak już dawno zakończyłby życie. Może to trochę naciągane, ale jakoś mnie uspokoiło.

Przynajmniej nie czułam się jak morderczyni.

Wyszliśmy na dwór. Tak, lubię zimę, lecz tylko i wyłącznie z daleka. Nie pomaga śnieg iskrzący się w świetle latarni, otulający gałązki drzew w ogródku pani Mirki i chrzęszczący pod nogami. Ciemno, zimno. Brr... Zaraz, chwileczkę... Nie jest mi zimno. A to ci baran, no, no.

Ruszyliśmy żwawo naszą stałą trasą. Najpierw do parku. Kajtek przywitał się z kolegami, wybiegał się, wyhasał i wyszczekał, a potem skierowaliśmy się do Łasucha. Kupiłam pączki i powoli, z obojętnym, prawie znudzonym wyrazem twarzy skręcałam w ulicę Słowików.

Cicho, spokojnie, ciepłe światła w oknach. Minęłam żółty domek, rzuciłam okiem na choinkę. Dobrze, w porządku. Świeże płaty słoniny zawieszono, nowe ziarno wysypane. Mogę wracać.

Nagle Kajtek zakręcił się wokół mnie w dzikim tańcu i wytrącił mi z rąk paczkę z pączkami. Skakał jak szalony, machał ogonem i radośnie dyszał. Ach, no tak. To ci chłopcy, właściwie już moi znajomi.

– Dzień dobry! – zawołali. – Cześć, Kajtek!

Jeden zaczął głaskać psa, drugi podniósł paczkę z ciastkami i grzecznie mi ją podał.

– Dziękuję – powiedziałam i rutynowo zajrzałam przez furtkę.

Na podwórku żadnego białego opla. Był za to bałwan. Dorodny, uśmiechnięty, w czapce z daszkiem i z czarną aktówką pod pachą. Drugi bałwan stał na ulicy. To ja.

Tak, tak, lubię zimę. Naprawdę. Kiedy zostawiam ją za drzwiami i rozpalam w kominku. Owinęłam się szczelniej pledem i sięgnęłam po filiżankę z kawą. Timothy wpatrywał się w ogień. Barnaba, jego wielki czarny pies, leżał obok Kajtka jak stos węgla obok mrowiska. Teraz obaj spali, ale kiedy przyszli, Barnaba przywitał się ze mną niezwykle żywiołowo. Jeśli kogoś lubi, oblizuje mu nos i uszy. Uspokaja się, tak powiedział Timothy, tylko na dźwięk cytatu z Pisma Świętego. Z początku nie bardzo w to wierzyłam. Ale sprawdziłam. Barnaba naprawdę reaguje tylko na fragmenty z Biblii. Żeby się przed nim zabezpieczyć, nauczyłam się dwóch, tych z pasterki.

„Tak bowiem Bóg umiłował świat, że syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne”. Jakże ważne jest słowo „każdy”! Każdy, czyli nawet ktoś taki jak ja. Czuję się jakoś otulona tym słowem. Otulona i utulona. A drugi cytat to ten z Izajasza. „Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu?” Oj, może. Aż do Wigilii na dworcu autobusowym nie uświadamiałam sobie, jak zraniło mnie odrzucenie przez mamę, brak jej miłości. To, że nie byłam upragnionym i oczekiwanym dzieckiem. Ale „nawet, gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie”.

Jak to się stało, że ksiądz Andrzej wypowiedział wtedy właśnie te słowa?

Przecież nie pasowały do reszty kazania. Jakby same wepchnęły mu się do ust. Same? A może ktoś je wepchnął.

Timothy westchnął z zadowoleniem, wypił łyk kawy i popatrzył na mnie życzliwie.

– No pewnie! Bóg mówi do człowieka na różne sposoby. Szuka furtki, którą mógłby się dostać do jego serca. Czasami posługuje się byle osłem. Sam nieraz występowałem w tej chlubnej roli. I nawet nie wiedziałem, że przemawia przeze mnie Bóg.

Odstawił filiżankę i pogłaskał Barnabę.

– Ale się nagrzał. Odsuń się od kominka, piesku, bo mi się potem na dworze przeziębisz.

Barnaba obudził się, spojrzał czule na swojego pana i zabębnił ogonem o podłogę. Kajtek przyłączył się do niego przez sen.

– Nie zapomnę tej zimy w Mitford, gdy śnieżycą odcięła nas od całego świata – powiedział Timothy. – Brr. Na samo wspomnienie robi mi się zimno. Porąbałem stare krzesło, by mieć opał. Tak. Zimy u nas są długie i naprawdę zimne. A wiosna przychodzi niezwykle późno. O wiele później, niż nam by się marzyło. Ale przychodzi. I jest taka cudowna.

– Kiedy wracasz do Mitford? – spytałam. Wyraźnie tęsknił do domu.

– Niedługo. Już niedługo. Ale jeszcze z tobą posiedzę. Tak tu miło.

Umościł się w fotelu.

Ktoś zapukał do drzwi. Psy zerwały się i zaczęły szczeleć. Wyplątałam się z koca i otworzyłam. Pani Mirka w kombinezonie narciarskim. Aż się cofnęłam, takie zimno od niej biło. Miała policzki zaróżowione od mrozu i wyglądała na bardzo zadowoloną.

– Cześć, Ewka. Cudowna pogoda, mówię ci! Koniecznie idź na spacer, co tak w domu siedzisz? I ciemno tu jak w grobie. Bierz psa i wychodź.

Zaprosiłam panią Mirkę do środka.

– Ja tylko na chwilę – zapewniła, zdjęła kozaki i wmaszerowała do dużego pokoju.

– Ale masz gorąco! Ugotujesz się. I dla psa też niezdrowo. Słuchaj, wyjeżdżamy na dwa tygodnie. Zajrzesz do kwiatków?

– Zajrzę – obiecałam.

– Świetnie, bardzo ci dziękuję. Do Tunezji jedziemy! Będziemy się wygrzewać w słońcu. A tutaj mają być roztopy, widziałam prognozy. Idzie odwilż!

– Kiedy jedziecie? – spytałam, starając się nie wpaść w przygnębienie.

– Za trzy dni. Nie zapomnisz?

– Nie... A... Jak się czuje pan Janusz? Lekarz pozwolił mu jechać?

– Pozwolił, pozwolił – powiedziała moja sąsiadka ze śmiechem i pogłaskała Kajtkę.

Wstała z kanapy, poszła do przedpokoju, włożyła buty i wyszła na mróz.
Na ten ohydny, ohydny mróz. Po którym przyjdzie ohydna, ohydna odwilż.

Najważniejsze jest, jak wiadomo, pozytywne myślenie. Optymiści żyją dłużej i szczęśliwiej. Szklanka jest do połowy pełna, jutro znowu będzie dzień, zawsze można zacząć od nowa, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Wiatr w żagle i ahoy! Tak, tak. Aż się zmęczyłam. Zrobię sobie kawy. No. Od razu lepiej.

Od kilku dni trwa ohydna odwilż. Z resztek sopli kapie woda. Na chodnikach porobiły się kałuże. Pod drzewami i ścianami domów leżą resztki brudnego śniegu. Nieba w ogóle nie ma. Tylko jakaś bura ścierka. Drzewa mokre, ludzie skuleni, psy śmierzące mokrą sierścią. Tak, tak, mój Kajtku. Od trzech dni nie biorę leków. Doszłam do wniosku, że skoro Bóg mnie kocha (tak powiedział, prawda?), to żadna depresja nic mi nie zrobi.

Czuję się fatalnie. W nocy budzę się zrana z potem. W głowie szum, jakby moja czaszka była tunelem kolejowym, przez który co jakiś czas przejeżdża ekspres. Nudności. Drżenie rąk. To objawy odstawienia leków. Wiem, że przejściowe, znam to przecież. Ale jednak trudne.

Skończyłam kawę. No dobra, trzeba stawić czoła światu. Spacer. Założyłam śniegowce i kurtkę, wzięłam smycz. Dobrze, że Kajtek się zorientował i wyskoczył na podwórko, bo zostawiłabym go w domu. Przypięłam smycz. Rzut oka na ogród pani Mirki. Jakiś taki niewyraźny. Ciekawe, co się stało. A, mgła. Dobra. Idę.

Zaraz! A pozytywne myślenie gdzie? Zostało w domu? Dajesz, Ewka, dajesz. Spacer, spacer, hej! Nie ma mrozu, nie ma mrozu, uha-ha! Trala la, nie zapomniałam psa! Hip-hip hurra! Sąsiedzi na plaży, słońko ich smaży, hej! I szumi morze, o Boże! W piasku lśnią muszelki, Boże, jesteś wielki! Hej, hej, hej!

Dowlokłam się do parku. Kajtek rzucił się w pogoń za znajomym owczarkiem niemieckim. Trudno mi się za nimi biegło w śniegowcach. Właścicielce owczarka, drobnej starszej pani w eleganckim płaszczu i kozakach na obcasie, chyba jeszcze trudniej.

– Na wieczornym spacerze raczej nie pobiegamy – powiedziała zdyszana. – Będzie mróz, słyszała pani prognozy? Jak wszystko zamarźnie, to dopiero będzie ślizgawka!

Uśmiechnęłam się niemrawo. Na szczęście Kajtek pociągnął mnie dalej.

W alejce klonowej spotkałam pana Roberta z Bilbem. Uśmiechnął się serdecznie.

– Zapowiada się zamiana pogody – zagaił. – W szpitalu będzie masa roboty.

– Dlaczego? – odważyłam się podtrzymać rozmowę.

– No, wie pani: złamania. Jak chwyci mróz, zrobi się szklanka. Ortopedzi będą mieli urwanie głowy. Niech pani uważa, pani Ewo.

Dalej. Na Słowików kałuże po kostki. Kajtek brodził w nich zadowolony

i machał mokrym ogonem. W oknie żółtego domku zobaczyłam tę samą kobietę co zwykle...

A! Zapomniałam o pozytywnym myśleniu. Jak to dobrze, że chłopcy mają taką miłą mamę! I jak to wspaniale, że kałuże nie są do kolan. Albo do pasa. Hej.

Wróciłam do domu przebrałam się, uczesałam i poszłam do pracy. A tam niespodzianka. Zapomniałam, że mam wolne. Dostałam cztery dni urlopu. Czemu zapomniałam? Już wiem. Wyparłam. Dostałam to wolne, pod warunkiem że wyjadę odpocząć. Co ta moja szefowa sobie myślała? Że wyjadę? Dokąd?

Pokręciłam się chwilę w pobliżu, bo głupio mi było tak po prostu zrobić w tył zwrot i odmaszerować. Gdyby ktoś akurat patrzył przez okno, miałby niezłe kino! *Roztargniona Ewa*, odcinek sto dwudziesty czwarty.

Pozytywne myślenie, pozytywne myślenie. Urlop, urlop, hej. Wrócę do domu, położę się do łóżka i będę spała do wieczora. To nie żadne myślenie. To konkret. Konkret, konkret, hej.

Obudziłam się późnym popołudniem, głodna i oszołomiona. Burczało mi w brzuchu, przez głowę jeden za drugim przejeżdżały ekspresy. Dobrze, że nie pendolino, hej. Zrobiłam sobie jajecznicę, poczęstowałam Kajtką. No spoko, spoko, życie nie jest takie złe. Teraz kawa... Przez chwilę rozważałam zastosowanie swojego starego triku z cukrem, ale bez przekonania. Cukier, cukier, biała śmierć. Nie ma rady. Pączki. Kierunek Łasuch. Hej.

Ubrałam się, przypięłam smycz i wyszłam. Ale zimno. Ale ślisko. Że hej. Ślisko, ślisko, hej. Bach. Wywinęłam orła. Zaniepokojony Kajtek dreptał dookoła mnie. Stałam na czworakach. A kiedy chciałam wstać, krzyknęłam z bólu i opadłam na kolana. Cholera, hej. Chyba złamałam nogę.

Jeszcze raz. Złapałam się Kajtką, potem ogrodzenia i wstałam. Dobrze. Poruszyłam ostrożnie lewą nogą. Trochę boli, ale bez przesady. Spróbuję dojść do furtki. Długo to trwało, jednak doszłam. Dokuśtykałam. Nie jest źle. Nie jest źle. Oparłam się o furtkę. Co teraz? Chyba nie jest złamana. Dam radę. Pączki. Kierunek Łasuch.

Było trudno, ale nie tragicznie. Szłam powoli, przytrzymując się płotów i słupów i starając się oszczędzać lewą nogę. To nie może być złamanie. Ze złamaną nogą chyba nie da się iść.

Kupiłam pączki i wróciłam do domu. Koszmar zaczął się przy zdejmowaniu butów. Lewego buta. Wyłam i płakałam. Kajtek wył i czekał. Gdyby sąsiedzi byli w domu, pomyśleliby, że wreszcie ktoś mnie morduje. W końcu się jednak udało. Zebrałam siły, doczołgałam się do pokoju, wgramoliłam się na kanapę i sięgnęłam po koc. Uff.

No i tak. Jestem sama w domu. W zasadzie nie mogę się ruszać. Pączki zostały w przedpokoju. Pozytywne myślenie, pozytywne myślenie. Nie jest źle. Mogłam skręcić obie nogi. Obie nogi, hej.

Poszłam do kuchni, wspierając się na parasolu jak na lasce, nastawiłam wodę na kawę, wyciągnęłam płatki kukurydziane i mleko. Nie bardzo miałam ochotę na płatki z mlekiem, ale niczego innego nie było. Pączki zjadłam pierwszego dnia, wtedy kiedy skręciłam nogę. Drugiego i trzeciego zjadłam to, co zostało w lodówce i w szafkach: resztę wędliny, jakiś ser, suche pieczywo i chińskie zupki. Zostały tylko te płatki.

Następnego dnia po wypadku zadzwoniłam do lekarza. Przyszedł wczesnym popołudniem, zbadał mnie, zdiagnozował skręcenie, zaordynował okłady i poszedł. Nie spytał nawet, czy mam kogokolwiek, kto wykupi dla mnie maść w aptece. Nie przyszło mu pewnie do głowy, że jestem całkiem samotna w Samulkach. Sąsiedzi wygrzewają stawy na tunezyjskiej plaży, szefowa w Alpach śmiga na nartach, tata robi reportaż na drugim końcu Polski, a pozostali... Cóż, nie ma pozostałych. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do przychodni i nie poprosić o jakąś pielęgniarkę, ale na samą myśl o tym poczułam takie zażenowanie, że dałam sobie spokój. Poradzę sobie. Właśnie, że sobie poradzę.

Mocno zabandażowana noga prawie nie bolała, o ile jej nie obciążałam. Kuśtykałam po domu z parasolem. Kajtek przyglądał się temu zafascynowany. Kiedy sobie z czymś nie radziłam (spróbujcie przenieść z kuchni do pokoju filiżankę kawy, kuśtykając z parasolem, który w połowie drogi nagle się otwiera...), piszczał pocieszająco i triumfalnie szczekał na zakończenie każdego mojego występu.

Płatki zjadłam w kuchni, z kawą poszłam, to znaczy pokuśtykałam, do pokoju. Postawiłam filiżankę na stoliku, wgramoliłam się na kanapę i pogłaskałam Kajtkę. Uff. W sumie nie jest źle. Tylko nie mam nic do kawy. Ani do czytania. Ojciec Timothy martwił się, że zostawia mnie w takiej sytuacji, ale nie było innego wyjścia. Zjadłam pół spodeczka cukru i zrobiło mi się trochę mdło. Pewnie przez leki.

Bo wróciłam do leków. Timothy powiedział, że nie powinnam ich tak samowolnie odstawiać, a ja go posłuchałam. Jest trochę lepiej. Trochę. Wciąż coś gniecie mnie w sercu. To inna postać szarej mgły. Zwija się, zwija, roluje i trach! Wali mnie w czoło i wskakuje do ciała tuż pod mostkiem. I siedzi tam potem, cholera jedna, i gniecie.

Popatrzyłam smętnie na stolik z książkami. Wszystkie przeczytane zbyt niedawno, żeby zabierać się do nich od nowa. No trudno. Nie muszę przecież ciągle czytać. Mogę sobie porozmyślać. Taa. Tyle że moje myśli znają tylko jeden kierunek. I nie jest to pozytywne myślenie. Zresztą kiedy ostatnio próbowałam myśleć pozytywnie, skończyło się to skręceniem nogi. Nie mogę myśleć. Muszę czytać.

Zamknęłam oczy. O czym by tu pomyśleć? Ostrożnie, powoli. Już wiem. Pani Mirka i pan Janusz na wakacjach. Siedzą na leżakach na plaży, trochę kamienistej, ale słonecznej. Za nimi palmy, w głębi biały hotel ze stolikami na tarasie i kolorowymi kwiatami w doniczkach. Pani Mirka ma na sobie turkusowy dwuczęściowy kostium, który świetnie pasuje do jej opalonej na złocisty brąz skóry. Pan Janusz w granatowo-czarnych spodenkach zasnął i głośno chrapie. Właściwie bardzo głośno. O wiele za głośno.

Zaraz, zaraz. To nie jest chrapanie. Otworzyłam oczy. Ktoś puka do drzwi. Głośno, natarczywie. Kajtek popędził do przedpokoju. Zdrętwiałam. Co robić? Sturlać się z kanapy i schować za nią? Leżeć i udawać nieboszczyka? Zanim podjęłam decyzję, drzwi otworzyły się gwałtownie i usłyszałam szybkie kroki w przedpokoju. Zaszleściła wiatrówka.

– Pani Ewo! – zawołał znajomy głos.

Marcin.

Wpadł do pokoju.

– Jest pani! – zawołał.

Przypadł do kanapy i kucnął przy mnie. Patrzyłam na niego zdumiona. Potem zrozumiałam.

– Jaki piękny sen – szepnęłam do siebie i odwróciłam głowę.

Poczułam jego rękę na dłoni. Jaka zimna!

– Proszę pani... Ewa... Spójrz na mnie – powiedział.

Odwróciłam z powrotem głowę. A co tam.

Żonaty nie żonaty, skoro to sen, to mogę sobie chyba popatrzeć. Lekki zarost, dwudniowy, bruzdy biegnące od nosa do kącików ust, zaniepokojone jasne oczy... Dobra, szczerą twarz. Trochę zmęczona.

– Co się stało?

Przyjrzał mi się uważnie. O, nie! Chyba nie prezentuję się najlepiej. Brudne włosy, stara flanelowa bluza i ten brak biustu... Podciągnęłam koc pod brodę. Odchrząknęłam. (Raz, raz, próba mikrofonu).

– Nic mi nie jest – powiedziałam (dobrze, że przynajmniej umyłam rano zęby). – Skręciłam nogę, ale to nic poważnego. Już prawie nie boli.

Odruchowo spojrział na moje przykryte kocem nogi.

– Lewą – uściśliłam rzeczowo.

– Jezu – mruknął Marcin. – Bogu niech będą dzięki.

Co? Cieszy się, że skręciłam nogę? Dlaczego? Pracuje w ubezpieczeniach?

Mój bardzo obronny pies podszedł do nas i położył głowę na kolanach gościa.

– To znaczy... – powiedział Marcin, głaszcząc Kajtka – to znaczy, martwiłem się o ciebie – wyjaśnił, bezwiednie przechodząc na ty. – Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Dopiero co wróciłem do domu. Chłopaki

powiedzieli, że nie widzieli cię od kilku dni. Domyśliłem się, że chodzi o ciebie, kiedy wspomnieli o psie. „Taki superancki wesoły pies Kajtek”. A potem przypadkiem usłyszałem, jak rozmawiają o tobie w cukierni.

– O mnie? – zapytałam zdumiona. – Kto?

– Gośka z Łasucha i ta bibliotekarka w okularach, Kinga. I Robert. Robert podejrzewał, że wyjechałaś, bo od kilku dni nie było cię w parku, ale Kinga powiedziała, że przed wyjazdem przyszłabyś do biblioteki oddać książki. Gośka była bardzo zaniepokojona. Mówiła, że ostatnio źle wyglądałaś, byłaś jakaś nieprzytomna, poprosiłaś o dziesięć pączków, a zapłaciłaś tylko za dwa. I że ledwie wyszłaś. Zapytałem, czy chodzi o tę ładną dziewczynę z psem, który wabi się Kajtek, powiedzieli, że tak. No to przyleciałem. Naprawdę się martwiłem.

Patrzyłam na jego potarganą grzywkę, zaczerwienione oczy, dłoń, którą przesunął po twarzy. Przyjrzałam się obrączce. Jakaś dziwna, z takimi jakby kuleczkami. Co to może być? Opuścił rękę i znów pogłaskał Kajtkę, który błogo mruknął.

– Mogę ci jakoś pomóc z tą nogą? Był u ciebie lekarz?

– Czekał, czekał. Najpierw najważniejsze: mówisz, że ukradłam pani Małgosi osiem pączków?

Siedzę sobie w czytelnicy i – jak to się mówi – przerzucam czasopisma. A co! Nikt by się nie domyślił, że przez ostatnich kilka lat nie było mowy o żadnym przerzucaniu, bo mnie odrzucało. Ślimak bez skorupki nie chodzi po papierze ściernym, dżdżownica nie opala się na środku autostrady, a Ewka nie czyta prasy. Proste. Ale ostatnio coś się jakby zmieniło. I kojarzy mi się to z zapachem odwilży i pieczonego kurczaka.

Tamtego dnia dałam Marcinowi pieniądze za osiem pączków i poprosiłam, żeby poszedł do Łasucha i zwrócił mój dług. Wrócił z kolejnymi pączkami, bochenkiem chleba i gorącym pieczonym kurczakiem w papierowej torbie. Ucztowaliśmy pod bacznym okiem Kajtka.

– No no, w pół godziny upolować i upiec kurczaka – powiedziałam. – Jestem pełna uznania!

– Drobiazg – powiedział Marcin niedbale, wycierając palce w serwetkę. – Stary kawaler musi sobie radzić. (Kawaler! Słyszałaś!?) – Zresztą pieczenie kurczaka to pikuś. Pączki: to dopiero wyzwanie!

– Bardzo dobrze wyszły – pochwaliłam.

Skinął głową z uśmiechem.

– A! – przypomniał sobie. – Pozdrowienia od Gośki. Powiedziałem jej, że żyjesz.

Oho. Rozmawiali o mnie.

– I co? – spytałam zaintrygowana.

– No nic. Kazała cię pozdrowić. I była zdziwiona, że tyle dni potrafiłaś przeżyć bez pączków.

– I co jej powiedziałaś?

Już dawno tak dobrze się nie bawiłam.

– Że cuda się zdarzają. Jedni umieją lewitować, inni potrafią przeżyć bez pączków.

Napiłam się kawy. Połączenie smaku kurczaka, kawy i pączka było trochę dziwne, ale całkiem w porządku, nie powiem.

– Naprawdę umiesz gotować? I piec?

– Umieję. Nauczyłem się z gazet. „Moja Kuchnia i Ja” albo „Ja i Moja Pieczeń”. Tego typu, wiesz...

– Nie wiem. Nie czytam prasy.

Odstawił filiżankę i spojrzał na mnie uważnie. Chyba przypomniał sobie to, co mu kiedyś powiedziałam.

– Może właśnie takie gazety by ci się spodobały?

Na chwilę zabrakło mi tchu. Zamknęłam oczy. Delikatnie dotknął mojej dłoni.

– Spróbuj – powiedział przyjaźnie. – Zobaczysz, nie taki kurczak straszny, jak go malują.

Otworzyłam oczy. Patrzył na mnie ciepło.

– Spróbuję.

I dlatego siedzę sobie teraz w czytelni jak normalny człowiek i przerzucam czasopisma. Oczywiście nie wszystkie. Wzięłam parę takich o ogrodnictwie, jedno o robótkach ręcznych i kilka kulinarnych. Pani Edyta zajrzała mi przez ramię, przechodząc ze stosem książek.

– Będzie pani piekła ciasto do Aniołów? – spytała uradowana. – To świetnie się składa, bo ja akurat wyjeżdżam na weekend i nie zdążę.

I zanim się zorientowałam, już przyrzekłam, że w niedzielę przed dziesiątą przyniosę do kawiarni ciasto. Kiedy bibliotekarka odeszła, musiałam przez dłuższą chwilę wpatrywać się w przepis na tort orzechowy, żeby ochłonąć.

Potem weszłam między regały. Porozglądałam się trochę, w końcu dotarłam do kryminałów. Agatha Christie. Stara dobra Agatha. Ile ja się jej naczytałam. Ile godzin spędziłam na omawianiu ze Sławkiem tych wszystkich morderstw, szukaniu wskazówek, analizowaniu charakterów postaci... Szczególną przyjemność sprawiało nam to po ciężkich zmaganiach z poważną i poważaną literaturą klasyczną. Co by tu? *Mężczyzna w brązowym garniturze*? Tajemniczy, przystojny i małomówny. W sam raz, pasuje.

Kiedy zjedliśmy, Marcin pozmywał i wyszedł z Kajtkiem, a mnie powoli zaczęła ogarniać ciemność. Nie wróci. Nie wróci, bo nie istnieje. A jeśli istnieje, to też nie wróci i w dodatku zostanę bez psa. Poprawiłam poduszkę pod nogą, otuliłam się kocem. Na pewno nie wróci.

Zamknęłam oczy. Wciąż czułam jego zapach. Zapach deszczu i kawy. Z nutą pieczonego kurczaka. Może jednak istnieje? Pachnie. Zabrał psa. I najważniejsze: nie potrafię go dopasować do żadnej książki. No tak, ale zdarzały mi się wizyty osób, których nie umiałam dopasować do żadnej książki, a po namyśle odkrywałam, że posklejałam je z kilku różnych bohaterów.

Po namyśle, po namyśle... Nie mam siły na namysł. Potrzebuję jednoznacznej odpowiedzi. Istnieje czy nie istnieje? Tak albo siak. Ogarnęło mnie znajome zniechęcenie. Ani tak, ani siak. Byle jak.

Trzasnęły drzwi, zaszeleściła wiatrówka, zastukały pazury na podłodze. Słyszałam, jak Marcin wyciera Kajtkowi ubłocone łapy i coś do niego mruczy. Słyszałam, jak Kajtek otrząsa się z wody, wali ogonem w ścianę i głośno dyszy. Wstrzymałam oddech, czekając, aż zobaczę Marcina wchodzącego do pokoju. Poczulałam... To się nazywa... radość, o ile dobrze pamiętam.

Wszedł zwyczajnie. Ale właściwie jak miałby wejść? Co miałby zrobić? Wyskoczyć zza drzwi z okrzykiem: „A kuku!”? Przysiadł na kanapie.

– Jutro muszę wyjechać – powiedział. – Dzwonili, jak byłem z Kajtkiem.

– Rozumiem. Często musisz wyjeżdżać?

– Częściej, niżbym chciał – powiedział zrezygowany.

Zamyślił się, zamilkł. Poprawił grzywkę, błysnęła ta dziwna obrączka na jego palcu.

– Na początku tak nie było. Ale firma się rozrasta. Zakładamy filie. Trzeba wszystko przygotować. Przeszkolić ludzi... Ostatnio nie było mnie w domu prawie dwa miesiące. Nawet na święta nie mogłem przyjechać.

– A czym się zajmujesz?

– Informatyką i różnymi takimi. Nic ciekawego. – Machnął lekceważąco ręką.

– Pewnie jesteś agentem specjalnym. Łatwo się domyślić, przykro mi. Młody, samotny, inteligentny, wysportowany – wyrecytowałam. – Nie jestem dzieckiem, wiem to i owo.

Spojrzał na mnie zaskoczony. Na chwilę naprawdę go zatkało, lecz zaraz się zorientował, co jest grane, i parsknął śmiechem. Chyba trochę wymuszonym.

– Szybko mnie rozszyfrowałaś – powiedział. – Ale może za dużo o tym nie opowiadaj. Dasz sobie radę? – spytał po chwili.

– Dam. Na pewno. Jutro już chyba zdejmę bandaż.

– Tylko ostrożnie. Nie szarżuj. I wiesz co, może daj mi swój telefon? Na wszelki wypadek.

Przedyktowałam mu numer i spojrzałam na niego uważnie.

– Marcin?

– Tak?

– Z jakiej ty jesteś książki?

– Z tej samej co ty – powiedział z ciepłym uśmiechem.

– Ale ja nie żartuję. Naprawdę. Pogubiłam się. Proszę... – plątałam się rozpaczliwie. – Bo wiesz, bo ja... ja nie umiem rozmawiać z prawdziwymi ludźmi. Wstydzę się, boję. Rozmawiam tylko z postaciami z książek.

Odwrócił wzrok. Patrzyłam na jego włosy, na kilkuniedniowy zarost na mocnej szczęce, na jego dzinsy i podniszczone traperki. Chcę, żeby był prawdziwy.

Odgarnął grzywkę i spojrzał na mnie.

– Nie jestem z książki. Istnieję naprawdę.

Westchnęłam z zachwytem. Zabrzmiało to jak: „Nazywam się Bond. James Bond”.

Przypomniałam to sobie teraz, przy półce z kryminałami. Tajny agent. Będę czekała, aż pojawi się znowu. *Dead or alive. Real or not.*

Ged powoli mieszał kawę. Nie wiem dlaczego, bo nie posłodził ani nie wlał mleka. Może chce zyskać na czasie. Zresztą, kto wie? Czarnoksiężnik musi być tajemniczy.

Patrzyłam na jego dłoń. Mieszał i mieszał. Mieszał i wpatrywał się w czarny wir. W końcu dał spokój. Odłożył łyżeczkę na spodek. No, nareszcie! Jak długo można czekać? Spojrzał na mnie. Chyba pobłażliwie.

– Chciałbym być z tobą szczerzy... – zaczął.

– Tak, tak. – Pokiwałam głową gorliwie. – Właśnie na tym mi zależy.

– Ale nie będziesz się gniewać?

Oj.

– Przyjmę to z godnością – zapewniłam dzielnie i przełknęłam ślinę. – To znaczy, w miarę możliwości. Może, hm... może zrobi mi się przykro, ale obiecuję, że nie zemdleję, nie będę krzyczeć, nie rzucę w ciebie widelczykiem, nie zdemoluję kawiarni, nie...

– Dobra. W porządku. Najbardziej bałam się widelczyka. Skoro jednak obiecujesz... No więc...

– Najwyżej się rozplaczę! – dodałam pośpiesznie, na wszelki wypadek.

Przez chwilę milczał i patrzył na mnie uważnie. Próbowалам się skupić. Wpatrywałam się w jego szczupłą ciemną twarz z trzema równoległymi bliznami na policzku. Wiele w życiu doświadczył, wiele widział, dokonał niezwykłych rzeczy. A teraz siedzi tu ze mną i za chwilę powie... Spuścił wzrok i jeszcze raz spojrzał na kawałek ciasta na swoim talerzyku. W końcu wyprostował się, odetchnął głęboko i powiedział:

– Całkiem niezłe.

Uff. Skoro mówi, że całkiem niezłe, to znaczy, że... całkiem niezłe. Gdyby było niejadalne, na przykład gdybym użyła soli zamiast cukru albo kwasku cytrynowego zamiast proszku do pieczenia, powiedziała by mi. Nie ukrywałyby prawdy, nawet jeśli byłaby to prawda kwaśna lub słona.

No, to teraz ja próbuję.

Proszę państwa! Tort orzechowy Ewki konewki jest naprawdę, całkowicie, absolutnie i nieodwołalnie... niezły.

Kiedy przyniosłam go do kawiarni, Marzena piała z zachwytu. Wycalowała mnie serdecznie, wyściskała i pobiegła na zaplecze, żeby pokroić ciasto i ułożyć je na paterze. I ustawiła je na honorowym miejscu. To też o czymś świadczy.

Uch, pycha! Smakuje jak za dawnych Jackowych czasów. Niesamowite. Niesamowite, że pewne rzeczy się nie zmieniają. Jedni ludzie odchodzą, drudzy wariują, życie traci sens, świat jest coraz bardziej obrzydliwy, a tort orzechowy... jest wspaniały. Niezmiennie wspaniały.

– Muszę już iść – powiedział, wstając powoli.

Spod zniszczonego skórzanego płaszcza wyciągnął jakiś świstek.

– Ktoś prosił, żeby ci to doręczyć.

– Kto?

Nie odpowiedział. Już wychodził, kluczył między stolikami. Nie obejrzał się.

Na kartce znajdował się ręcznie napisany wiersz.

Dziś pierwszy listek wiosenny

wyklął się z pąka.

Patrzyliśmy na siebie długą chwilę.

Wreszcie zaczęłam go pytać:

Czy ty jesteś wiosna?

Czy ty jesteś szczęście?

Czy ty jesteś spełnione marzenie?

Nie – odpowiedział. – Jestem listek.

Żartował, oczywiście.

Popatrzyłam przez okno. Niepotrzebnie. Szaro. Wieje. Coś kapie z nieba. Przemoczeni, zmarznięci ludzie przemykają po chodniku, mniej lub bardziej zręcznie przeskakując kałuże. Nie będę na to patrzeć. Jestem wolnym człowiekiem. Będę patrzeć tam, gdzie chcę.

Przeniosłam wzrok na obrazy na ścianach. Odszukałam swojego anioła. Powinien wisieć w moim pokoju, nie tutaj. To na mnie powinien patrzeć rano i wieczorem, we dnie i w nocy, do mnie powinien mówić „spoko”. I wyciągniętą ręką trzymać na dystans szczerzący zęby świat. Zapatrzyłam się w niego jak w święty, że tak powiem, obrazek.

Przypomniały mi się obrazy Agnieszki. Piękne, kolorowe, pełne radości i blasku. Pejzaże, kwiaty i chmury. Agnieszka malowała świat widzialny. Obrazy Mai przypominają, że istnieje też niewidzialny. I że jest piękniejszy od tego pierwszego.

Nagle w kawiarni zaroilo się od ludzi. Chyba właśnie skończyła się msza i nasyceni słowem Bożym parafianie zapragnęli strawy materialnej. Jedni usiedli, drudzy stanęli w kolejce przy ladzie. Szurały krzesła, brzęczała porcelana, buczał ekspres do kawy, lokal wypełnił się gwarem rozmów.

– Myślę, że ten starszy brat miał trochę racji. Bo wiesz, jak wrócił syn marnotrawny i ojciec zaraz zrobił tę ucztę i w ogóle, to ten starszy mógł się poczuć niedoceniany, nie?

– Dzień dobry, pani Marzeno. Cały tydzień czekam na niedzielę, żeby znów tu przyjść.

– Co bierzemy? Lody czy ciasto?

– Patrz, tort! Może spróbujemy?

– Przecież on wcale nie był niedoceniany. On się tylko tak czuł. Ojciec go

kochał. Tylko że on wolał żyć w jakimś takim zgorzknieniu.

– Znowu za głośno śpiewali. Jak za tydzień też będą się tak wydzierali, podejść i ściszyć im te mikrofony. Naprawdę, ogłuchnąć można...

– Ja chcę lody! To znaczy: proszę.

Mąż Marzeny dołączył do niej za ladą, kilka osób krzątało się na zapleczu.

Postanowiłam przeczekać tę nawałnicę. Żeby dać nowym gościom do zrozumienia, że nie mają co czaić się na moje miejsce, nałożyłam sobie jeszcze dwa kawałki sernika. Tort wielkodusznie zostawiłam dla innych. Skoro taki dobry, to proszę bardzo, niech jedzą.

Grzebałam w cieście widelczykiem i wpatrywałam się w swojego anioła. Nie mogłam oderwać wzroku od jego spokojnej twarzy, pełnej godności i lekko uśmiechniętej.

Musiało minąć sporo czasu, bo gdy ponownie się rozejrzałam, zobaczyłam, że znowu prawie nikogo nie ma. Przy jednym ze stolików siedzieli Kinga i Tomek. Trzymali się za ręce i popijali mrożoną kawę. Za ladą stała Maja. Opierała się łokciami o blat i patrzyła na mnie.

Czasami nie trzeba wielu słów. Czasami nie trzeba nawet odwagi. Podeszłam do niej i ruchem głowy wskazałam obraz.

– Ten anioł...

– Jest twój – powiedziała. – Już kiedy go malowałam, wiedziałam, że ktoś się po niego zgłosi.

– Ale... ile kosztuje?

– Jest twój.

Za moimi plecami zaszurało krzesło, zabręczała łyżeczka odkładana na spodek. Tomek podszedł do ściany, ostrożnie zdjął obraz i wręczył mi go zdecydowanym ruchem.

Co miałam zrobić? Mieli przewagę liczebną. Jedna zawstydzona, milcząca osoba nie pokona przecież trzech milczących osób, choćby milczała ze wszystkich sił.

Przytuliłam anioła, szepnęłam „dziękuję...” i wyszłam z kawiarenki. I oczywiście zapomniałam o płaszczu i szalu.

Nie mogę jeść pączków. To straszne, żalosne i niepojęte. Siedzę w pracy, kawa paruje, robota leży, a ja nadgryzłam pączka i w ogóle nie mam ochoty na więcej. I jest to kolejny pączek, którego nie mogę zjeść. Dziesiąty chyba. Albo dwudziesty, albo któryś. Nigdy nie miałam głowy do liczb. Przecież jestem filologiem. Kurs księgowości zrobiłam, bo namówili mnie Sławek, Agnieszka i Jacek, gdy szykowaliśmy się do założenia firmy. Oj...

Otrząsnęłam się z ciemności i wróciłam do liczenia pączków, których nie zjadłam. Zresztą... W zasadzie wcale nie chodzi o to ile, tylko o to... dlaczego.

Dlaczego nie mogę zjeść pączka, choćby był nie wiem jak świeży i nie wiem jak mocno pachniał konfiturą z róży? Dlaczego na sam widok pączków robi mi się przeraźliwie smutno? Dlaczego to, co jeszcze niedawno było lekarstwem, teraz tylko pogłębia chorobę?

Napiłam się kawy, zjadłam trochę cukru, a potem położyłam głowę na biurku i zakryłam ją rękami. Dajcie mi wszyscy spokój. Dajcie mi spokój.

Po chwili usłyszałam kroki, więc poderwałam się do bardziej pracowniczej pozycji. W drzwiach stanęła pani Ela z talerzem w rękach.

– Pani Ewo, zje pani? Zima, dzieciaki chorują, zostało trochę udek. Pani sobie zje.

Zanim zdążyłam całkowicie oprzytomnieć, zobaczyłam oczami wyobraźni te panierowane dziecięce udeka. Na szczęście trwało to tylko chwilę. Uśmiechnęłam się i wzięłam talerz. Postawiłam go przed sobą na biurku, odsunęłam na bok kawę i pączka, księgowość położyłam na podłodze. Oj tam, nic jej się nie stanie. Kurczak, no proszę! Zwykle dostaję tylko zupę. Inne resztki kucharki zawsze jakoś zagospodarowują (nie wnikiem jak, nie wnikiem).

A teraz proszę, kurczak. Jak byk. Z ziemniakami i surówką z kapusty. Bardzo smaczne ziemniaki, bardzo smaczna surówka, bardzo sma... Kurczaka nie mogę przełknąć.

I wtedy zrozumiałam dlaczego.

Pączek i kurczak. I zapach deszczu. Zapach nadziei. Marcin.

Floroterapia przedwiosenna. Wskazania: depresja całoroczna leczona farmakologicznie z miernym skutkiem. Zalecenia: codzienna, jak najdłuższa ekspozycja na kwiaty, zwłaszcza pachnące.

Pochyliłam się nad bukietem ogromnych kremowych róż. Zerknęłam ukradkiem, czy Maciek nie patrzy, i ucałowałam jeden z pączków. Przez chwilę miałam wrażenie, że kwiat oddał mi pocałunek. Teraz te ciemnoczerwone, moje ukochane. Pełne energii, radości i piękna. Boże, ja też kiedyś taka byłam. Fakt, prawie nie mam biustu i tylek trochę za duży, ale reszta przecież zawsze była niczego sobie; chodziłam do fryzjera, kupowałam ciuchy, robiłam makijaż,

podobałam się chłopakom... I byłam taka radosna. Taka odważna. Tak ciekawa świata.

Smutek otulił mnie ciemnością jak szalem.

Nie, to nie mogłam być ja. To niemożliwe. Ta dziewczynka, która grała we wszystkich szkolnych przedstawieniach, wiceprzewodnicząca klasy, założycielka i szefowa klubu literackiego w liceum, gospodyni piątkowych imprez na studiach, autorka wojowniczych recenzji w uniwersyteckiej gazetce, uczestniczka szalonych akcji ze Sławkiem, Agnieszką i Jackiem (ach, to karaoke w hospicjum!), zabaw z dziećmi w domu dziecka i nagłych wyjazdów nad morze... To nie byłam ja. Albo byłam, a teraz nie jestem sobą, ktoś mnie podmienił. Może powinnam czuć żal, rozpacz, złość? Może powinnam mieć pretensje do losu, do Boga, do kierowców tirów, którzy wyprzedzali się na tamtej wąskiej szosie? Może. Ale czuję tylko potworne zmęczenie i smutek.

Coś niewyraźnie majaczy w szarej mgle. A, to te róże.

– Kajtek, głupku. Ty nic nie rozumiesz.

Uparty zwierzak, ledwie wyszliśmy z parku, znów ciągnie w stronę ulicy Słowików. Przestałam tam chodzić. Po skręceniu nogi ani razu tam nie byłam. Pewnie dużo się zmieniło. Zniknęło jedzenie dla ptaków, śnieg na trawniku stopniał, w czarnej ziemi kiełkują jakieś cebulki. Chłopcy co rano wychodzą do szkoły, po południu wracają, furtka skrzypi. Ich matka gotuje obiad, zerka zza nowych bielutkich firanek. Może na oknie postawiła małą doniczkę z żonkilami?

Szarpnęłam smycz. Kajtek podreptał za mną. Przez chwilę był smutny, ale szybko odzyskał humor i zaczął radośnie dyszeć. Przyspieszył kroku i pociągnął mnie w stronę lasu. Właściwie czemu nie. Byłam tam tylko kilka razy. Po przeprowadzce, w ramach oswojania środowiska zrobiłam sobie kilka wycieczek do lasu, chociaż nie zapuszczałam się zbyt głęboko (na pewno coś lub ktoś tam grasuje!). Potem pojawiły się plakaty o wściekłości, więc się wystraszyłam. Nie doczytałam, że chodzi o zrzuconą z samolotu szczepionkę dla lisów. Kiedy się o tym dowiedziałam, zrobiło mi się głupio i nie chodziłam do lasu już nie ze strachu, ale ze wstydu. Zobaczymy, jak tam teraz jest. Z psem wcale się nie boję. Można przecież przyjąć, że to pies obronny, prawda?

Akurat się na mnie obejrzał. Jego pocziwy pysk wprost promieniał życzliwością. Puszysty ogon kołysał się łagodnie. No nie, obronny jednak nie.

Weszliśmy między drzewa. Żeby nie zabłądzić, trzymałam się drogi, ale ponieważ była błotnista, szłam brzegiem, po wilgotnym miękkim mchu. Było całkiem miło, dosyć ciepło, bezwietrznie. Kajtek szarpał smyczą, rzucał się i przystawał przy prawie każdym krzaku. Szłam za nim, w jego rytmie. Głaskałam korę drzew, muskałam palcami gałązki, wsłuchiwałam się w rozlegający się od czasu do czasu głośny śpiew ptaków. O, mrowisko. Pochyliłam się, żeby sprawdzić, czy mrówki już się obudziły. Kajtek też się zainteresował i zaczął

gorliwie węszyć. Kilka mrówek kręciło się ospale po powierzchni kopca. Wyglądały, jakby nie bardzo wiedziały, o co w ogóle chodzi. Ruszyliśmy dalej.

I nagle zobaczyłam miejsce ze swojego snu o fontannie w lesie. Rozejrzałam się. Tak, wszystko się zgadza. Wysokie, gładkie pnie sosen, zielony mech, cisza i śpiew ptaków. Tylko fontanny nie ma, oczywiście. Ale za to na pobliskim krzaku dostrzegłam świeże, ledwo rozwinięte listki – delikatne, jasne i soczyste.

Pochyliłam się nad jednym z nich.

– Czy ty jesteś wiosna? – szepnęłam.

Cisza. Tylko Kajtek węszył i prychnął.

Nie spytałam, czy jest szczęściem albo spełnionym marzeniem. Wstydziłam się. A raczej nie tyle wstydziłam, ile pomyślałam, że takie pytanie byłoby nedorzeczne. Przecież od razu widać, że nie jest. Chociaż... Co ja właściwie wiem o szczęściu i spełnionych marzeniach?

– Cześć, Ewa – powiedział Maciek.

– Cześć – odpowiedziałam niemrawo.

Właściciel Krokusa, rozsądny mężczyzna, nie zadawał pytań. Zauważył, że codziennie przychodzę, żeby oglądać i wąchać kwiaty, i po prostu przyjął to do wiadomości. Kiedy byłam z Kajtkiem, przynosił mu miskę z wodą. Dziś przysłałam sama. Uznałam, że i Maćkowi, i mnie należy się spokój. Klientom też. Ale spokój najwyraźniej nie był na dziś w Krokusie przewidziany. Maciek nerwowo rozmawiał przez telefon, chodząc po kwaciarni, przestawiając doniczki, obskubując suche liście i machając wolną ręką.

– Ja panią rozumiem. Doskonale rozumiem. Naprawdę. Tak, ceny hurtowe. Nawet jeszcze dam rabat. Nie, nie wiem. W tej chwili nie potrafię powiedzieć jaki. Słucham? To chyba nieporozumienie, przepraszam bardzo. Skąd mam to wiedzieć? Dlaczego ja? Mogę zamówić kwiaty, sprowadzić, sprzedać po cenach hurtowych z rabatem, ale nie zdecyduję, jakie pani ma mieć kwiaty na grobie. Słucham? Tak, mam doświadczenie, ale to pani, państwo musicie zdecydować. Oczywiście, rozumiem... Tak, pierwszy raz, rozumiem... No, dobrze. Proszę przyjść na tę konsultację. Tak. Dobrze. Do widzenia.

Wyobraziłam sobie oszołomioną, zagubioną wdowę szukającą pomocy. Ładnie ze strony Maćka, że zaproponował jej ceny hurtowe i rabat, ale dlaczego nie chciał nic doradzić?

Do kwaciarni weszła Renata. Dopiero teraz, gdy zobaczyłam ją bez zimowych swetrów, zorientowałam się, że spodziewa się dziecka. Chyba trzeciego. I chyba już niedługo.

– Dzień dobry! – powitała mnie ciepło. – Śliczne, prawda?

– Tak, piękne – bąknęłam zza róż.

Kątem ucha usłyszałam soczysty pocałunek małżonków.

– Znowu dzwonił ze Świętego Franciszka – powiedział Maciek do żony.

– No, no? – zachęciła go Renata i usiadła za kontuarem, jakby szykowała się do oglądania kolejnego odcinka serialu.

– Stary numer. Nie mają pomysłu na Grób Pański, więc nasyłają Bogu ducha winną kobiecinę, że niby sobie nie poradzi, nie wie, jakie kwiaty, i tak dalej. Zaczęła od pieniędzy. Że nie wiedzą, ile zbiorą od parafian, więc żeby na wszelki wypadek było jak najtaniej. Wyobrażasz sobie? Brak mi słów. No bo weź! Przecież to od lat ta sama ekipa. Działacze parafialni od siedmiu boleści. Co roku udają sieroty, kupują u nas za bezcen i jeszcze dostają projekt grobu gratis.

– Wiem. Naszego grobu sprzed roku – powiedziała łagodnie Renata.

– No właśnie – warknął Maciek. – Nigdy nic sami nie wymyślą! Wszystko ściągają od nas: żłobek, grób, ołtarze na Boże Ciało.

– Maciusiu – przerwała mu żona czule, ale stanowczo – nie zapominaj, że to nasi bracia w Chrystusie.

– Pamiętam, pamiętam. Tylko, że to są akurat ci bracia w Chrystusie, którzy mnie najbardziej denerwują.

– Nic już nie mów, kochanie – poprosiła, kładąc mu rękę na ustach. – Kiwnij tylko głową, jeśli odpowiedź brzmi: „tak”.

Kwiaciarz przymknął oczy i westchnął.

– Czy obiecałeś im ceny hurtowe i rabat na kwiaty?

Maciek skinął głową.

– Czy obiecałeś im pomoc przy projekcie grobu?

Maciek skinął głową.

– Czy wiesz, że dobrze zrobiłeś?

– No pewnie, że wiem.

Szefowa napadła na mnie rano z pretensjami, że nie przyniosłam. Nawet nie wiem czego. Patrzyłam na nią spłoszona i zaniepokojona. Lubię ją i naprawdę nie chcę jej robić kłopotu.

– Przecież prosiłam. Miałaś przynieść dziś raniutko. Nie dostałaś esemesa?

Aaa, tu jest pies pogrzebany.

– Olga, przepraszam. Gdzieś mi wcięło telefon. Przecież wiesz, że żyję jak neandertalczyk. Teraz w dodatku jak neandertalczyk bez telefonu.

Uśmiechnęła się. Pewnie wyobraziła sobie neandertalczyka bez telefonu. Albo z telefonem, jeszcze lepiej.

– Ewka, co ja z tobą mam... No, dobra. Teraz to już w sumie bez znaczenia. A swoją drogą: jak sobie radzisz bez telefonu?

– Normalnie. Długo nawet nie wiedziałam, że mi zginął. Kiedy się w końcu zorientowałam, kupiłam budzik. I już.

– A rozmowy?

Wzruszyłam ramionami. Co mam powiedzieć? Jakie rozmowy... Z kim... Bez telefonu jest mi zresztą dużo lepiej. Na sam dźwięk jego dzwonka dostawałam gęziej skórki.

– To znaczy co? Nie kupisz nowego? – Nie ustępowała.

– Nie – mruknęłam i poszłam do swojego pokoiku.

Weszła za mną. Kurczę. Już nawet w pracy nie dają człowiekowi spokoju.

– Ewuniu, a weźmiesz dziś zastępstwo po południu? Dwie godzinki. Proszę. Beacie coś wyskoczyło.

O rany. O rany. O rany. Poczułam, że lodowacieją mi dłonie.

– Okej – wyszeptałam zdrętwiałymi ustami.

Nie odmówię przecież szefowej, którą przed chwilą ciężko zawiodłam, bo nie przyniosłam czegoś, co miałam przynieść.

Swoją drogą, ciekawe, co to miało być.

– Malujemy rakiety kosmiczną – zarządziłam.

– Hurra! – wrzasnęły dzieciaki i pobiegły zakładać fartuszki.

Pani Ela pomogła mi przygotować farby, a potem przyniosłam ze składziku ogromną płytę pilśniową, do której przypięłyśmy kilka dużych arkuszy szarego papieru. Wzięłam ołówek i zaczęłam szkicować kontur.

– Tu jest kabina pilota – wyjaśniałam, a dzieci piszczały zachwycone. – Tu część mieszkalna. Każde z was ma swoją kabinę. Tu są silniki. Zajmują dużo miejsca, bo mają ogromną moc.

– Jakie paliwo? – spytał dociekliwie czarnooki chłopiec.

– Elektroplazmowe ze wspomaganie fotonowym – odpowiedziałam bez namysłu.

Chłopiec z uznaniem pokiwał głową.

– Tutaj są magazyny – kontynuowałam – tutaj taśmociągi do ładowania towarów.

– Co przewozimy, proszę pani?

– Sepulki.

Dzieci słuchały w skupieniu.

– Tu znajduje się część wypoczynkowa. Basen, boisko sportowe, teatr, biblioteka...

– A komputery, proszę pani?

– Komputery znajdują się w sterowni, o tu.

– To jak będziemy grać?

– Nie będziecie grać. Jesteście poważnymi kosmonautami. Do roboty. Bierzcie pędzle.

Uff. Usiadłam w fotelu i zerknęłam na Pirxa. Dotąd przyglądał nam się w milczeniu, z dobrodusznym wyrazem twarzy.

– Całkiem niezłe – pochwalił mnie. – Zwłaszcza z tym paliwem. Jak je nazwałaś?

– Nie pamiętam – wyznałam.

Parsknęliśmy śmiechem.

Dzieciaki z zapalem machały pędzlami. Było trochę kłopotu z chłopakami, bo wszyscy chcieli malować sterownię. Dopiero kiedy dorysowałam kabinę hibernacyjną i tajne archiwum, jakoś się podzielili.

– Proszę pani! – rozplakała się jedna z dziewczynek. – A Magda mówi, że sepulki są niebieskie, a nie pomarańczowe!

Podeszłam do rakiety. Kurczę, co im powiedzieć? Zerknęłam na Pirxa. Ze skupieniem wpatrywał się w sufit. Cwaniak. Kucnęłam przy dziewczynkach.

– Sepulki nie są ani niebieskie, ani pomarańczowe. Ale to świetne kolory na opakowania. Najlepsze w tej części kosmosu. Bo w tej drugiej wolą żółty.

Słuchały uważnie.

– Najważniejsze, żeby nie używać zielonej farby. Zawarty w niej barwnik w kontakcie z sepulkami może wybuchnąć.

Wszystkie dzieci zwróciły na mnie oczy.

– Proszę pani! Mogę spróbować? – zapytał mały blondynek z nosem umazanym zieloną farbą i nie czekając na odpowiedź, ruszył z pędzlem w stronę magazynu.

Mało brakowało, a spowodowałyby wybuch. Na szczęście pozostałe dzieci zatrzymały go i odebrały mu pędzel. Rozplakał się. Odciągnęłam go na bok, oddałam mu pędzel i powiedziałam:

– Zielona farba jest potrzebna na antymeteorytową powłokę kadłuba. Tylko maluj starannie. Od ciebie zależy bezpieczeństwo całej rakiety.

Chłopiec wytarł nos rękawem i zabrał się do pracy.

- Proszę pani! A mogę wziąć psa?
- Oczywiście. Namaluj dla niego legowisko w swojej kajucie.
- A ja bym chciał wziąć chomika.
- Chomika też można. Świnki morskie też. I myszki. I papugi.
- A słonia?
- Oczywiście. Tylko domaluj magazyn ze słoniową karmą.
- Proszę pani! Proszę pani! Pani zobaczy!

Podeszłam do grupki podekscytowanych chłopców. Cały duży segment wypełnili bronią. Przekrzykując się, zaczęli mi objaśniać szczegóły.

- Tutaj są bomby, a tu miotacze ognia!
- Tu wyrzutnie rakiet!
- To są pistolety laserowe, to dezintegratory, a to maczety!
- Tutaj jest broń chemiczna!
- Czołgi, karabiny, bombowce, miny!

Nogi się pode mną ugięły. Usłyszałam chrząknięcie. Pirx. Spojrzałam na niego. Wstał i podszedł do nas powolnym rozkołysanym krokiem. Już nie wyglądał dobroduszenie. Zmęczonym wzrokiem spojrzał na malowidło. Milczał. Za to ja się odezwałam:

– Zamalować to. Raz, dwa. Nie bierzemy żadnej broni. Nasza wyprawa odbywa się w czasach, gdy ludzkość już w końcu zmadrzała i przestała się zabijać. Nie ma wojen. Nie ma broni.

Chłopcy przez chwilę wyglądali na zdumionych, ale potem grzecznie zaczęli zamalowywać arsenał.

- To zrobimy tu laboratorium, dobrze?
- Dobrze – westchnęłam i usiadłam na podłodze.

Kawy. Dajcie mi kawy. Czy na pokładzie tej rakiety jest kawiarnia?

Chyba zaczyna się wiosna, ale na wszelki wypadek jeszcze w to nie wierzę, bo gdyby zniecka spadł śnieg, wyszłabym na kompletną idiotkę. Dlatego zachowuję ostrożność. Wysłałam z Kajtkiem na spacer, ale nie na spacer wiosenny.

Powietrze owszem, owszem, całkiem ciepłe. I ptaki śpiewają. I jakoś tak... przyjemnie. W ogródku pani Mirki grządki już przekopane, pewnie zaraz wyjdą z ziemi narcyzy, tulipany i żonkile. Na krzakach i drzewach zielenieją pączki.

Popchnęłam furtkę, Kajtek szarpnął smycz.

– Nie, piesku. Nie idziemy do lasu. Las jest niebezpieczny. Można w nim przeżyć chwilę zachwytu, a potem bardzo się rozczarować. Na przykład znaleźć miejsce z najpiękniejszego snu i uwierzyć, że skoro to miejsce istnieje naprawdę, to reszta snu też się spełni. I że... Zresztą nieważne. Nie słuchaj mnie. Idziemy.

Poszliśmy. Na ulicę Słowików. Naprawdę nie wiem dlaczego. Chyba się zamyśliłam, a Kajtek to wykorzystał. Przed żółtym domkiem ktoś zagrabił trawnik, na rabatkach czerniała świeżo przekopana ziemia, w oknie stała doniczka z krokusami, na podwórku biały opel.

A przy bramie ktoś zamykał kłódkę. Marcin.

Jakoś dziwnie wyglądał. Zmęczony? Chyba. Ale coś jeszcze. Rozgoryczony? Smutny? Wycofany?

Uśmiechnął się niepewnie i skinął głową.

– Cześć – powiedział.

Moje serce na chwilę się zatrzymało. Tylko tyle?

– Cześć – odpowiedziałam z trudem.

Kajtek przyjaźnie pomachał ogonem i pociągnął mnie dalej. Obejrzałam się dopiero po kilkunastu krokach. Marcin stał jak więzień za kratami, z opuszczoną głową. Moje nogi poszły na spacer, a potem do domu, moje ręce wytarły psu łapy, umyły moje zęby i pościeliły łóżko. Moje ciało położyło się spać. Ale moje serce zostało tam, przy bramie.

W pracy zorientowałam się nagle, że wystukuję coś palcami na blacie. Piosenka? Nie. Piosenek nie ma w moim życiu już od dawna. Od kiedy zabrakło grającego na gitarze Sławka, śpiewającej Agnieszki i Jacka, który ciągle podrzucał mi nowe płyty – a to Stare Dobre Małżeństwo, a to Kitaro, a to Gipsy Kings i Chrisa Reę czy Kenny'ego G. Od paru lat żyję w ciszy.

W końcu uprzytomniłam sobie, że stukam Morse'em. Nauczyłam się tego jeszcze w podstawówce. Cała klasa się nauczyła, porozumiewaliśmy się potem w ten sposób na lekcjach i podpowiadaliśmy sobie na klasówkach. Jako studentka morsowałam ze Sławkiem i Jackiem. Najbardziej bawiło nas obgadywanie ludzi w kawiarniach. Takie z nas były łobuzy.

M-a-r-c-i-n, stukaliśmy. M-a-r-c-i-n. I znów. I znów. W kółko.

Poczułam się jak ostatnia idiotka. Uwaga, proszę państwa, Ewka konewka zdradza imię ukochanego alfabetem Morse'a! Komu? Licznie zgromadzonym na biurku segregatorom, brulionowi z tygrysem na okładce i wyłączonemu komputerowi. Po prostu komedia.

Pirx patrzył na mnie spokojnie. Bez dezaprobaty, raczej życzliwie.

– Proszę cię, nic nie mów – jęknęłam.

Nie przejął się.

– Coś ci opowiem – zaczął. – Zostałem kiedyś dowódcą starej rakiety. Gruchota, który dożywał swoich lat w transporcie. Kiedy ją zwiedzałem, usłyszałem dźwięki niosące się w rurach. Po chwili zorientowałem się, że to alfabet Morse'a. Ktoś nawoływał, że kończy mu się zapas tlenu. Zacząłem stukać, włączyłem się do rozmowy. I wyobraź sobie, dostałem odpowiedź! Pytali, kim jestem. Prosilili o pomoc. A przecież na pokładzie nikogo nie było. Okazało się, że to stary robot, który przeżył katastrofę rakiety. Włączył się bez celu po pustym wraku, stukając w rury i odtwarzając ostatnie komunikaty od dawno nieżyjącej załogi. To było straszne.

Pirx zamknął oczy. Jego twarz poszarzała i wypełniła się bólem. Znów przeżywał tamtą bezradność. Doświadczał spotkania z historią, która wydawała się zakończona, a okazała się znów żywa. Potem nagle podniósł powieki i spojrzał na mnie uważnie.

– Ewa – powiedział – twoje życie nie jest fantastyczno-naukowym opowiadaniem. To, co się stało, należy do przeszłości i musisz to tam zostawić. Rozumiesz?

– Jasne – zapewniłam gorliwie.

Nie dał się nabrać.

– Musisz się pozbyć tego robota, który wciąż ci stuka i stuka. Musisz puścić przeszłość, musisz pozwolić jej odejść.

No, faktycznie. Miło by było.

M-a-r-c-i-n.

– A to co? Może mi powiesz? – spytałam.

– Oczywiście. To twoja przyszłość. Wejź w nią.

– Przyszłość. Daj spokój – zdenerwowałam się. – Jak niby miałabym to zrobić? Po pierwsze, nie wiem, czy on jest prawdziwy. A po drugie, on... on nie chce mnie znać. Powiedział: „cześć”. I tyle. I cześć. Rozumiesz? Gdyby mnie... gdyby mnie, no, lubił... toby zagadał. Powiedział coś więcej. Zadzwo...

O, ciekawostka. Jak miałby zadzwonić, skoro nie mam telefonu?

Plan dnia:

Kawoterapia z elementami ciastoterapii

Dogoterapia spacerowa

Kawoterapia z kominkoterapią

Floroterapia wczesnowiosenna

Słowikoterapia ostatniej szansy

Spać.

– Więcej tych bazi, kobieto. Co to ma być, Statua Wolności?

– Czepiasz się. To elegancka smukła palemka dla wyrafinowanej osoby. Jak chcesz coś grubego, to weź tę z doniczki.

– Wymyśliła. Chociaż... W sumie fajny pomysł. Palemka z palmy! Dawaj sekator.

– Maciek, opanuj się! Bo zadzwonię do Renaty!

– Dzwon sobie. Nie odbierze, bo albo karmi juniora, albo go przewija, albo oboje śpią.

W Krokusie było pełno ludzi. Ekipa spod Aniołów szykowała palemki na jutrzejsze święto. To znaczy żeńska część. Panowie zabrali dzieciaki w teren. Miała być piłka nożna, gofry, szukanie oznak wiosny w parku i zasłużony wypoczynek, czyli oglądanie filmów w kawiarni. Jedynym mężczyzną w Krokusie był Maciek, dumny ojciec trzydniowego dziecka.

Zganiała za zbyt szczupłą palemkę Marzena szykowała następną, tym razem pękata i szczerze ozdobioną barwinkiem i kolorowymi wstążkami. Ze śmiechem pokazała swoje dzieło Mai.

– Specjalnie dla Maćka!

Maja zachichotała.

Stos palemek szybko rósł. Jutro ministranci będą je sprzedawać pod kościołem, a zarobione pieniądze zasilą fundusz wakacyjny dla dzieci z biednych rodzin.

– Ciekawe, jak chłopaki radzą sobie z dziećmi – powiedziała Maja po chwili, wypowiadając na głos niepokoję wszystkich obecnych w kwaciarni żoninych sumień.

– Na pewno dobrze – uspokoiła ją, siebie i pozostałe dziewczyny Marzena. – Czemu mieliby sobie nie radzić?

Przez chwilę pracowały w milczeniu. Potem Gosia ciężko westchnęła.

– Ostatnio jak zostawiłam Mariusza z dziećmi, to jedno zgubił.

– Nie zgubił – obruszył się Maciek – tylko pozwolił mu pójść na samotną wycieczkę, a potem o tym zapomniał.

– Co za różnica? – znów westchnęła Gosia.

– Mam nadzieję – wtrąciła Marzena – że nie zapomną dać im jeść.

– Ja kiedyś zapomniałam odebrać syna ze szkoły – wyznała po chwili Kinga ze skruchą. – Odebrałam młodsze dzieci, a on miał jeszcze dwie lekcje. Zajęłam się obiadem, sprzątaniami, tym wszystkim, no i... no, zapomniałam.

Milczenie. Pełne zrozumienia.

– A ja kiedyś trzy godziny szukałam swojego po całej szkole. Przeszukałam wszystkie zakamarki i teren dookoła. Woźny sprawdził na dachu i w piwnicy. W końcu sobie przypomniałam, że mały został w domu, bo się przeziębził.

Znów pełne zrozumienia milczenie.

– Ja to swoje liczę przed wyjściem – przyznała się Maja. – Ale czasem zapominam policzyć po powrocie. Na szczęście lubią trzymać się razem. Nie rozłączą się.

– Dobrze masz. Moje od razu się rozpierzchają.

Nie wytrzymałam i zaczęłam chichotać. Dziewczyny spojrzały na mnie, a potem po sobie. Pierwsza parsknęła Marzena. Po chwili rechotałyśmy już wszystkie.

– Kobiety! – zawołał Maciek, przewracając oczami. – Jest Wielki Post!

Powoli uspokajałyśmy się.

– Wiemy, że jest Wielki Post – odpowiedziała z godnością Marzena. – I od początku pilnie się nawracamy.

– Śmiech w tym nie przeszkadza – dodała Kasia. – W poście nie chodzi o to, żeby się smucić. Pamiętaj, Pan Jezus powiedział, że to obłudnicy robią ponure miny, bo chcą pokazać, że poszczą. A my nie robimy ponurych min, tylko staramy się przemienić serca i być lepsze.

– Lepsze dla mężów i dzieci? – upewnił się Maciek.

– Żebyś wiedział. I dla innych ludzi też.

Przysłuchiwałam się z ciekawością. Rozmawiali swobodnie, szczerze i przyjaźnie, wciąż robiąc palemki.

– Ja postanowiłam być miłsza dla teściowej – zwierzyła się jedna z dziewczyn.

Pozostałe aż przerwały pracę i utkwily w niej nabożne spojrzenia.

– I co? Udało ci się?

– Jak by to powiedzieć... W połowie. Dla mnie to sukces!

Pokiwały głowami.

– A ja postanowiłam codziennie się modlić i czytać Biblię. Co roku postanawiam to samo. I wiecie co? Z roku na rok jest lepiej. Ostatnio udało mi się nawet wyłączyć telewizor i pójść się pomodlić, mimo że leciał dobry film.

– Ale poprosiłaś Dankę, żeby ci go nagrał?

– No pewnie!

– A wiecie, co się zdarzyło mojej babci? – powiedziała Iza. – Jesienią miała

wylew. Sparaliżowało jej prawą stronę ciała, nie mogła mówić, z dnia na dzień było gorzej. To był zresztą już drugi raz. Gasła w oczach... Niektórzy pytali wprost, po co ona jeszcze żyje? Jaki jest sens takiego życia? A my z Piotrem odpowiadaliśmy, że odpowiedź na to pytanie zna tylko Bóg.

– Musiało wam być dziwnie bez tego jej wiecznego gderania – wtrąciła Marzena.

– Strasznie dziwnie! – przytaknęła Iza. – Ta cisza była przejmująca. Aż mieliśmy dreszcze. Przed wylewem babcia wciąż narzekała, wciąż wspominała swoje krzywdy. Przyzwyczailiśmy się do tego, prawie nie zwracaliśmy uwagi. A tu nagle cisza!

Dziewczyny pokiwały głowami ze zrozumieniem. Mimo że nie znałam tej babci, zdążyłam sobie już wszystko wyobrazić, tę ciszę też.

– I kiedy babcia tak leżała – podjęła Iza – sparaliżowana i milcząca, nasze dziewczynki bardzo się do niej ośmieliły. Siedziały przy niej, głaskały ją, próbowały masować, śpiewały jej i opowiadały różne historie. Aż któregoś dnia przybiegły do mnie do kuchni i powiedziały, że babcia mnie woła.

Staruszka, opowiadała dalej Iza, nagle odzyskała mowę i kazała wezwać księdza. Potem milczała. Dopiero po spowiedzi i komunii zawołała rodzinę. „Przyszedł do mnie Pan Jezus – oznajmiła z radością – i powiedział, żebym przebaczyła”. „Tylko tyle?” – zapytał mąż Izy. „Jak wyglądał, jak wyglądał?” – dopytywały dziewczynki. „Aż tyle! – powiedziała babcia z mocą. – Przyszedł, pochylił się nade mną i powiedział mi do ucha, ale głośno powiedział i bardzo wyraźnie: »Przebacz wreszcie!« A jak wyglądał? Jak niby miał wyglądać? Normalnie wyglądał. Jak Pan Jezus”.

– I wiecie co? – ciągnęła Iza. – Babcia zupełnie się zmieniła. Przestała gderać i marudzić, stała się radosna i spokojna. Powiedziała, że mamy zapomnieć, co wygadywała, bo wszystko przebaczyła.

– A co przebaczyła? – zapytała Małgosia.

– Kiedy była młoda, została zgwałcona przez ojczyma. To na resztę życia zmieniło ją w nieszczęśliwą, zgorzkniałą osobę. Myślę, że bardzo się męczyła. Aż do chwili, gdy Jezus do niej przemówił.

– I gdy go zobaczyła – dodała Maja.

Patrzyłam na nie zdumiona. Rany! Niby normalne, wykształcone kobiety, a wierzą w takie rzeczy...

– I co dalej? – zapytała Kinga.

– Całymi dniami śpiewała.

– Śpiewała? Jak to?

– No po prostu śpiewała.

– Jakieś kościelne pieśni?

– Też. Ale nie tylko. Właściwie śpiewała chyba wszystko, co w życiu

słyszała: piosenki ludowe, żołnierskie, biesiadne, poetyckie, nawet rockowe.

– Nieźle! A wy co?

– Śpiewaliśmy z nią! Chociaż babcia lepiej pamiętała słowa. A po jakichś dwóch tygodniach przestała śpiewać, powiedziała: „To ja już idę”, i umarła. Po prostu zamknęła oczy i umarła.

Dziewczyny zamilkły i zaczęły szybko mrugać oczami. Maciek coś mruknął i wyszedł na zaplecze.

– Iza, a czemu ty nam to opowiedziałaś?

– Bo, wiecie, to wszystko nie dotyczyło tylko babci. Nas też. Nauczyliśmy się dzięki temu, że prawdziwy post musi zacząć się w sercu, od przebaczenia. Jeśli nie przebaczymy, zamkniemy Bogu furtkę i nie będzie mógł do nas przyjść z łaską.

Spojrzałam na nią z podziwem. I uświadomiłam sobie, że jej zazdrość. Że ja też chciałabym tak wierzyć.

Iza jak gdyby nigdy nic robiła kolejną palemkę. Kosmyk jasnych włosów opadł na jej promienne niebieskie oczy. Odgarnęła go gałązką bazi.

A ja zorientowałam się, że moja palemka osiągnęła właśnie grubość męskiego ramienia, a ja wciąż i wciąż okręcam ją ozdobnym sznurkiem.

W Niedzielę Palmową zapakowałam do samochodu małą walizkę, butelkę z wodą, psią miskę oraz Kajtka i pojechałam do Warszawy, do rodziców. Musiałam im powiedzieć, że im przebaczam.

Nie, nie zapomniałam o wszystkim, co boleło, nie zalał mnie nagły przyływ miłości. Tacie trochę współczułam. Do mamy wciąż czułam niechęć, bałam się jej i miałam do niej żal. Wiedziałam, że mnie nie kocha. Nie mogłam zapomnieć, że była gotowa mnie usunąć. Ale podjęłam decyzję. Podjęłam dojrzałą (ja i dojrzałą!) decyzję – postanowiłam przebaczyć. A swoim myślom i emocjom powiedziałam: „Cicho! Ja tu rządzę. Ja decyduję. I przebaczam”.

Przebaczenie jest kwestią decyzji, a nie uczuć.

Rozmowa przy stole była trudna, jak zwykle. Tata schował się za książką, jak zwykle. Mama jadła szybko, lustrując czujnie stół i nasze talerze, jak zwykle.

Nie chciałam czekać do deseru. Odsunęłam talerz.

– Jedz, Ewka. Co, nie smakuje ci surówka?

– Mamo, chciałam... Muszę... Chcę wam coś powiedzieć.

Wyprostowały się jeszcze bardziej, gdyby to było możliwe.

– Jesteś w ciąży – stwierdziła i wróciła do jedzenia.

Tata wyjrzał zza książki.

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Ja po prostu... Ostatnio dużo myślałam... i...

Tata patrzył na mnie w napięciu. Mama z pasją kroić kotlet.

– Kocham was. Chcę, żebyście to wiedzieli. I to, że... że jeśli coś było nie tak... to... to wam przebaczam.

No nie. Jak to zabrzmiało!

Tata wyciągnął do mnie rękę i uściskał moją dłoń. Powiedzieliśmy sobie wszystko, co potrzeba. Teraz mama.

– Chcesz jeszcze mięsa? Nałożyć ci? A może ci nie smakuje? Za suche?

– Nie, nie. Jest w porządku.

Wszystko jest w porządku.

Przebaczenie to nie uczucie. To akt woli. To fakt.

– Dzień dobry, pani Ewo – powiedziała Edyta i od razu przeszła do rzeczy. – Zna pani *Zwiadowców*?

Zerknęłam na okładkę grubego tomu. Jakiś wojownik, jakiś łuk... Nie, to chyba nie dla mnie.

– Bardzo dobre. Dzieciaki sobie wrywają.

– Hmm, sama nie wiem...

– Kinga też czytała. Była zachwycona.

No dobra, trafiła. Wzięłam książkę, zaczęłam przeglądać. Nagle stuknęły drzwi, a potem usłyszałam znajomy szelest. Wiatrówka. Zamarłam. Rzeczywiście, nie pomyliłam się. Do biurka bibliotekarki podszedł Marcin.

– Cześć – powiedział, a w jego głosie usłyszałam coś jakby pytanie.

– Cześć – odpowiedziałam i podeszłam do najbliższego regału.

Mam swój honor. Nie to nie.

Kiedy odwróciłam się po kilku dramatycznych minutach, już go nie było. Na biurku Edyty leżała *Trylogia kosmiczna*. Książka, którą oddał...

– Poproszę jeszcze tego Lewisa – poprosiłam słabo i wyszłam z biblioteki.

Nie, nie pobiegłam za nim. Szłam powoli. Mam swój honor. Chyba...

Zwinęłam się w kłębek na kanapie, przykryłam pledem i otworzyłam *Trylogię*. Zawsze bardzo ją lubiłam, ale tym razem opis zmagania Ransoma ze Złem wcielonym w Westona poruszył mnie mocniej niż zwykle. I to nawet nie sama walka, ale ten czas przed nią, kiedy Ransom usiłował odwlec nieuniknione. Siedział w ciemności, nieopodal siedział Zły, mijały kolejne godziny. Co pewien czas Zły mówił: „Ransom”, Ransom pytał: „co?”, a Zły odpowiadał: „nic”.

Ja też siedziałam w ciemności. I odpowiedź na wszystkie moje pytania także brzmiała: „nic”. Nie wiedziałam, co z sobą zrobić. Byłam jak nakręcona zabawka, która porusza nóżkami, lecz nigdzie nie idzie, bo wisi w powietrzu.

Poszłam nastawić kawę. Kiedy wróciłam, Ransom siedział przy stoliku. Przyniosłam z kuchni drugą filiżankę.

Milczeliśmy. Patrzyłam na swojego gościa. Szczupły, nieduży, lekko przygarbiony. Intelktualista. Wyrwany z bezpiecznego, uporządkowanego świata, musiał podjąć decyzję o walce na śmierć i życie.

– Co mam zrobić? – spytałam.

Milczał. Napił się kawy, zjadł biszkopta i spojrzał na mnie łagodnie. Czas mijał.

Potem chyba się zdrzemnęłam, bo nie zorientowałam się, kiedy wyszedł. Kajtek spał jak zabity pod stolikiem. Przeciągnęłam się, sięgnęłam po książkę i zauważyłam, że ktoś (kto? kto?) zaznaczył czerwonym flamastrem fragment, w którym Ransom dowiaduje się, że nie na darmo jego nazwisko znaczy „okup”.

– Kajtek, obudź się! – zawołałam szeptem.

Mój kochany pies zerwał się wystraszony. Patrzył na mnie czujnie, przechylając łeb.

– Kajtek, o co tu chodzi?

Pomachał ogonem. Ot i cała odpowiedź.

Powinam chyba zrobić świąteczne porządki. Takie poważne, z trzepaniem dywanów, praniem zasłon, myciem okien i odkurzaniem za meblami. Uff, osłabłam od samego myślenia. Kawa. Trochę lepiej. Ale kurcze to jednak chyba zetrę.

Dzisiaj Wielki Piątek. Kiedy wyszłam z Kajtkiem, zobaczyłam na ulicy pochód. Podeszliśmy bliżej. Droga krzyżowa. Moi znajomi (uwaga, moi znajomi! Znajomi Ewki konewki!) nieśli wielki krzyż z nieokorowanych sosnowych bali. Na początku szedł Marek, mąż Mai, dowcipniś. Na jego przytulonej do drewna twarzy malowały się teraz spokój i powaga. Za nim Tomek, mąż Kingi, i Danek, mąż Marzeny. Wszyscy trzej nagle wydali mi się bardzo do siebie podobni. Zastanawiałam się dlaczego. W końcu domyśliłam się, że to przez ten krzyż. Oni po prostu byli myśłami na ulicach Jerozolimy przed dwoma tysiącami lat. Ramiona krzyża podtrzymywali Piotrek, mąż Izy, i... Marcin. Kawaler. Jeśli istnieje. Koniec trzymał Robert, mąż Kasi, właściciel Bilba. W tłumie wypatrzyłam swoje znajome (moje znajome!) dziewczyny. Szefowa w nowym wiosennym płaszczu. Kinga, jak zwykle w chustach i szalach, Maja z dziećmi, Marzena pod rękę ze starszym synem, Małgosia z synkiem... Kolejne osoby przechodziły przede mną jak na defiladzie. Poczułam się niezręcznie, stałam jak jakiś VIP na podium. A przecież jest na odwrót. Najważniejszy jest krzyż, a właściwie Ukrzyżowany. Potem Jego wyznawcy, którzy porzucili świąteczne przygotowania, porządki oraz wypieki i wyszli na ulicę, żeby się modlić. I dopiero na końcu ja.

VIP, dobre sobie. *Very Invalid Person*. Z psem na smyczy. I z wzrokiem utkwionym w oddalającym się mężczyźnie w granatowo-żółtej wiatrówce. W mężczyźnie, który mijał mnie z opuszczoną głową, a usłyszawszy skomlenie Kajtka, zacisnął dłonie na drewnie krzyża tak, że aż palce pobieleły...

Siedzimy w ciemności. Wszystkie światła zgaszone, na dworze noc. Słysząc wiatr w gałęziach drzew, stukanie kropel deszczu o szyby. Od czasu do czasu przejeżdżający ulicą samochód wprowadza w ciemność smugę niewyraźnego światła i zabiera ją wraz z cichnącym świstem opon. Słyszę oddechy tych, którzy siedzą najbliżej. Ktoś, kto do tej pory dyskretnie pociągał nosem, poddaje się i sięga po chusteczkę. Rozlega się subtelne trąbienie. Ktoś kaszle, jakby sprawdzał rzeczywistość, jakby chciał się upewnić, czy nadal istniejemy. Potem znów cisza. I ciemność. Oczy mam otwarte, ale i tak nic nie widać, więc je zamykam. Nie ma obawy, że zasnę. Nikt z nas nie zaśnie. Każdy zмага się ze swoimi ciemnościami. Każdy jest sam, ale pomaga nam świadomość, że obok są inni.

Sześć lat temu straciłam najlepszych przyjaciół. Tuż przed zakrętem, zza którego wyskoczyły na nas dwa tiry, Jacek opowiedział dowcip, więc ryczeliśmy ze śmiechu. I z tym śmiechem wjechaliśmy w zakręt. Sławek, który prowadził, zdążył krzyknąć: „Jezu!”. Agnieszka i Jacek zawołali: „Boże!”. A ja zamknęłam oczy.

Otworzyłam je po wielu godzinach, w szpitalu. Nie, nie straciłam przytomności. Po prostu wybrałam ciemność. Albo ona wybrała mnie. To zresztą bez znaczenia, gdy leży się w strzaskanym samochodzie wśród martwych przyjaciół. Przez cały czas grało radio. Zanim przyjechała policja, pogotowie i straż pożarna, wysłuchałam wiadomości, kilku piosenek, iluś reklam.

Kiedy otworzyłam oczy w szpitalu, zobaczyłam telewizor. W wiadomościach pokazali nasz wypadek. Zmiażdżone auto, zakrwawionego Jacka, Agnieszkę z rozbitą głową, Sławka przewieszzonego przez kierownicę. I mnie, wciąż śmiejącą się do rozpuku. To było obrzydliwe. Potworne. Nigdy potem nie byłam w stanie spojrzeć w ekran telewizora. Słuchać radia też. I żyć normalnie. A paskudny świat istniał nadal. Tyle, że już bez mojej zgody.

Otworzyłam oczy. Ciemno, oczywiście. Westchnęłam. Usłyszałam to. OK. Jestem.

Zaczęłam grzebać po kieszeniach. Poczułam czyjeś dotknięcie, ktoś wcisnął mi do ręki chusteczkę. Smarknęłam z wdzięcznością.

No dobra. To moje życie. Żyję w ciemnościach. Od urodzenia albo jeszcze wcześniej, od tej chwili, gdy pojawiłam się w życiu swoich najbliższych, a oni uznali mnie za kłopotliwy ładunek. Ładunek, który najprościej byłoby wyrzucić za burtę. Cóż. Taki los. Ransom stanął do walki, choć nie czuł się na siłach, ja zmagam się z mrokiem, choć brakuje mi odwagi. Ransom. Poczułam niepokój. Czy o czymś zapomniałam? Ale o czym?

Podniosłam głowę. Zrobiło się jakby jaśniej. Nastrój się zmienił. Ludzie się prostowali, oddychali głębiej, odwracali głowy w stronę wejścia. Pod chórem stali

księża i ministranci. Proboszcz trzymał ogromną świecę.

I wtedy sobie przypomniałam. Podkreślony fragment w książce. Ransom znaczy okup. A okup został złożony. I Odkupiciel zmartwychwstał.

Wierni po kolei zapalali swoje świece od wielkiej świecy proboszcza. Zrobiło się jasno od migocących światełek. Ludzie patrzyli na siebie, uśmiechali się. Chyba dla każdego to doświadczenie ciemności na początku nabożeństwa Wigilii Paschalnej było czymś ważnym. Bez niego nie byłiby w stanie śpiewać później z autentyczną radością: „On żyje!”. Ja zaś nie dowiedziałabym się, dlaczego ta noc nazywa się Wielką Nocą.

– Kajtek! To, że zjadłeś sześć faszerowanych jajek, całą kielbasę... uff... i garnek kości nie znaczy... zwolnij... nie znaczy, że możesz mnie tak ciągnąć. Przestań szarpać! Nie mogę!

Pewnie, że nie mogę. Pani Mirka w swej gościnności dopilnowała, żebym zjadła jajka faszerowane, białą kielbasę, żurek i zimne nóżki. Oraz kawał babki drożdżowej, porcję sernika i dwa kawałki mazurka.

– Nie mogę się ruszać, za dużo zjadłam! Rozumiesz?

Nie rozumiał.

W parku było prawie pusto. Kajtek pociągnął mnie w stronę stawu. Rozpięłam kurtkę, zdjęłam chustę. Ciepło. Wiosna. No to może zaszalejemy. Odciągnęłam psa od kaczek i niby niechcący skierowałam się w stronę ulicy Słowików.

Pusto. Nikt na nas nie czeka. Nikt nie szeleści wiatrówką. Na znajomym podwórku stoi znajomy biały opel. Marcin, co ja ci zrobiłam? Czy chodzi o moją chorobę? A może ci się nie podobam? Albo ktoś ci coś o mnie powiedział? Że jestem wampirem, na przykład. Albo seryjną morderczynią. Marcin, nie musisz istnieć. Tylko się odezwij.

Nagle poczułam, że się trzęsę. Chwilę potrwało, zanim odkryłam dlaczego – mój wierny pies naciągnął smycz, usiadł i zaczął się energicznie drapać.

No. Tak wyglądają wiosenne szaleństwa Ewki konewki.

– Dzień dobry, są *Zwiadowcy*?

– Nie, ktoś wypożyczył – odpowiedziała Edyta.

Chyba już trzeci raz słyszałam dzisiaj taką wymianę zdań. Wyjrzałam zza regału i zobaczyłam rozczarowanych nastolatków. Głupio mi się zrobiło.

– A kiedy ten ktoś odda?

Edyta chrząknęła z zakłopotaniem i spojrzała na mnie. Dobra, dam radę. Podeszłam do jej biurka, czując się jak bohaterski rycerz na białym koniu. Prawie słyszałam tętent kopyt i łopot proporca.

– To ja wypożyczyłam – przyznałam się. – Jutro przyniosę.

Chłopcy spojrzeli na mnie spokojnie, nie przestając żuć gumy i kiwać głowami w rytm muzyki, która rozbrzmiewała w ich słuchawkach.

– Słyszycie? – powiedziała Edyta. – Ta pani jutro przyniesie *Zwiadowców* i będziecie mogli wypożyczyć. Najpierw Radek, bo był pierwszy.

– Jeny, on przez miesiąc będzie czytał! Nie wytrzymam...

– A ja na przyszły tydzień muszę napisać recenzję. Polonistka mnie zabije!

Chłopaki zaczęły się przekrzykiwać, czytelnicy odwracali głowy w naszą stronę. Poczułam się fatalnie. Ale Edyta wiedziała, co robić. Uciszyła chłopców i zarządziła:

– Pani Ewa jutro odda książkę. Przyjdźcie o tej samej porze co dziś. Usiądziecie w czytelni, a pani Kinga będzie wam czytała na głos. Dajcie znać innym, niech przyjdą wszyscy, którzy mają ochotę posłuchać.

Następnego dnia prawie chora z poczucia odpowiedzialności przyszedłam do biblioteki dziesięć minut przed czasem, nie chciałam się spóźnić. Kinga przywitała mnie ciepło. Aż za ciepło. Od razu było widać, że jest chora. Szyja owinięta grubym szalem, czerwony nos i załzawione oczy nie pozostawiały wątpliwości, a gdybym jednak jakieś miała, jej zachrypnięty, ledwo słyszalny głos szybko by je rozwiął.

– Ewa, pomożesz, prawda? – wyszeptała, a ja poczułam, że moje nogi same kierują się do wyjścia. – Poczytasz im? Powiedz, że tak, proszę. Nie możemy ich zawieść. Ja nie dam rady...

Co miałam zrobić? No co? Dostać ataku padaczki, przypomnieć sobie o włączonym żelazku, nagłe stracić głos?

Zrezygnowana klapnęłam w fotelu. Przez chwilę miałam jeszcze nadzieję – może nikt nie przyjdzie? Albo przyjdzie tylko jedna osoba i po prostu wypożyczy tę książkę? Po kilku minutach nadzieja prysła. Przyszło mnóstwo dzieciaków, głównie chłopców, między innymi moi znajomi z ulicy Słowików. No tak. Nie ma odwrotu.

Usłyszałam dochodzący z oddali dźwięk trąbki wzywającej do boju. Zaczęłam czytać. Kinga przyniosła mi butelkę wody i szklanek, usiadła za swoim biurkiem i słuchała z wyraźną przyjemnością. Co pewien czas ktoś wchodził. I zostawał. Kolejne osoby cicho oddawały książki, a potem siadały na wolnych miejscach albo przystawały między regałami.

Było trochę tak jak wtedy, kiedy w domu dziecka z Agnieszką i Sławkiem czytaliśmy starszym chłopcom *Winnetou*. Na początku słuchało tylko kilku, reszta wygłupiała się i przeszkadzała, ale potem słuchali wszyscy, co do jednego. Wychowawcy powiedzieli, że daliśmy im świetne narzędzie: najgorszą karą stał się zakaz uczestniczenia w czytaniu.

Dzieciaki słuchały ze skupieniem. Nikt nie gadał, nikt nawet nie żuł gumy. Co pewien czas robiłam krótką przerwę, wypijałam parę łyków wody i dyskretnie się rozglądałam. Moi słuchacze byli tak pochłonięci czytaniem przeze mnie historią, że nie zwracali na mnie uwagi. Patrzyli na mnie, ale mnie nie widzieli.

Tylko jeden człowiek na pewno mnie widział. Stał nieruchomo, oparty plecami o framugę drzwi i zupełnie nie przejmował się *Zwiadowcami*. Patrzył na mnie, trzymając ręce w kieszeniach granatowo-żółtej wiatrówki. Patrzył. I patrzył.

Zemsta szefowej. To byłby dobry tytuł. Problem w tym, że nie chodzi o film ani o książkę, ale o życie. I to moje własne, spokojne życie. Co ja jej zrobiłam, że mnie tak ukarała? Myślałam, że mnie lubi...

Powiedziała, że może dobrze mi zrobi, jak gdzieś się ruszę, jak długo można siedzieć w domu, nawet na urlop zimą nie pojechałam (ha, tu ją boli!) – i zesłała mnie na unijne szkolenie do tego wesołego ślicznego miasteczka pełnego turystów, zabytków, pensjonatów i kawiarenek. Ratunku.

Zameldowałam się w niewielkim sympatycznym hotelu i dostałam mały pokój z błyszczącą mosiężną czwórką na drzwiach. Zaczęłam od zasłonięcia okna grubą złocisto-brązową kotarą. Od razu lepiej. Przynajmniej nikt mnie nie będzie podglądał. Na wszelki wypadek sprawdziłam jeszcze, czy nie ma kamer i mikrofonów (lektura *Zwiadowców* zrobiła swoje).

Zesłam na kolację, ale ze zdenerwowania nie mogłam jeść. Usiadłam przy najdalszym stoliku, licząc na to, że nikomu nie będzie się chciało do niego przedzierać. Niestety po chwili dosiadły się do mnie trzy osoby. Na szczęście zawnazas obmyśliłam strategię. Podciągnęłam wyżej szalik, złapałam filiżankę herbaty w obie dłonie i podniosłam ją do ust. Namalowane różem nieco zbyt ciemne rumieńce dopełniały obrazu osoby chorej i niezainteresowanej kontaktem z innymi.

Po kolacji odbyło się oficjalne rozpoczęcie szkolenia. Poszłam, poszłam. Podpisałam wszystkie listy obecności, formularze, ankiety i blankiety, wysłuchałam wprowadzenia, obejrzałam sobie innych kursantów, a następnie demonstracyjnie kaszłac i zasłaniając usta szalikiem, wyszłam z sali konferencyjnej.

I wtedy po raz pierwszy zobaczyłam zwiadowcę. Za filarem w jadalni, nawet się specjalnie nie chował. Po prostu siedział przy stoliku z filiżanką kawy. Halt. Niedościgniony łucznik i niezawodny przyjaciel, cichy i poważny. Niezastąpiony mistrz. Chciałabym mieć takiego nauczyciela. Mentora, przewodnika i przyjaciela...

Następnego dnia wytrwałam w sali konferencyjnej ponad pół godziny. Wykład był nawet ciekawy, ale szybko zaczęłam się niepokoić. Na szczęście zajęłam strategiczne miejsce przy drzwiach. Wyszłam do toalety, a potem, hm, pomyliłam drzwi i wyszłam na zewnątrz.

Słońce. Ptaki. Czyste błękitne niebo. Zadowoleni spacerowicze – i Halt, stojący w cieniu pod ścianą i obserwujący gołębie. Może czekał na jakąś wiadomość? Obeszłam rynek dookoła, obejrzałam wystawy sklepów z pamiątkami i galerii, a potem nareszcie mogłam odpocząć w kawiarni. Wybrałam najbardziej przytulną, ukryłam się w jednym z jej zakamarków, zamówiłam kawę i pączka

i otworzyłam kolejny tom *Zwiadowców*.

Halt usiadł w najdalszym kącie. Pił kawę i spod kaptura obserwował ludzi. Duża grupa młodzieży przy czteroosobowym stoliku. Grupka wesołych mężczyzn, najwyraźniej biznesmenów, głośno rozmawiających na służbowe tematy (nic nie rozumiem). Para zakochanych. Odwróciłam wzrok. Jakiś przystojniak w garniturze, z filiżanką i ciastkiem. O, idzie tutaj.

Rzuciłam okiem na Halta. Siedział nieruchomo z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Można? – spytał przystojniak miłym głosem.

– Nie – warknęłam i schowałam twarz w szaliku.

Ale chyba był z tych, którzy uważają, że „nie” znaczy „tak”, bo przysiadł się do mojego stolika i zdjął ciemne okulary.

– Widzę, że pani też nie może wytrzymać na tym szkoleniu – zagaił. – Doskonale panią rozumiem. Strata czasu, prawda?

W milczeniu mieszałam kawę. Może zniechęci się i pójdzie, jeśli będę mieszać wystarczająco długo? Hm. Chyba nie.

– Nie ma sensu siedzieć na wykładach, skoro na koniec i tak dostaniemy wszystko na płytce.

Stuk, stuk. Dzyń. Skończyłam. Oblizuję łyżeczkę.

– Zawsze tak jest. Ale w sumie lubię te szkolenia.

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego zdumiona.

– Lubię wyjazdy – wyjaśnił. – W pracy ciągle to samo. W domu też. Wciąż te same problemy. Codziennosc, rutyna...

Zapatrzyłam się na niego. Tak jakoś. Niechący. Spokojne szare oczy, krótkie włosy. Szary garnitur, fioletowa koszula. Ładne, delikatne dłonie. Opalone. Z jasnym paseczkiem na serdecznym palcu prawej dłoni...

Napił się kawy, odstawił filiżankę, wytarł usta. W jego oczach zamigotały wesołe isierki. Uśmiechnął się. W policzku zrobił mu się dołek. Miły nawet. Czy powinnam coś powiedzieć? Ale co? Zjadł ciastko, znów wytarł usta, znów się uśmiechnął. Spojrzał na mnie tak, jakbym była naprawdę ładna.

– Czy mówił dziś już ktoś pani, że jest pani piękna? – zapytał.

Poczułam, że się czerwienię. O nie. Dlaczego jestem taka nieśmiała? Zauważył to, oczywiście.

– Mieszka pani w czwórce, prawda? Jeśli tak, to chyba jesteśmy sąsiadami. Może...

Wstałam. Halt stał tuż za mną. Czulałam jego oddech przy uchu.

Przystojniak też wstał. Podeszedł do mnie.

– Jeśli nie chce pan wylądować na podłodze – powiedziałam przez zęby – ze złamaną ręką i zgniecionymi... eee... uszami, to powinien pan natychmiast odejść.

I odszedł. Natychmiast. O mało nie zapomniał o okularach.

- Nie powiedziałem „uszami” – zaprotestował Halt z wyrzutem.
- Oj tam! Też zadziało.

Po powrocie zabrałam się w końcu za porządki. Zmobilizowałam się po lekturze *Zwiadowców*. Uczeń Halta też zaczynał od takich prozaicznych czynności. Zanim zaczął ćwiczyć strzelanie z łuku czy skradanie się, sprzątał, gotował, rąbał drewno... No dobra, na początek wystarczy sprzątanie.

Zastosowałam zmodyfikowaną metodę kija i marchewki. Czyli marchewki. Sporządziłam harmonogram i po zrealizowaniu każdego etapu w nagradzałam się kawą, co trzeci etap także ciastkiem. Etapów było sporo, więc czas mijał mi całkiem sympatycznie.

– Ewka, nie poznaję cię! – zawołała z właściwą sobie bezpośredniością pani Mirka, kiedy spotkałam ją przy śmietniku.

Zabawne, obie wyrzucałyśmy identyczne, wielkie bukiety zasuszonych róż. Nie miałam ochoty pozbywać się swojego, ale na zasuszonych listkach pojawiła się pleśń.

Z obolałym sercem pożegnałam ostatni romantyczny epizod w moim życiu i wróciłam do porządków. Stoczyłam zwycięską bitwę w kuchni (mole w kaszy, brr) i w dużym pokoju. Na strych nie dotarłam (pajaki). Pokój gościnny był zamknięty (gdzie jest ten klucz?). W sypialni wystarczyło pozbierać śmieci spod łóżka. Przy okazji znalazłam swój ulubiony sweter, który zdążyłam już spisać na straty, i niedokończoną książkę, tę, którą dostałam w bibliotece jako nagrodę dla czytelnika roku. Teraz garderoba. Spodnie, które już parę miesięcy temu były za ciasne – do wyrzucenia. Bluzka, która tak się gniece, że po kilkunastu minutach od założenia wygląda jak szmata – do wyrzucenia. Sweter z dziurą w rękawie. Zaszyć? Może jak posprzątam. Bluza z zepsutym suwakiem. Szkoda wyrzucać, całkiem fajna bluza. Tylko czemu taka ciężka. Obmacałam dokładnie. Aha! Komórka w kieszeni. Mój zaginiony telefon!

Naładowałam go i włączyłam. Kilka nieodebranych połączeń, mnóstwo esemesów. Tata, szefowa... Marcin. Marcin! Usiadłam na podłodze i zaczęłam czytać.

Cześć, Ewa! Jak się czujesz? Szkoda, że musiałem wyjechać. Wolalbym być teraz z Tobą. Zadzwoń. Uściski.

Jak tam? Tutaj już wiosna. Przesyłam Ci trochę.

Cały czas o Tobie myślę. Nie mogę się skupić na robocie. Niech Kajtek się Tobą dobrze opiekuje! Cześć!

Cześć! Jak noga? Dbaj o siebie, bierz lekarstwa! Pozdrawiam.

Witaj! Napisz, czy wszystko w porządku. Bardzo się o ciebie martwię. Dostałaś kwiaty? A może przez pomyłkę kurier wręczył je panu Januszowi? Pozdrawiam gorąco.

Dzwoniłem, ale nie odbierasz. Co się stało? Trzymaj się.

Pomyślałem, że może zepsuł Ci się telefon. Dlatego wysłałem list. Mam nadzieję, że dojdzie.

To znów ja. Chyba za bardzo ci się narzucam tymi wiadomościami. Przepraszam.

Na dworze słońce. Gorąco jak jasna cholera.

– Chodź, Kajtek. Nie dysz, tylko chodź.

Pomachał ogonem, popatrzył na mnie rozkochanym wzrokiem i ruszył w stronę furtki. Trochę się spłoszył, kiedy kopnęłam ją, aż zabrzączały skrzynki na listy. Skrzynka pani Mirki i pana Janusza jest ładna, zielona. Moja, stara i zardzewiała, strasznie się zacina. Rzadko ją otwieram. Jak się przepelni, bez oglądania wyrzucam całą zawartość (czyli ulotki reklamowe). Ostatnio też tak zrobiłam. I wywaliłam do śmieci list od Marcina.

Czułam się teraz, jakbym wyrzuciła swoje życie.

– Gdzie te faktury? – zapytała szefowa.

– Nie wiem – burknęłam, z trudem tłumiąc ziewnięcie.

– Ewka, nie denerwuj mnie, bo cię wyślę na szkolenie! – huknęła żartobliwie Olga, ale w jej oczach dostrzegłam troskę.

– Tutaj są, proszę.

Zdjęłam filiżankę ze stosu dokumentów i podałam szefowej faktury. Zdmuchnęła lukier, obejrzała je i spojrzała na mnie surowo.

– Nie trzymaj ich luzem. Wkładaj do segregatora.

– Nie mam siły.

– Ewa, co się z tobą dzieje?

– Spać mi się chce.

– Przestań żartować, proszę. Czy mogę ci jakoś pomóc?

No, tak. Cała ona.

– Tak! Zwolnij mnie. Wyrzuć mnie z pracy za rażące zaniedbania.

– Jeszcze chwila...

Zawahała się. Kochana kobieta. I mądra. Bo sobie w końcu poszła.

Jaki ohydny, ponury dzień. Z czego ci ludzie tak się cieszą? Nie widzą tych ciemnych chmur na niebie? Nie rozumieją, że nadciąga burza? A Kajtek? Patrzenie go, jaki wesoły. Podskakuje, macha ogonem, zagląda pod krzaczki, obsikuje ławki w parku, goni kawki po trawie i nawet przez myśl mu nie przejdzie, że już niedługo zmoknie, zmarznie i ogłuszą go grzmoty... Cieszy się chwilą. A ona przecież przeminie. I zacznie się groza. Patrzyłam na niego ze ściśniętym sercem. Jakbym widziała tę roześmianą Ewkę w tamtym samochodzie. Jakbym widziała swoich wesołych przyjaciół, którzy wierzyli, że mają przed sobą więcej niż pięć sekund życia.

Przyspieszyłam kroku, pociągnęłam Kajtka. Zaraz lunie. Trochę dziwne, że tylko ja się zorientowałam. Inni spokojnie spacerują. Patrzą na nich z zazdrością, ale też z gorzkim poczuciem wyższości. Oni jeszcze nie wiedzą.

Na ławce siedzi mama z dzieckiem. Jedzą lody. Obok mnie ze świstem

przemyka chłopak na rolkach, w uszach ma słuchawki, na plecach plecak. Woda marszczy się na stawie, ale kaczki nic sobie z tego nie robią. Głupie kaczki. Głupi ludzie, głupie wróble, głupie kaczki. Głupi Kajtek.

– Chodź, Kajtek. Chodź.

Prawie biegnę. Zwalniam dopiero przed furtką. W ogródku pani Mirka w krótkich spodenkach i podkoszulku. Podnosi się znad grządk, macha do mnie wesoło.

– Cześć, Ewka, co tak szybko?

– Eee, tego... – odpowiadam precyzyjnie.

Grzebię w kieszeniach i w torebce, szukam klucza. Ciekawe, zamknęłam drzwi czy nie? Jest klucz, ale jakoś nie mogę trafić do zamka. Ciemno. Coś mnie tknęło. Podniosłam rękę do oczu. No tak. Okulary przeciwsłoneczne.

Zdjęłam je pospiesznie, zawstydzona. Rozejrzałam się. Soczyście zielona trawa. Kwitnące drzewa. Czyste błękitne niebo, kłębiaste białe chmurki. Ciepły wiatr. Motyl.

Jest pięknie. No jest.

W bibliotece od razu się zorientowałam, że coś jest nie tak. Kinga, zawsze tak ciepło uśmiechnięta, spojrzała na mnie smutno i spuściła wzrok.

– Dzień dobry – bąknęła.

Z zaplecza wyszła Edyta, też jakaś zgaszona.

– Wiesz, co powiedzieli? Że w tej chwili nic nie poradzą. Serwisant będzie jutro po południu.

Kinga pokręciła głową.

– Ale obciach – jęknęła.

Położyłam książki na biurku. Bibliotekarka spojrzała na mnie smutno.

– Popsuło się. Wszystko. Tak mi przykro.

– Nie dramatyzuj. – Edyta najwyraźniej odzyskiwała energię. – To na pewno nie nasza wina. Tylko tak mówią ci komputerowcy. Robić im się nie chce, to zwalają na nas. Pff. Poradzimy sobie!

– No wiem, wiem – mruknęła Kinga. – Tylko że to taki wstyd.

– E, tam. Wstyd to kraść. Wszystko może się zepsuć. Nawet najlepszy program.

Aaa, no tak. Biblioteka niedawno kupiła program komputerowy. Dziewczyny bardzo się z niego cieszyły, zachwalały czytelnikom jego zalety, spodziewały się, że zaoszczędzą trochę czasu i zamiast ślęczeć nad statystykami, będą mogły organizować więcej akcji czytelniczych. A tu – trach!

Wycofałam się dyskretnie między regały. Po chwili usłyszałam, jak Edyta mówi do Kingi:

– Zadzwońmy do Marcina. Na pewno nam pomoże. To kochany facet i bardzo uczynny. Zobacysz, na pewno coś wymyśli.

Marcin. Niesamowite, jak może boleć zwykłe imię.

Machinalnie sięgnęłam w stronę najbliższej półki i wyciągnęłam jakąś książkę. Początkowo wzdrygnęłam się na widok okładki – chyba thriller. Ale potem zerknęłam na notkę z tyłu.

– To dobra książka – usłyszałam.

Między regałami stała jakaś kobieta. Miała zamysłone ciemne oczy, krótkie czarne włosy i drobną twarz.

– Na pewno się pani spodoba. Jest o tym, że aniołowie naprawdę istnieją. Demony też... A na imię Jezus zegnę się każde kolano.

– O Jezu – powiedziałam odruchowo.

– No, właśnie. Kiedy przeczyta pani tę książkę, nie będzie już pani tak bezmyślnie używała tego imienia.

Uśmiechnęła się. Podeszłam bliżej.

– Co mam zrobić? – spytałam. – Czy jest jakaś nadzieja...

Co ja gadam?

– Zawsze jest nadzieja. „A nadzieja zawieść nie może”^[6] – szepnęła. – Ale jeśli wszystko posuwa się do przodu, a ty stoisz w miejscu, to jest tak, jakbyś uciekała. Nie uciekaj.

– Ewa, już? – zawołała Kinga. – Muszę zamykać.

– Trudne to jest?

Odważyłam się, w końcu. Pani Małgosia podniosła wzrok znad sudoku i spojrzała na mnie z uśmiechem. Niesamowita kobieta. Jak ona daje radę się uśmiechać? Przed kilkoma tygodniami jej mąż zmarł na raka. Została sama z małym synkiem. Patrzyłam na nią ze współczuciem i podziwem.

– Niektóre bardzo, ale większość do zrobienia. Jak nie od razu, to za którymś podejściem. Chciałaby pani spróbować? Mogę pani dać jeden zeszyt, mam ich jeszcze sporo. Marcin zawsze kupuje mi duży zapas. Proszę. I pączka?

Skinęłam głową. Jakoś mi głos odebrało. Marcin.

Spojrzałam na okładkę i z westchnieniem schowałam sudoku do torby. Po co w ogóle o to pytałam? Przypomniał mi się tamten facet od krzyżówek. Parę lat temu w ramach akcji „Może to coś da” poszłam na randkę z mężczyzną, którego poznałam w kiosku. Spotkaliśmy się w sumie pięć razy. W kawiarni, w kinie, u mnie, u niego. Akcja „Może to coś da” zakończyła się fiaskiem. Nic nie dała.

Pociągnęłam Kajtka w stronę budki U Zdzicha. Chwilę obserwowałam kręcące się na różnie kurczaki, wybrałam najbardziej przyrumienionego, poprosiłam człowieka w białym fartuchu i białej czapce, prawdopodobnie Zdzicha, żeby mi go zapakował, i zamarłam. Czy Zdzicho powie teraz: „Przepraszam bardzo, ale tego kurczaka zarezerwował Marcin”? Ale nie. No, to teraz do domu. Kawa, kurczak i pączek.

Marcin...

Pff. Po co mi Marcin?

[6] Rz 5,5.

Anioły, z którymi do tej pory miałam do czynienia, były bose, rumiane i naiwnie uśmiechnięte. Sporo takich spotkałam na przykład podczas swojej ostatniej nieszczęsnej misji służbowej. Przyglądały mi się z okien galerii i sklepów z pamiątkami. Niektóre miały nawet imiona, dość pretensjonalne: Anioł dla Smutnych, Anioł do Nauki, Anioł Wesołego Przebudzenia i tak dalej. Nie chciałam, żeby któryś z nich był moim Aniołem Stróżem, jeśli ktoś taki w ogóle istnieje. Widywałam też czasem anioły innego rodzaju, wręcz rodzaju żeńskiego – natchnione i piękne, o ponętnych kształtach i tajemniczych minach. Niektóre nawet ładne, ale na tym koniec.

Pierwszym poważniejszym sygnałem, że anioły należą do rzeczywistości duchowej, był dla mnie obraz Mai, ten z aniołem, który unosił dłoń, jakby mówił „spoko”, i którego w niezrozumiałym porywie zboląłem, umęczonego serca prosiłam, by zwrócił się w mojej sprawie do swojego szefa.

Władcy ciemności to naprawdę niezły thriller o ludziach, aniołach i demonach. Wciągający. Zarwałam dwie noce, podczytywałam w drodze do pracy. Wciąż o nich myślałam. Czy to możliwe, że istnieją naprawdę? A jeśli tak, to czy w moim życiu też się pojawiły? Pojawią się? Fajnie by było. Fajnie by było, gdyby tak jak za bohaterami tej książki chodzili za mną potężni duchowi ochroniarze, którzy walczyliby o mnie z Siłami Zła. Dobrze by było, gdyby w trudnych chwilach, kiedy trzeba podjąć właściwą decyzję, nie wiadomo skąd przychodziła podpowiedź. Gdyby się okazało, że za pozornie przypadkowymi wydarzeniami kryją się skomplikowane akcje świętych wywiadowców. Chyba za nimi tęskniłam, jeśli można tak powiedzieć o kimś, kogo nigdy się nie widziało. Albo kogo się widziało, ale się nie rozpoznało. Tęskniłam za aniołami i za ich szefem. Za nim chyba najbardziej. O ile można tęsknić za kimś, o kim nie wiadomo, czy istnieje.

Przed wyjściem z domu sprawdziłam, czy mam na nosie ciemne okulary. Drugi raz nie dam się nabrać. Zaraz, zaraz! Chwileczkę, niech pomyślę... Czy to możliwe, że moje ciemności, moje lęki i cierpienia mają coś wspólnego z Władcami Ciemności, czy jak tam ich się nazywa? Wiadomo, choroba to choroba. Depresja to depresja, smutek to smutek. Czy można dopatrywać się w tym czegoś innego? Czegoś albo... kogoś?

Kajtek podskakiwał radośnie i ciągnął za smycz. Czeka! Pozwól mi pomyśleć...

Na ulicy natknęłam się na sąsiadów. Pan Janusz pakował wędki i mocował rowery z tyłu samochodu. Pani Mirka, piękna w kwiecistej sukience i słomkowym kapeluszu, zamykała drzwi. Dobrze, że Wilk i Misiuńka odpoczną sobie podczas weekendu. Pan Janusz miał ostatnio męczący okres w pracy. Pękła jakaś rura, woda o mało nie zalała komputerów w centrum szkoleniowym dla bezrobotnych.

Wspominał, że pewnie będzie je musiał na czas remontu przywieźć do domu, bo w siedzibie fundacji zupełnie nie ma miejsca.

W parku klapnęłam na samotnej ławeczce i wyciągnęłam sudoku. Kajtek wczółgał się pod ławkę i zasnął, a ja z zapalem zajmowałam się łamaniem głowy. Szło mi coraz lepiej. Po kilkudniowym treningu zabrałam się do tych najtrudniejszych. Z różnymi efektami, ale z jednakową przyjemnością.

Co pewien czas podnosiłam wzrok. Obserwowałam wiewiórkę, która najpierw kołysała się w gałęziach nad moją głową, a potem przeskoczyła na drugą stronę alejki i zniknęła w gęstej koronie klonu. Patrzyłam na ludzi spacerujących nad stawem. Robert z Bilbem, James z Samem, mój czarnooki nieznajomy, Kinga z mężem w czułym uścisku i czwórka ich dzieci, rołkowiec z plecakiem, chłopcy z ulicy Słowików...

Oj, chyba muszę zdjąć okulary, zrobiło się jakoś ciemnawo. Pora wracać.

– Idziemy, Kajtek. Zobacz, wiewiórka skacze, ludzie chodzą, psy biegają, a my siedzimy jak stare baby. Z ławki pooo-wstań. Marsz.

I jakoś tak zawędrowaliśmy na ulicę Słowików. Cicho, spokojnie, zielono. Na znajomym podwórku przy znajomym domu stoi znajomy opel.

Marcin. Nie potrafiłam przestać o nim myśleć.

I o tym:

Dlaczego zapodziałam wtedy telefon?

Dlaczego wyrzuciłam list od Marcina?

Dlaczego nie odezwałam się do niego, kiedy się spotkaliśmy?

Znam odpowiedzi:

Bo jestem flądra.

Bo jestem gapa.

Bo jestem dumna i durna.

Spojrzałam żałośnie na oplę i ruszyłam dalej. Kajtek, który właśnie kucał na trawniku, popatrzył na mnie z wyrzutem. I wtedy przypomniałam sobie i zrozumiałam, o czym mówiła tamta kobieta w bibliotece. Jeśli będę stała w miejscu i rozpaczała nad stratą, z każdą chwilą będę coraz bardziej w tyle. Coraz bardziej i coraz beznadziejniej.

Poczułam, jakby ktoś delikatnie dotknął moich pleców i lekko mnie popchnął. No tak, tak. Wiem. Już wiem. Muszę się ruszyć. Muszę tam pójść i po prostu porozmawiać. To nic, że może być za późno. Muszę. Nie ma sensu skupiać się na swojej dumie, głupocie czy czymś tam jeszcze. Trzeba pomyśleć o człowieku. O Marcinie. Trzeba działać.

Podeszłam do furtki. Niestety na nic więcej nie starczyło mi odwagi. Prawie biegiem wróciłam do domu. Zadzwońię do niego. Jutro.

Kiedy weszliśmy na podwórko, zaniepokoiło mnie zachowanie Kajtka. Zwykle biegł do drzwi w podskokach, radośnie merdając ogonem. Teraz szedł

powoli, na ugiętych łapach. Skradał się. Przy schodkach obejrzał się na mnie. Usłyszałam, że warczy.

Nacisnęłam klamkę. Było otwarte. No tak, znów zapomniałam.

– Idź przodem – poprosiłam. – Jeśli ktoś tam jest, to go łap.

Kajtek wbiegł do domu. Po chwili przybiegł do mnie, trochę zdenerwowany, ale niewystraszone.

– Nikogo nie ma, piesku? Na pewno? Mogę wejść?

Pomachał ogonem i wrócił do środka. Więc weszłam.

Bałagan. Weszłam i zobaczyłam bałagan. Ale taki prawdziwy i totalny, a nie ten mój codzienny. Cała podłoga w przedpokoju, w kuchni i w dużym pokoju była zavalona rzeczami wygarniętymi z szaf, szafek i szuflad.

Na drżących nogach obeszałam cały dom. Na piętrze było tak samo jak na parterze. Pościel skotłowana, szafa wybebeszona, szuflady wyjęte z biurka, zawartość na podłodze.

Nie wiem, jak długo siedziałam na podłodze, kurczowo ściskając Kajtkę. Mój kochany cierpliwy pies dyszał, popiskiwał i rozglądał się niespokojnie.

Czułam się taka zmęczona. Jakbym właśnie przeniosła na plecach tonę ziemniaków. W końcu wstałam i zaczęłam szukać telefonu, żeby zadzwonić po policję. Chyba to powinno się zrobić po włamaniu. O ile nie jest się włamywaczem. Telefonu nie było. Ukradli.

– Kajtek, zostajesz. Pilnuj domu. Idę zadzwonić.

Zatrzymałam się w progu. Chyba powinnam zamknąć drzwi. Gdzie jest klucz? Sprawdziłam na półce i w kieszeniach kurtki. Nie ma. Gdzie torebka? Leżała na podłodze, wybebeszona, ledwo widoczna pod warstwą butów i szalików. Przejrzałam zawartość. Nie ma kluczy. Nie ma portfela. Łaskawie zostawiono mi za to chusteczki higieniczne i tabletki od bólu gardła.

O rany. Lekarstwa. Powlekłam się do kuchni, żeby sprawdzić. Gdyby ukradli mi leki antydepresyjne... To byłaby zbrodnia. Nie mam siły na wizytę u lekarza, a bez leków tego nie przeżyję. Byłabym śmiertelną ofiarą kradzieży.

Szuflada była wysunięta, ktoś ewidentnie w niej grzebał, ale leków nie zabrał. Uff.

Pod moją stopą coś pękło z chrzęstem. Spojrzałam na podłogę. Niepotrzebnie. Moje filiżanki... Włamywacz, brutal, wygarnął je z szafki na podłogę. Po prostu zrzucił. Rozbiły się na kawałeczki. Moje biedne. Już nigdy nie rozgrzeję was ożywczą kawą ani kojącą herbatą. Ja i moi przyjaciele (co z tego, że wymyśleni?) już nigdy nie dotkniemy waszych ciepłych ścianek, nie potrzymamy was za uszko, nie usiądziemy z wami przy kominku...

Ze ściśniętym gardłem pobierałam skorupki i włożyłam je do podniesionej z podłogi reklamówki. Położyłam ją na blacie i poczłapałam do wyjścia. Co to ja chciałam? A, iść zadzwonić po policję. I zgłosić kradzież karty do bankomatu.

– Kajtek, zostań. Pilnuj, bo jeszcze jakiś złodziej przyjdzie. Ha, ha.

W Łasuchu na szczęście nie było klientów. Owionął mnie upajający zapach, uśmiechnęły się do mnie stopy pączków i kruchych ciasteczek, zwarte szeregi mazurków i szarlotek, lśniące koła serników i tortów z kremem, grube węże rolad i makowców, mozaiki galaretek i wuzetek. Zobacz, Ewka, jaki mimo wszystko piękny jest świat...

Pani Małgosia podniosła głowę znad sudoku i uśmiech momentalnie zniknął z jej twarzy.

– Co się stało?

– Ktoś włamał się do mojego domu. Muszę wezwać policję, ale ukradli mi telefon. Czy mogę zadzwonić od pani?

Policjant polecił mi wrócić do domu, czekać i niczego nie dotykać, więc wróciłam, usiadłam na kanapie i czekałam. Próbowalam czytać, ale nie byłam w stanie. Właściwie nic nie byłam w stanie.

Dzwonek. Podeszłam do drzwi, starając się nie deptać po rzeczach walających się na podłodze. Kajtek wyprzedził mnie, radośnie szczekając. Otworzyłam i zdębiałam. Czyżby Kinga w wolnych chwilach zajmowała się tropieniem przestępców? A może zalegam ze zwrotem jakiejś książki? A może... Ale nie zdążyłam sformułować trzeciej hipotezy, bo bibliotekarka czule mnie przytuliła.

– Tak mi przykro – powiedziała. – Czy mogę ci jakoś pomóc? Małgosia dzwoniła i powiedziała mi, co się stało. Zaraz przyjdzie reszta.

– Jaka reszta? – wyjąkałam i zaprosiłam ją do pokoju.

– Reszta dziewczyn – wyjaśniła Kinga i bocianimi krokami dotarła do kanapy. – Mogę tu usiąść? Niczego nie będę dotykać. Coś o tym wiem. Też mieliśmy kiedyś włamanie. No i trochę kryminałów w życiu przeczytałam.

Po chwili do drzwi zadzwoniły Marzena i Maja.

– Ewa! – zawołała serdecznie Marzena i ucałowała mnie w policzki jak solenizantkę, a Maja delikatnie pogłaskała mnie po ramieniu.

Zaprowadziłam je do pokoju i poprosiłam, żeby usiadły na kanapie.

– Niestety nie mogę wam zaproponować kawy ani herbaty – powiedziałam zgnębiona. – Potłukli mi wszystkie filiżanki.

– Barbarzyńcy! – zawołały zgodnie.

– Dziewczyno – uspokoiła mnie Marzena – przyszyliśmy pomoc, a nie pić kawę.

Znów dzwonek.

– Przepraszam, że tak późno – powiedziała w progu Iza – ale musiałam zaprowadzić dziewczynki do sąsiadki.

Siedziałyśmy stłoczone na kanapie i czekałyśmy na policjanta. Pojawił się w końcu, razem z technikiem. Poczułam się dotknięta. Tylko dwóch? I w ogóle nie

sprawiali wrażenia przejętych. A tu przecież prawdziwe przestępstwo! Złodzieje! Atak na własność prywatną! A oni spokojnie przychodzą i siadają przy stole. To znaczy policjant usiadł. Usiadł, zaczął zadawać rutynowe pytania i notować odpowiedzi, których udzielałam drżącym głosem.

Zaskoczył go tylko trochę widok czterech pięknych kobiet na kanapie. Miał nawet wątpliwości, czy przy naszej rozmowie powinny się znajdować osoby, bądź co bądź, trzecie, ale Iza wyjaśniła, że przyszły tu, żeby podtrzymać mnie na duchu i nie będą w niczym przeszkadzały. Dodała, że mają obywatelskie prawo tu przebywać, i niby mimochodem zapytała:

– Jak się czuje żona?
– Dziękuję, dobrze – rozpromienił się policjant.
– A kiedy termin?
– Za dwa tygodnie.
– O, to już niedługo! Proszę ją od nas koniecznie pozdrowić. I przekazać, że czekamy na nią w kawiarence.
– Tak jest. – Wyprężył się na chwilę, po czym znów oklapł znudzony nad notatkami.

– Czy wie pani, jak złodzieje dostali się do domu? – zapytał.
– Chyba tak po prostu – odpowiedziałam. – Drzwi nie były zamknięte na klucz.

– Więc była pani wtedy tutaj?
– Nie. Byłam na spacerze. Mniej więcej dwie godziny.
Rozejrzał się, coś zanotował.
– Czyli dom nie był zabezpieczony?
– Nie był – westchnęłam.
– Czy coś zginęło? Czy jest pani w stanie powiedzieć co?
– Nie wiem dokładnie. Na pewno nie ma telefonu, kluczy i portfela.
– Proszę się rozejrzeć.
– Nie mam siły.

Policjant spojrzał na mnie ze zdumieniem.
– Poszkodowana przeżyła szok i potrzebuje odpoczynku – zameldowała szybko Marzena.

Policjant coś zanotował, podniósł głowę i znów się rozejrzał. Wstał, przeszedł się po domu, wrócił.

– Sprzęt elektroniczny? Bizuteria? Obrazy? Alkohol?
– Nic takiego nie miałam.
Do pokoju wszedł technik.
– Fachowcy – zameldował. – Działali w rękawiczkach. Nie liczyłbym na to, że ich złapiemy.
– Co? – poderwałyśmy się z kanapy jak jeden mąż.

– Szanse są nikłe. Nic wartościowego nie zginęło, więc sprawdzenie paserów odpada. Śladów nie ma...

– Jak to nie ma? – zdziwiła się Kinga, zapalona czytelniczka kryminałów. – Czy to znaczy, że poruszali się nad podłogą? Musieli zostawić jakiś ślad buta, grudkę ziemi, niedopałek albo włos.

Technik spojrział na nią z politowaniem.

W końcu zaczęli się zbierać.

– Jak już pani ochłonie – powiedział policjant – proszę spokojnie wszystko przejrzeć, spisać, co zginęło, i zgłosić się na komendę.

– Dziwne to włamanie – dodał przy drzwiach. – Nie ma pani żadnych wrogów?

Pomyślałam, że zemdleję.

– Chyba nie – wydusiłam, opierając się o ścianę.

– Hm. Sam nie wiem. Może po prostu złodziej się wściekł, że nie znalazł nic cennego, i dlatego zrobił taki bajzel.

Właśnie. I potłukł filiżanki. Wróciłam do dużego pokoju. Dziewczyny wzięły się już do sprzątanía. Zbierały rzeczy z podłogi, wkładały do szuflad i szafek. Kinga przy okazji pilnie szukała śladów, które mogłyby się przydać w śledztwie.

– Połóż się, odpocznij – zarządziła.

Rzuciłam się na kanapę i przykryłam się kocem.

– Ewa – szepnęła Marzena – co chcesz na kolację?

– Kurczaka pieczonego – mruknęłam resztką sił.

Zasypiając, słyszałam jak mówi do telefonu:

– Danek, kup pieczonego kurczaka i przywieź tu, do Ewy. Co? Śpi.

Mimo pesymistycznych prognoz technika sprawa wyjaśniła się bardzo szybko. Złodzieje, jak się okazało, trafili do mnie przez pomyłkę. Chcieli się dostać do moich sąsiadów, ale pijany informator pomylił drzwi.

Pan Janusz nie mógł sobie darować, że wspominał o przechowywaniu komputerów w domu. Bo to o nie chodziło. Informatorem okazał się Gienek, który chcąc zaimponować kumplom, przechwalał się pod sklepem, że jakby chciał, toby się włamał i zarobił majątek.

Nigdy nie był notowany, więc bardzo to wszystko przeżył. Po przejściu ze stanu nietrzeźwego do półtrzeźwego, który był w jego wypadku stanem normalnym, gorzko żałował swego gadulstwa, tym bardziej że sprawa dotyczyła pana Janusza, którego darzył ogromnym szacunkiem. Ale niestety. Stało się. Czyn przestępczy został dokonany. Nieważne, że nie przez niego. Gienek był wstrząśnięty.

– Siódme: nie kradnij! – wykrzykiwał, waląc pięścią w stojące obok krzesło.
– Nie kradnij!

Złapał się za głowę, oparł łokcie na kolanach i zapłakał. Współczucie ścisnęło mi serce. W pierwszym odruchu chciałam mu powiedzieć, żeby się tak nie przejmował, ale potem pomyślałam, że może to, co teraz przeżywa, jest dla niego ważne. Że jest mu potrzebne.

– Ale nie, gadał do ucha... Namawiał, diabeł pieprzony. A ja słuchałem jak głupek, jak ostatnia ciemnota, jak ciełe. Zawsze. Pij, mówił, to piłem. Nic z ciebie nie będzie, do niczego się nie nadajesz, mówił, a ja wierzyłem. Co się będziesz starał, mówił, daj se spokój, a ja go słuchałem...

Podaliśmy mu chusteczkę.

– Pani taka dobra... – Spojrzał na mnie z rozpaczą. – I z psem. A ja napuściłem na panią tych... tych... tego całego Arkadiusza i Sebastiana, najgorszych oprychów w Samulkach. Boże, przecież mogli panią zamordować, pobić, krzywdę zrobić... Albo psu. Jezu, na co mi przyszło... Wspólnik przestępców! A mamusia powtarzała: „Synuś, bądź dobrym człowiekiem”. Ale ja jej nie słuchałem. Diabła wolałem słuchać!

Milczałam, skulona na swoim krześle. Siedzieliśmy w poczekalni na posterunku policji, ja z listą skradzionych przedmiotów, Gienek z wyrzutami sumienia.

Zatrąbił w chusteczkę i wytarł nos tak energicznie, jakby go chciał sobie urwać.

– Skończyłem z tym – oznajmił nagle. – Nie będzie mnie rogaty ciągał na sznurku. Mam swoje do powiedzenia i mówię mu, wie pani, odwal się! Swój rozum mam. Nie będę diabła słuchał. Koniec! – krzyknął i znów walnął pięścią

w krzesło.

– Proszę się uspokoić! – polecił odruchowo policjant, który akurat przechodził korytarzem.

– Tak jest! – zawołał Gienek i wstał. – Od dzisiaj spokój! I koniec z wódą!

Policjant spojrział na niego sceptycznie.

– Ile razy już tak mówiłeś, co?

– Nie wiem. Nieważne. Teraz będzie inaczej. Pójdę do Anonimowych Alkoholików. Marcin tyle razy mnie namawiał, tłumaczył. On dał radę. Co, może nie?

– Hmm – zamyślił się policjant. – No, faktycznie – powiedział, opierając się o ścianę. – Marcinowi się udało. Pamiętam go, jak był nastolatkiem. Ostro pił. Zresztą nic dziwnego przy takim ojcu. Ale kiedy ten jego ojciec zamarzył w końcu na śmierć, coś się w Marcinie przełamało. Teraz to taki porządny człowiek...

– No! – potwierdził gorliwie Gienek. – I innym pomaga. Już tylu chłopaków z tego bagna wyciągnął. Chodzą na te AA. I proszę!

– Marcin nie pije już ze dwanaście czy czternaście lat – pokiwał głową policjant i spojrział na Gienka całkiem życzliwie. – Spróbuj, spróbuj. Może tobie też się uda.

Marcin. Marcin alkoholikiem? Pijakiem? Menelem?

Siedziałam oszołomiona. Gorączkowo próbowałam sobie przypomnieć, czy było w jego wyglądzie albo zachowaniu coś, co by na to wskazywało. Dopiero po długiej, naprawdę długiej chwili dotarła do mnie reszta komunikatu. Marcin już nie pije. Od kilkunastu lat nie pije. Uff.

Ale... O rany! A jeśli moje milczenie doprowadziło go do rozpacz? Jeśli przeze mnie wróci do alkoholu? Ratunku...

He, he. Dobry dowcip. Ewka konewka jako *femme fatale*. Myślmy racjonalnie.

No, właśnie. A poza tym może chodzi o jakiegoś zupełnie innego Marcina.

Chodzą za nim. On ich nie widzi, nic nie podejrzewa. Ale oni są ciągle w pobliżu. Nie szpiegują go, nawet nie obserwują. Chronią go. Jest ich dwóch. Wielcy, piękni, silni i spokojni. Chronią go przed demonami, które próbują zawrócić go z drogi, udowodnić mu, że jest do niczego, że mu się nie uda, które podsuwają mu myśli o wódce, zniechęcają go, ośmieszają i próbują zastraszyć.

Spotykam się z nim dosyć często, bo został współpracownikiem pana Janusza i przychodzi do niego po godzinach z różnymi sprawami. Czysto ubrany, ogolony, zaaferowany i radosny. Pracuje jako pomocnik kierowcy. Z podopiecznego fundacji stał się jej pracownikiem, i to bardzo cennym, jak powtarza pan Janusz, bo trzeźwym.

Czasami wpada do mnie na kawę. Kajtek go uwielbia, skacze mu na piersi, łasi się, wije wokół nóg, dyszy ze szczęścia. Gienek powoli dojrzeewa do tego, by sprawić sobie psa.

– Wcześniej to było nie do pomyślenia, pani Ewo! Takie zwierzę to by przy mnie zdechło z głodu, nędzy i wstydu. Ale teraz... Wezmę ze schroniska jakąś sierotę, niech ma dom i człowieka. Dobrze mówię?

Dobrze mówił. Aniołowie za jego plecami, wielcy, barczyści, godni i jaśniejący, tręcali się z uśmiechem łokciami.

Znów muszę coś zrobić dla ludzkości. Jakie to męczące. Poczucie, że muszę, wywołuje u mnie jakieś dziwne zwiótnienie mięśni, zmęczenie i smutek. Chcę leżeć. Z książką. Pod kołdrą.

Nie, Ewka. Tak nie można. Trzeba stawić czoło wyzwaniom. Dasz radę. Na dworze wiosna, zobacz, jak pięknie. Słońce, niebo, skowronki, bzy, niech je jasna cholera. Dajcie mi tę kołdrę, błagam. Kajtek piszczy przy drzwiach... Nie dam rady. Za dużo tego wszystkiego. Wyprowadzić psa. Upiec tort orzechowy do Aniołów.

Za ladą dyżurują dziś Małgosia, drobna, pełna wdzięku serdeczna blondynka, i Bogdan, jej mąż, wysoki spokojny brunet. Po kawiarni kręci się ich czerwono-włosa córka Zuzia. Kolor jej włosów często się zmienia, chyba jeszcze tylko niebieskich nie miała. Ale Zuzia to mądra dziewczyna. Bardzo ciekawa świata. I uczy się japońskiego. Japońskiego. Mnie męczy mieszanie kawy w filiżance, a ona uczy się japońskiego.

– Ciasto z patery czy skrawki dla służby? – spytał mnie żartobliwie Bogdan.

Skrawki dla służby to resztki odkładane dla obsługi. Pokruszone, rozpadające się, czasem trzeba je nakładać łyżką. Ale za to jaka różnorodność!

– Dla służby – odpowiedziałam z uśmiechem; w końcu przyniosłam tort, czułam się prawie jak pracownik. – I może jeszcze cappuccino?

W kawiarni jest spokojnie, nie ma tłumów. Cicho gra muzyka, Bogdan podśpiewuje pod nosem *Parole, parole, parole* i usypuje na moim cappuccino czekoladowy kwiatusek.

– Chwileczkę – mówi, gdy sięgam po filiżankę.

I nagle z zaplecza wychodzą po kolei wszyscy kawiarenkowicze. Śmieją się, trącając łokciami i wypychają naprzód Renatę.

– Ewo – mówi Renata – jest nam bardzo przykro z powodu tego, co cię spotkało. Nie możemy cofnąć czasu, ale chcemy, żebyś wyniosła z tego coś dobrego. I żebyś wiedziała, że nie jesteś sama.

I całuje mnie w oba policzki. A potem Tomek wręcza mi jakieś pudło zapakowane w ozdobny papier. To nie może być prawda. Pewnie zasnęłam i chrapię z głową na kawiarnianym stoliku.

Ostrożnie zdejmuję papier. Otwieram pudełko i... Są śliczne. Sześć filiżanek, spodki, dzbanek. Spodki w kolorze espresso, filiżanki beżowe jak kawa z mlekiem. I karmelowy wzorek.

Machinalnie powtarzam: „Dziękuję, dziękuję”, i próbuję z powrotem zawinąć pudełko w papier, ale ręce mam jakieś sztywne i zimne. Powoli dociera do mnie, że to jednak nie sen. O nie. Boże! Teraz chyba powinnam zaprosić ich na kawę...

Ale właściwie, uświadamiam sobie ze zdumieniem, właściwie mam na to ochotę. Filiżanek wystarczy. Wczoraj w pracy do mojego pokoiku wtargnęła uroczysta i przejęta grupa: szefowa, pani Ela i Beata z dwójką dzieci. Wręczyły mi serwis do kawy. Kremowy, malowany w kwiaty lawendy.

Jestem teraz bogaczką. Potentatem kawowym.

Okazało się, że to nie był koniec niespodzianek. Chłopaki wynieśli z zaplecza kolejne paczki.

– Podobno miałaś w łazience skład używanych komputerów – zaczął z powagą Danek.

– I podobno konkurencja ukradła ci wszystkie co do jednego – dodał nie mniej poważnie Bodzio.

Dziewczyny skręcały się ze śmiechu. Jezu, o co tym ludziom chodzi?

– Szef firmy komputerowej Matrix ofiarowuje ci to w ramach wynagrodzenia strat moralnych i finansowych.

– To pomyłka – wyjąkałam. – Nie znam żadnego szefa. Ani firmy Matrix. I nie ukradziono mi żadnych komputerów...

– Wypiera się – podsumował Tomek, patrząc na kolegów. – Typowe.

– Rozpakuj, rozpakuj – wyrwała się niecierpliwie Kinga.

– Nie mogę. Naprawdę nie znam... – zaprotestowałam.

– Nie szkodzi – tłumaczyła cichutko Maja. – Pan Janusz go zna. Opowiadał mu o tym włamaniu, a szef Matriksa zaproponował, żeby wynagrodzić ci jakoś to doświadczenie.

– To używany sprzęt, nic wielkiego – dodał z uśmiechem Tomek.

Zaczęłam odpakowywać. Coś. Jakieś drugie coś.

– To laptop – powiedział Maciek. – A to odtwarzacz płyt.

– Będziesz umiała podłączyć? – zażartował Marek.

Zastanówmy się. Czy będę umiała włożyć kabelek od odtwarzacza do gniazda USB? Tylko spokojnie...

– Nie. – Teraz ja zażartowałam. – Ale wy mi pomożecie. Jutro, o osiemnastej, jak przyjdziecie na kawę. Wszyscy. Dobrze?

Pada deszcz. To dobrze, bo było już trochę sucho i pani Mirka lamentowała nad roślinami w swoim ogrodzie.

– Moje biedactwa! Pić wam się chce, prawda? – wypytywała kolejne kwiaty, podlewając je, ekhem, konewką.

Kiedy spytałam, czemu nie używa węża ogrodowego, popatrzyła na mnie surowo i wyjaśniła, że woda z węża jest za zimna.

Deszczówka jest w sam raz. To znaczy dla kwiatów, bo z ludzkiego punktu widzenia jest zimno i paskudnie. Grube, ciemne chmury, nieprzyjemny wiatr. I deszcz, który sprawia wrażenie, jakby miał lać przez następnych czterdzieści dni. Ludzie na przystanku ze smutkiem wpatrują się w swoje mokre buty, nie mogą doczekać się chwili, gdy zmienią skarpetki na suche i włożą kapcie. Ale niestety. Zanim to się stanie, muszą zaliczyć przemarznięcie, potem nieprzyjemne parowanie w tłoku autobusowym, potem ponowne drżenie na wietrze i mocowanie się z parasolką.

Po co w ogóle wychodzić z domu w taką pogodę? Nie rozumiem. No dobra, spróbuję. Tamta skulona pod parasolką kobieta w mokrej spódnicy i przemoczonych butach zapewne wraca z pracy. Ten skaczący przez błoto mężczyzna został pewnie wysłany przez żonę po jakieś niezbędne zakupy. Prawdziwy bohater. A dzieci jak to dzieci. Ubrane w kalosze i peleryny brodzą w kałużach, mieszają wodę patykami i krzyczą radośnie. Dzieci są dziwne.

A powodzie? Samulki są bezpieczne, ale świat mimo wszystko nie kończy się na Samulkach. Gdzieś tam, nawet niezbyt daleko, są zniszczone domy, zrozpaczeni ludzie, smutek, bieda. Słyszałam, jak pani Ela rozmawiała z kimś w przedszkolu. Jej rodzina straciła dom i sprowadziła się do niej prawie bez niczego. Nie zdążyli się nawet spakować.

Zrobiło mi się słabo, pociemniało mi przed oczami. Nie chcę mieć z tym światem nic wspólnego. Ale... nie chcę też być egoistką. Pomagałam ekipie spod Aniołów organizować pomoc dla powodzian. Zebraliśmy całą furgonetkę koców, pościeli, wody pitnej, środków czystości i jedzenia. Mimo to czuję się fatalnie. Nie daję rady. Nie daję rady z tym wszystkim.

Ciemno. Zimno. Mokro. Weszłam do kolejnej kałuży. Zachlupotało mi w butach. Spodnie przykleiły się do nóg i zaczęły obcierać. Woda spływała mi po czole i policzkach, wdzierając się pod kurtkę. Nie dam rady. Zostawcie mnie w spokoju.

Usiadłam na poboczu. Oj. W kałuży. Wstałam energicznie i pociągnęłam Kajtkę do domu. Mokre majtki to już jednak przesada.

Podobno kiedy kobiety czują się źle, poprawiają sobie humor zakupami.

Weszłam do galerii handlowej i od razu zrobiło mi się słabo. To nic.

Spokojnie. To dlatego, że jestem nieprzyzwyczajona. Zaraz mi przejdzie.

Ruszyłam. Nawet nie było tłoku. Zewsząd płynęła żwawa muzyka, ale to nic. Wytrzymam. Weszłam do pierwszego sklepu. Ubrania, ubrania, ubrania. Po co ludziom tyle ubrań? Przez chwilę przyglądałam się zawistnie super-ultra-hiperszczupłym manekinom. Dlaczego nie produkuje się manekinów o figurze zwykłych ludzi?

Potrzebuję paru koszulek i kilku par majtek. „Koszulki, koszulki, koszulki”, podśpiewywałam sobie na melodię *Parole*. Przeglądałam wieszaki, sprawdzałam metki. O, ta jest dobra. Kawa z mlekiem, rozmiar M (kompromis między S dla biustu a XL dla tyłka), miękki materiał. Biorę. Trzy sztuki.

Jeszcze majtki. Majtki, ludzie. Nie chcę koronek z kawałkiem wstążki ani przezroczystych czerwonych dziwadeł. Dajcie mi, proszę, zwykłe majtki. Bawełniane, miękkie, niewierające. Dobra, może w innym sklepie.

Jasno, zbyt jasno. I zbyt głośno. I zbyt tłoczno. O rany, jestem niewymownie zmęczona. Powłokłam się dalej. Kątem oka zauważyłam swoje odbicie w jakimś lustrze. Przystanęłam. To ja. Ale nie ta prawdziwa, tylko ta, którą widzą inni. Jaka... Jaka biedna, jaka zagubiona...

Podniosłam brodę, odrzuciłam włosy na plecy, wyprostowałam się. Lepiej. Ruszaj, Ewa. Na podbój świata. Po majtki.

No i proszę. Udało się. Siedem sztuk miękkich eleganckich majtek z delikatną niedrapiącą koronką. W kolejnym sklepie nabyłam beżowe letnie pantofle na niewielkim zgrabnym obcasie. W następnym zaopatrzyłam się w wielki słomkowy kapelusz i ciemne okulary w kremowej oprawce. Na wystawie wypatrzyłam jedwabną apaszkę w kolorze bzu. Manekin, który miał ją na szyi, ubrany był w gustowny lniany żakiet, który w sam raz pasował do moich nowych butów i okularów. Do kapelusza też. Kupiłam. A z ostatniego sklepu wyszłam z bursztynową broszką w kształcie słońca.

Po wszystkim dowłokłam się do pierwszej z brzegu kawiarni i wyczerpana klapnęłam przy najdalszym stoliku.

Wyprawa do sklepu zaowocowała jednak pewnymi przemyśleniami. Jako księgowa mimo wszystko znam się trochę na tych sprawach, więc potrafiłam wyciągnąć wnioski. Mam wyraźnie za dużo pieniędzy (albo za małe potrzeby).

Może warto podzielić się nimi z kimś, kto ma za mało? Podobno wielu ludzi tak robi. Z pobudek ogólnoludzko-moralno-chrześcijańskich. Kogo by tu wesprzeć? Usiadłam przy stole z kawą, pączkiem i kartką papieru. Powodzian? Głodujących w Afryce? Hospicjum dla dzieci? Samotne matki? Bezdomnych? Rodziny wielodzietne? Zdolnych uczniów z ubogich rodzin? Niedoinwestowanych artystów? Niewidomych?

Śmiertelnie zmęczona dowłokłam się do łóżka i zagrzebałam w pościeli. Na stole zostały pusta filiżanka, pusty talerzyk i pusta kartka.

W poszukiwaniu ukojenia poszłam do biblioteki. Kinga, pomysłowa jak zawsze, zorganizowała dywaniki i poduchy. Początkowo leżały na podłodze w części dla dzieci, ale starsi czytelnicy powynosili niektóre między regały. Dzięki temu biblioteka stała się jeszcze bardziej przyjazna.

Umościłam sobie wygodne gniazdo, poprawiłam poduszkę pod plecami, wyciągnęłam nogi przed siebie i sięgnęłam po pierwszą książkę ze stosiku tytułów do sprawdzenia. Przejrzę wszystko na spokojnie i zorientuję się, czy warto czytać. Ostatnio wypożyczyłam wciągającą i dobrze napisaną powieść, ale zupełnie nie dla mnie. Miałam po niej straszne koszmary, które omal mnie nie wykończyły. Mało brakowało, a sięgnęłabym po swoje tabletki na czarną godzinę. Książka była oparta na faktach, a opowiadała... Nie! Nie!

A więc pierwsza książka. Kinga, bibliotekarka z duszą terapeuty, zapewniała mnie przed chwilą, że warto. I że nie mam się czego obawiać. Więc właściwie nie muszę sprawdzać. OK. Biorę.

Następna. Co my tu mamy? *Wybór wierszy i przekładów* Stanisława Barańczaka.

Oho, ktoś przyszedł. Nie podnoszę wzroku, kątem oka widzę tylko czarne dzinsy i traperki. Wpycha się do mojej kryjówki bez pytania. A gdzie kultura, gdzie podstawowe zasady *savoir vivre*'u? I to w bibliotece! Ratunku, inwazja barbarzyńców! Kucnął, tuż przy mnie. Podniosłam wzrok i zobaczyłam znajome czarne oczy.

Wróciłam do lektury. Barbarzyńca usiadł obok. Już miałam wstać, gdy szepnął:

– Przepraszam.

Niech siedzi. Barbarzyńca też człowiek, wbrew pozorom.

Czarna grzywka opadła mu na czoło. Szkoda, że z boku nie widzę jego oczu.

Chyba odgadł moje myśli, bo podniósł głowę i spojrzał na mnie. Uśmiechnął się leciutko.

Poezja jest niebezpieczna, może zrobić krzywdę. Ale nie da się bez niej żyć. Co pewien czas trzeba przyjąć kolejną dawkę. Potrzebuję jej i się jej boję. Już wiem, czemu czarnooki wpakował mi się tu z butami, dzinsami i całą resztą.

– Nie bój się – szepnął.

Wyjął mi książkę z ręki i nonszalancko otworzył na chybił trafił.

– *Bóg* – zaczął czytać – *działa w sposób niezbadany,*

Gdy cuda Swoje czyni;

Śladem stóp znaczy oceany,

Jest w burzy i w pustyni.

Skryty w bezdennej mocy parów,

*Gromadzi w nim powoli
Świetliste skarby swych zamiarów
I suwerennej woli.
Mieście odwagę i nadzieję,
Wierni: mrok chmur surowy
Dobrocią nabrzmiął i wyleje
Dary na wasze głowy.
Wierzcie nie w Boży gniew, lecz w łaskę:
Kto ufa, ten pamięta,
Że choć Pan chmurną wdziewa maskę,
Twarz jego uśmiechnięta.
Dojrzeją wnet zamysły Boże,
Nie znane w tej godzinie:
Chociaż pęk gorzki smak mieć może,
W słodki się kwiat rozwinie.
Ślepa niewiara żadnych znaczeń
Z dzieł Pana nie wyłowi:
Lecz Bóg Swym własnym jest tłumaczem
I jasno się wysłowi^[7].*

Stuknęły drzwi, ktoś wszedł do biblioteki. Po chwili znowu ktoś, i znowu. Ach, no tak. Dziś kolejne spotkanie z serii „Audiobook na żywo”. Na *Zwiadowców* przychodziło tylu słuchaczy i tylu było chętnych do czytania, że akcja rozkręcała się w zasadzie sama. Kinga i Edyta wymyśliły, by każdy seans miał finał w kawiarence Pod Aniołami, gdzie młodzi słuchacze raczyli się lodami, a dorośli kawą.

Wygramoliłam się ze swojej kryjówki, zostawiając zaczytanego czarnookiego. Trzeba iść, za duży ruch.

Podeszłam do biurka Kingi.

– Wiesz, rozmawialiśmy o tobie – powiedziała.

Oj.

– Nie szkodzi. Wiem, że jestem dziwna – mruknęłam speszona.

– Nie, nie o to chodzi – zapewniła i roześmiała się cicho. – Po prostu zastanawialiśmy się, dlaczego nie masz w domu obrazów. Są gwoździe, ale obrazów nie ma.

Rany. Rozmawiali o mnie. Spokojnie, spokojnie. Zachowuj się jak normalny człowiek.

– Obrazy scho... schowałam. Nie mogę na nie patrzeć. A o nowych jeszcze nie myślałam.

– Za to my pomyśleliśmy! Co powiesz na obrazy Mai?

– Och – westchnęłam zachwycona.

Oczami wyobraźni zobaczyłam anioły na ścianach mojego mieszkania. Cudowne kolory, ciemne, gęste, bardzo materialne, i wylaniające się z nich światło. I anioły. Czuwające, modlące się, poważne. Przepełnione radością i spokojem.

– Co ty na to?

– Przecież ja nie mogę – szepnęłam rozpaczliwie.

– Jak to? – spytała Kinga zaskoczona.

– No... Nie mogę wykupić wszystkich jej obrazów. To nie wypada.

– Wszystkich?

– No – wycofałam się zawstydzona – myślałam o jakichś piętnastu, dwudziestu...

Kinga zaczęła chichotać.

– Jesteś niesamowita, wiesz? Myśleliśmy, żeby się złożyć i zamówić u Mai dwa, trzy obrazy na twoje urodziny. Wiem kiedy, sprawdziłam w danych – dodała, uśmiechając się szelmowsko. – Maja była przekonana, że nie będziesz ich chciała, ale w końcu ją ubłagaliśmy.

Nic nie rozumiałam.

– Czy próbujesz mi powiedzieć – upewniłam się – że Maja wątpi w to, że ktoś chce mieć jej obrazy?

– Taka już jest.

– I wy, wy... namówiliście ją, żeby namalowała dla mnie dwa albo trzy?

– Tak. Chociaż łatwo nie było.

– Ale to będzie strasznie drogi prezent – stropiłam się.

– Nie, nie, Maja zgodziła się na symboliczną kwotę, a i to w zasadzie musieliśmy na niej wymusić. Ona zwykle nie sprzedaje swoich obrazów, tylko rozdaje je znajomym...

– Jezu. Nic z tego nie rozumiem. Dałabym za te jej obrazy każde pieniądze.

– Spróbuj – westchnęła Kinga.

– Spróbuję! – powiedziałam stanowczo. – Zamówię u niej piętnaście obrazów. Po normalnych cenach.

No. W końcu wiem, po co mam te pieniądze na koncie. Najpierw wesprę osobę, która jest blisko; później przyjdzie czas na pomoc innym, także tym głodującym w Afryce.

^[7] William Cowper, *Światłość w ciemnościach świecąca*, przeł. Stanisław Barańczak.

Gorąco. Spakowałam do plecaka butelkę z wodą i miskę dla Kajtka. Na pewno traci mnóstwo płynów, kiedy tak biega, skacze i macha ogonem. I rzeczywiście, kiedy dotarliśmy do lasu, oklapł, zwolnił i zaczął ciężko dyszeć. Usiadłam na mchu, oparłam się o pień sosny i nalałam Kajtkowi pełną miskę wody. Pił tak łapczywie, że aż mnie ochlapał.

– Zabezpieczyłaś go przed kleszczami? – spytał siedzący pod sąsiednią sosną James.

– Nie wierzę w kleszcze – odpowiedziałam.

James cmoknął na Kajtka i zaczął przeglądać jego sierść. Po chwili coś z niej wyjął i mi pokazał. Szary odwłok wielkości pinezki, maleńka czarna główka, a przy tej główce krótkie pajęczne nóżki. Ohyda. Zgroza. Potwór. Kleszcz.

– Niektóre przenoszą babesziozę. To bardzo niebezpieczna choroba. Powinnaś stosować krople antykleszczowe albo specjalną obrożę.

Wzdrygnęłam się z obrzydzeniem, kiedy James rozgniatał kleszcza. Nieświadomy niczego Kajtek bawił się z Samem, szczęśliwym psem, który ma odpowiedzialnego właściciela, więc nie grozi mu śmiertelna choroba odkleszczowa.

Jestem do niczego. Nawet o psa nie umiem zadbać.

Wyciągnęłam książkę. *Blask Corredo* poleciła mi Kinga. Wkrótce po tym, jak skończyłam czytać pierwszy tom, czyli *Herbatę szczęścia*, w naszej bibliotece odbyło się spotkanie z autorką. Z głową przepełnioną widokami z Wyspy Sierot i różanych ogrodów na Wyspie Nut przyszedłam na wieczór autorski i poczułam, jakbym się znowu tam znalazła. Niezwykła osoba. Tajemnicza, promieniująca dziwnym spokojem. Wydawała się trochę nieobecna, dość zdystansowana, ale była pełna zapału i życzliwości. Jak bohaterki jej powieści.

Po powrocie do domu zaczęłam czytać drugą część cyklu. Wpadłam po uszy. Oczarowana czytałam prawie całą noc.

Teraz czytałam czwarty tom. Las pachniał, słońce grzało, a ja podróżowałam po świecie Avenidów. Pień sosny trochę uwierał mnie w plecy, ale nic to. I chyba chodziły po mnie mrówki, ale to też nic.

Nagle usłyszałam głośniejszy trzask, jakby ktoś nadepnął na suchą gałązkę. Podniosłam wzrok i zobaczyłam pastora Timothy’ego z psem. Timothy uklonił mi się i gwizdnął na Barnabę, który już ochoczo biegł do Kajtka. Kajtek pomachał przyjacielsko ogonem, ale kiedy zobaczył, że kolega grzecznie wraca do swojego pana, z powrotem rozpląszczył się na mchu. Wróciłam do lektury.

Tylko że sosna zrobiła się jakby twardsza, a mrówki jakby bardziej ruchliwe. I gorąco. I w ogóle.

Chyba czas wracać.

W parku oczywiście tłumy. Mnóstwo znajomych, ale większość zajęta swoimi sprawami. Machaliśmy sobie, kiwaliśmy głowami i tyle. Nawet impulsywna Ida Borejko tylko mi pomachała. Może to i lepiej, Natalia mogłaby się spieszyć, gdyby jej siostra nagle rzuciła się biegiem przez park.

A gdybym tak wpadła teraz na Marcina? Skoro jest tu tylu ludzi, to czemu miałoby nie być i jego? Mogłabym mu wreszcie wytłumaczyć, czemu nie odbierałam telefonu i nie odpisywałam na esemesy.

Uśmiechnęłam się do Marzeny. Ha, jak widać, spotykam też prawdziwych ludzi! Do tego rozwojowych – Marzena jest w ciąży. To chyba piąte dziecko. Super! Będzie więcej dobrych ludzi na świecie. Piękna, w powiewnej sukience, stukając obcasami, poszła z najmłodszym synkiem w stronę stawu, a ja skręciłam z alejki akacjowej w jarzębinową.

A tam, z rękami w kieszeniach, stał Marcin. Obserwował wiewiórkę skaczącą z gałęzi na gałąź. Szłam powoli w jego stronę, z całych sił przytrzymując wrywającego się Kajtka, i przyglądałam mu się badawczo. Jednodniowy zarost, z którym wyglądał bardzo męsko, dżinsy, granatowa koszulka polo...

Po chwili chyba dostrzegł nas kątem oka, bo nieco zeszywniał. Niby wciąż patrzył na wiewiórkę, ale widziałam, że czeka, aż podejdziemy.

Podeszliśmy. Marcin odwrócił się do nas. Nie udawał zdziwienia, uśmiechnął się za to niepewnie.

– Cześć – powiedział i wyciągnął rękę... żeby pogłaskać Kajtka.

Pies wywijał ogonem i łąsił mu się do nóg. Marcin potarł go za uszy, pogłaskał po karku i grzbiecie, a potem – biedny – musiał w końcu znów spojrzeć na mnie.

– Dawno się nie widzieliśmy... – powiedział.

W jego dobrych oczach było tyle niepewności, tyle pytań. Tyle bólu.

O, nie! Nie zgadzam się na ten ból. Muszę wyjaśnić niepewności i odpowiedzieć na pytania.

– Marcin...

– Tak?

Patrzył na mnie z nadzieją. Spuściłam wzrok i wpatrzyłam się w pracowicie zamiatający alejkę ogon Kajtka.

– Przepraszam, że się nie odzywałam. Zgubiłam telefon. A listu nie zauważyłam, naprawdę. Wiem, że to głupio brzmi, ale tak było. Nie chcę, żebyś myślał... że, że...

Utknęłam. Jednak kiedy podniosłam na niego oczy, przekonałam się z ulgą, że nic już nie muszę mówić.

Delikatnie wziął mnie za rękę. W oczach wciąż miał pytania, ale teraz były to radosne pytania. I wiedziałam, że odpowiedź brzmi: „tak”. Tak, Marcinie.

Czarnooki nieznajomy, który przysiadł na najbliższej ławce, pokręcił głową,

ale na szczęście nic nie powiedział. Zrozumiałam.

– A temu co się nie podoba? – mruknęłam.

– Komu? – Marcin rozejrzał się zdumiony.

– Temu, o! – Wskazałam na ławkę.

Spojrzałam na Marcina. Wyglądał na zupełnie skołowanego.

– Ewa? Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? Nic nie rozumiem.

Nabijasz się ze mnie? To jakiś zakład? Ukryta kamera?

Popatrzył dookoła, uważnie przyjrzał się ławce. Czarnooki ostentacyjnie oglądał swoje paznokcie.

– Ewa, jeśli nie chcesz mnie znać, to po prostu powiedz i już. W końcu zrozumieć.

– Nie, to nie tak... – jęknęłam. – Marcin, przecież ty nie istniejesz. Tak jak on. I inni. Nie udawaj, przecież wiem.

Patrzył na mnie zszokowany.

– Bardzo bym chciała – ciągnęłam – żebyś istniał. To byłoby... to byłoby coś najcudowniejszego w moim życiu. Ale skoro nie jesteś prawdziwy, nie ma sensu... tego ciągnąć.

Powiedziałam to. Powiedziałam i nie umarłam. Jakim cudem?

Marcin przegarnął palcami włosy, przesunął ręką z tyłu za kołnierzykiem.

– Zaraz! – zaprotestował w końcu – Wcale tak nie uważam. Nawet jeśli nie istnieję, mam prawo się z tobą spotykać. Tak samo jak on – powiedział stanowczo i ruchem głowy wskazał ławkę.

Nie wiedział, no bo skąd miał wiedzieć, że czarnooki już na niej nie siedzi. Oddalał się właśnie alejką.

Na zmartwienia są różne sposoby. Można na przykład pójść do przyjaciółki, żeby się wygadać ze słodką pewnością, że zostanie się wysłuchanym, a żaden drobiazg nie zostanie zignorowany. Wręcz przeciwnie – przyjaciółka wszechstronnie go zbada i odpowiednio oceni. Tylko że nie mam przyjaciółki. Inny sposób to zakupy. Ale to już przećwiczyłam. Zmartwienia można też przespać.

Wygrzebałam się spod pledu zgrzana, rozczochrana, wyspana – i tak samo nieszczęśliwa jak przedtem. To może zrobię sobie kawy. Oj, nie mam pączków. Boże, jakie to życie jest ciężkie!

Powlokłam się do cukierni. Kajtek ciągnął jak parowóz. Najlepiej być psem. Nie ma wtedy człowiek problemów. W Łasuchu zrobiło mi się trochę lepiej. Mmm... Co by tu... To, co zwykle.

Pani Małgosia rzuciła mi współczujące spojrzenie. No nie. Przecież to ona powinna tonąć w smutku i żałobie, a ja – młoda, zdrowa i pełna sił... no co? No nie wiem.

Kajtek czekał przed sklepem. Włożyłam mu sznurek do pyska, sprawdziłam, czy paczka z ciastkami wisi prosto, i ruszyliśmy. Kajtek kroczył przed siebie dostojnie, z podniesioną głową i elegancko falującym ogonem.

Przed domem stała furgonetka fundacji. Pewnie przyjechali po ciuchy. Pomagam panu Januszowi je segregować, bo pani Mirka się zbuntowała. Powiedziała, że ma za dużo pracy w ogrodzie.

– Witam szanowną panią! Witam Kajtka! – Gienek wyskoczył z samochodu i dwukrotnie zgął się w ukłonie. – Jakże samopoczucie w ten cudowny dzień?

– Dziękuję, wspaniale! – odpowiedziałam za nas dwoje.

Entuzjastyczna odpowiedź kosztowała mnie tyle energii, że z trudem doczłapałam do domu. Drzwi oczywiście były otwarte, na co Gienek taktownie nie zwrócił uwagi.

– Może kawki? – zaproponowałam gościnnie i wyjęłam Kajtkowi z pyska paczkę z ciastkami.

Pies natychmiast skoczył Gienkowi na pierś, a uszczęśliwiony mężczyzna przytulił go i spojrzał na mnie rozanielonym wzrokiem.

– Nie odmówię – nie odmówił. – Ale wpierw obowiązek. Zabiorę worki.

Poszliśmy do pokoju gościnnego. Włamywacze wyważyli drzwi, więc nie musiałam już szukać klucza. Pomieszczenie idealnie nadawało się na graciarnię, dużo lepiej niż strych.

Gienek zaczął nosić worki z ciuchami do samochodu. Zgodnie z zaleceniami pana Janusza posegregowałam ubrania według rodzaju i stopnia zniszczenia. Tym razem najwięcej było damskich zakietów w rozmiarze XL i dziecięcych kurtek. Jak zwykle musiałam wybrać coś dla siebie. Pan Janusz zawsze sprawdzał, czy na

pewno coś wzięłam. Tym razem znalazłam piękny woreczek z lawendowego jedwabiu haftowany w kwiaty magnolii, tylko trochę zużyty. Powieszę go przy łóżku i będę w nim trzymać ołówki z gumką, do rozwiązywania sudoku.

Gdy Gienek skończył pracę, czekałam już na niego z kawą i ciastkami. Dobrze, że kupiłam ich tak dużo.

Gienek otrzepał spodnie i usiadł na kanapie. Jak zwykle najpierw wzdragał się przed cukrem, potem posłodził cztery łyżeczki, podziękował za mleko i pochwalił filiżankę.

– Pani to ma wyczucie do piękna – pochwalił, rozglądając się po pokoju.

Zatrzymał wzrok na obrazie z aniołem.

– Pani Maja malowała – stwierdził.

– Zgadza się. Zamówiłam już następne – dodałam z dumą. – I kilka dostanę na urodziny.

– Ach! – Poderwał się. – Urodziny, to wspaniale! Wszystkiego najlepszego!

– Dziękuję – jęknęłam. – Ale wcale nie tak wspaniale. To, jak by to powiedzieć... duże urodziny. Wie pan, poważne...

– Wiem, wiem. Pani już swoje lata ma, ja to przecież widzę. Ze dwadzieścia pięć będzie, co?

Kocham go.

– Panie Gienu – zapytałam ściszym głosem, pochylając się ku niemu. – Czy pan aby na pewno jest prawdziwy?

Spojrzał na mnie z przerażeniem i zamrugał. Potem przełknął ślinę i spytał wysokim, drżącym głosem:

– A jaki miałbym być? Prawdziwy! Mamusia mnie urodziła w bólach w szpitalu, przysięgam! Pani Ewo, co pani opowiada? Dlaczego pani myśli, że ja jakiś sztuczny robot jestem?

Boże. Ewka idiotka. Straszy ludzi. Weź się, kobieto, uspokój.

– Przepraszam, panie Gienu – powiedziałam łagodnie, ale z naciskiem, żeby na pewno do niego dotarło. – Przepraszam. Chodziło mi o to... że pan jest taki miły, że trudno uwierzyć, że pan istnieje... Przecież dobrze pan wie, że nie mam dwudziestu pięciu lat. To było urocze, ale ja mam już...

Gienek wyciągnął przed siebie rękę jak policjant zatrzymujący rozpędzony samochód.

– Wiem. Wiem. Dwadzieścia sześć. I koniec dyskusji o wieku.

Patrzył na mnie wyczekująco. Nie może być prawdziwy, bo się go nie boję, nie peszę się, nie zamykam się w sobie. No to dobrze, to mu powiem.

– Bo ja... wie pan... czasami rozmawiam z osobami, które nie istnieją. Zwykle to są bohaterowie książek. Przychodzą i odchodzą, kiedy chcą. Przy nich czuję się lepiej niż przy zwykłych ludziach. To znaczy, prawdziwych...

– Aaa! – przerwał mi Gienek. Oczy mu błyszczały. – Czyli pani jest

nienormalna? Znaczy... tego... przepraszam najmocniej, chora na głowę?

– No, chyba tak. Na to wychodzi... – wyjąkałam zrezygnowana.

– Jeden mój kumpel... – Gienek zaczął podeksycytowany – jak mu było? Zaraz, Andrzej? Nie. A, Szymek. Tak, Szymek. To ten Szymek miał, wie pani, schizę. Znaczy, jak to się mówi... Schi-zo-fre-nię. – Spojrzał na mnie tak tryumfalnie, jakby ten jego Szymek odkrył Amerykę albo wynalazł lekarstwo na raka, i mówił dalej:

– No i pani Ela, nasza wychowawczyni, poszła z nim do lekarza. Wie pani jakiego. – Popatrzył na mnie znacząco i zakręcił palcem kółko przy skroni. – No i ten lekarz go, wie pani, wziął i wyleczył. Znaczy, dał mu takie lekarstwa, że Szymek znormalniał. Jako tako. – Zamyślił się na chwilę i dodał: – Teraz jest w Irlandii. Ma żonę i dwójkę dzieci.

– Ja nie choruję na schizofrenię – powiedziałam cicho. – Mam tylko depresję i bujną wyobraźnię.

– A! – podchwycił Gienek uradowany. – Jeden kumpel miał depresję. Boże, jaka to ciężka choroba.

Posmutniał, zamyślił się, pokręcił głową. Wreszcie znów na mnie spojrzał i wykrzyknął:

– Ale wyzdrowiał! Ciotka wzięła go do Warszawy, żeby się leczył w wariatkowie. Pół roku go nie było, ale jak wrócił, to nie ten sam człowiek! Ma teraz firmę, tu w Samulkach. I żonę.

Zamilkł na chwilę i dorzucił:

– I trójkę dzieci.

Dopił kawę, zjadł ciastko. Otarł usta grzbietem dłoni, pozbierał okruszki ze stolika, wsypał je na talerzyk i spojrzał na mnie ze skruchą.

– Ale na bujnej wyobraźni to się niestety nie znam.

– To szczęściarz z pana – mruknęłam.

Wracając z pracy, zauważyłam na furtce coś czerwonego. Zaintrygowana, mocniej nacisnęłam na pedały. Podjechałam i zahamowałam ostro. Róża. Jak byk. Piękna, czerwona, na wpół rozwinięta, z mocną łodyżką i lśniącymi liśćmi. No i z kolcami, oczywiście. Na mojej nieszczęsnej zardzewiałej skrzynce na listy.

– Kajtek, kto tu był? – zapytałam czekającego na podwórku psa. – Kto to tutaj położył?

Kajtek machnął ogonem i radośnie na mnie skoczył.

– Nie rozumiem, piesku...

Wzięłam różę, powąchałam i zajrzałam do skrzynki. Może coś w niej jest? Jakiś dodatek do róży?

Gdzie tam. Pusta. Obrzydliwie pusta.

Postanowiłam przeprowadzić śledztwo. Kryptonim „Róża”. Albo lepiej, bardziej konspiracyjnie: „Skrzynka”. Pójdę do kwiaciarni... I co? Sprawdzę, czy w wazonie z różami nie brakuje tej, którą znalazłam na skrzynce? Ewka idiotka.

Renata uśmiechnęła się do mnie znad wózka, Maciek zerknął zza komputera i w milczeniu podniósł dłoń. Kochani ludzie. Jak dobrze nie być zmuszaną do mówienia.

Rozejrzałam się czujnie. Róże. Ostrożnie podeszłam bliżej. Jaki cudowny zapach. Czy moja róża pachnie tak samo? Przyjrzałam się wszystkim różom naraz, potem każdej po kolei. Wszystkie wyglądały jednakowo.

– Twoja róża nie ma z nimi nic wspólnego – szepnął zza wielkiego bukietu mały chłopiec w za długim szaliku.

– Jak to?

– Jest wyjątkowa i jedyna. Przecież wiesz. Nie pochodzi z żadnej plantacji ani z żadnej kwiaciarni – powiedział, patrząc na mnie uważnie dużymi szaroniebieskimi oczami.

– To ona jest prawdziwa?

Chłopiec prychnął pogardliwie, a potem zachichotał.

– Oczywiście! No weź. Przecież ją dostałaś, tak?

Jak dobrze znaleźć kogoś, kto potrafi odpowiedzieć na trudne pytania.

– Tak – szepnęłam.

– Nie można dostać czegoś, co nie istnieje. Nie mówiąc już o wstawianiu do wazonu.

– Ale...

– „Najważniejsze – przerwał mi – jest niewidzialne dla oczu”. Nie pamiętasz? „Dobrze widzi się tylko sercem”. Daj sobie spokój z tym dochodzeniem. Odpowiedź jest w twoim sercu.

Łatwo powiedzieć. W moim sercu nie ma żadnej odpowiedzi.

Jest tam tylko Marcin.

Obraz jest bardzo ciemny. Głęboka zieleń, granat, fiolet, nawet czern. Na dalszym planie piętrzą się góry, groźne i zachmurzone. Na pierwszym ciemnieje tajemnicza bezludna dolina. Straszna i niebezpieczna. Na dnie doliny stoi biała owieczka – urocza, bezbronna. I szczęśliwa. Emanująca radością.

Z tyłu obrazu naklejono kartonik z napisem, który znam już na pamięć: CHOĆBYM CHODZIŁ CIEMNĄ DOLINĄ, ZŁA SIĘ NIE ULEKNĘ, BO TY JESTEŚ ZE MNĄ^[8]. Obraz namalowała Maja. Dostałam go od – tak – od przyjaciół z kawiarni.

Nie mogę przestać o nim myśleć. Kiedy jestem w pracy, wystarczy, że zamknę oczy i już go widzę. W domu ciągle na niego patrzę. Czy kiedyś przestanę się bać? Czy można żyć w ciemnościach, a jednak się nie bać? Czy istnieje ktoś, kto da mi takie poczucie bezpieczeństwa, że nic nie będzie w stanie mnie przestraszyć?

Może ciemności nie muszą znikać, może wystarczy być pewnym niezawodnej opieki?

Kolejna słodka czerwona róża na furtce. Tym razem między sztachetami.

– Kajtek, kto tu był? Kto to zostawił?

Uradowany pies szaleje, skacze i wywija ogonem.

Ale dużo się dowiedziałam, no!

– „U prząsniczki siedzą jak anioł dziewczeczki, przędą sobie, przędą tam tam tam niteczki. Przędź się, przędź wrzeciono...”, ej, dziewczyny, jakie były te niteczki?

– Chodzi ci o to „tam tam tam”?

– No. Przędą sobie, przędą... wełniane niteczki?

– E, chyba nie. Zaraz... Przędą, sobie przędą... druciane niteczki?

Parsknęłyśmy śmiechem.

Kinga nie dawała za wygraną.

– Drewniane!

– Sama jesteś drewniana. One to nawijały, a jak nawijać drewno? Pomyśl, dziewczeczko!

– Oj tam. Takie cieniutkie drewnienka dałyby się nawijać. Trocinki takie.

– Cicho, trocinko, daj pomyśleć. Przędą sobie, przędą... niciane niteczki!

Był pogodny sobotni poranek. Siedziałyśmy w kawiarni na kolejnym już kobiecym spotkaniu. Początkowo nie chciałam przychodzić, ale dziewczyny powiedziały, że po pierwsze, liczą na mój tort orzechowy na zagrychę do kawy, a po drugie, będą sami swoi, a właściwie same swoje.

I rzeczywiście. Pod Aniołami było kolorowo od kobiet. Maja w błękitnej bluzeczce, Kinga w lawendowych szalach, Marzena w białej ciężowej sukience, Iza w kwiecistej tunice, Małgosia w zieleni, Renata w swoich ulubionych brązach,

Kasia w eleganckich pastelach, pani Małgosia z Łasucha i... o nie... Moja szefowa Olga.

Wypiłyśmy kawę, zjadłyśmy tort i zajęłyśmy się robótkami. Niteczki same się nasunęły.

- Szmaciane! Szmaciane niteczki, ładnie, co?
- W życiu. Szmaciane to są dywaniki.
- U prząsniczki siedzą... Mam! Miedziane! Miedziane niteczki!
- Wieszane!
- Uprane!
- Porwane!

Po chwili pełnej namysłu ciszy kawiarnia znów rozbrzmiała śpiewem, nawet dość składnym, ale kiedy doszłyśmy do niteczek, ryknęłyśmy śmiechem.

W tej chwili w drzwiach pojawiła się wysoka kobieta o szarych oczach, prostych włosach i łagodnej jasnej twarzy. Przyglądała nam się zdezorientowana, a zza jej pleców wychylało się ciekawie pięć dziewczynek.

Wesoła kawiarnia najwyraźniej bardzo im się podobała.

– O, Alicja! – zawołała Iza. – Słuchaj, jakie one niteczki przędą w tej piosence o prząsniczkach?

Zamilkłyśmy i wpatrzyłyśmy się wszystkie w Alicję.

– Jedwabne – odpowiedziała spokojnie. – Przepraszam za spóźnienie. Coś mi się zepsuło w samochodzie i musiałam czekać, aż Grzesiek wróci ze sklepu. Dziewczynki, idźcie do dzieci.

Cztery młodsze przywitały się grzecznie i pomaszerowały do pokoju dla dzieci. Najstarsza przysiadła się do nas razem z matką i wyciągnęła swoją robótkę.

Marzena wycinała z papieru różyczki i naklejała je na drewnianą tacę. Kinga szydełkowała pokrowiec na telefon komórkowy, ale już teraz wyglądało to bardziej jak pokrowiec na laptop. Maja, która oznajmiła, że ma dwie lewe ręce do robótek, szkicowała w bloku rysunkowym kwiaty i anioły. Pozostałe kobiety haftowały. A ja pod stolikiem rozwiązywałam sudoku.

Przez dłuższy czas panowała cisza. W końcu Kinga nie wytrzymała.

– Ale skąd one brały te niteczki? Z jedwabników je wysnuwały czy co?

^[8] Ps 23, 4.

Szefowa wezwała mnie do siebie. Jakoś mi dziwnie po tym wspólnym śpiewaniu. Na *Prząśniczkach* się zresztą nie skończyło. Ton nadawała Alicja i to ona intonowała kolejne piosenki, od pieśni religijnych, przez ludowe, do hitów z *Tryptyku świętokrzyskiego*. Najpiękniej śpiewała chyba Kasia, która, jak się później dowiedziałam, w czasach studenckich udzielała się w uczelnianym chórze. Ale Olga, jak się okazało, też ma bardzo ładny głos.

A teraz patrzy na mnie zza swojego biurka, spokojnie, życzliwie i – niestety – stanowczo.

– Pojedziesz. Przestań się zapierać jak dziki osioł.

No, dzięki. Czy ja kiedyś mówiłam, że jest uprzejma?

– Nie mogę. Mam psa – wysunęłam kolejny argument. – Umrze z tęsknoty.

– Przez trzy dni nie umrze, zapewniam cię. Sąsiedzi się nim zajmą. Myślisz, że pani Mirka pozwoli mu umrzeć?

Faktycznie, nie pozwoli. Niechby spróbował! Myślałam gorączkowo. Co jeszcze mogę powiedzieć? To, że nie chcę, powiedziałam od razu. Wspomniałam o kosztach. Zapewniłam, że już wszystko wiem i nie potrzebuję żadnych szkoleń. Próbowalam przekupić obietnicą, że przez najbliższych pięć lat wezmę każde zastępstwo... I nic. Twarda jak kamień. Wolę ją, kiedy śpiewa *Czerwone jabłuszko*.

Wczoraj wieczorem zapomniałam wziąć leki. Niedobrze mi, mam zawroty głowy, przez moją czaszkę co chwila przejeżdża z hukiem pociąg ekspresowy i pocę się jak na siłowni. A ona wysyła mnie na kolejne unijne szkolenie.

Olga wstała zza biurka i delikatnie mnie przytuliła.

– Ewuniu...

Ewuniu! Teraz to Ewuniu! Odwróciłam się i poszłam do swojego pokoju. Muszę się napić kawy. I jak najszybciej sprawdzić trasę.

Niestety, tak jak podejrzewałam – żeby dojechać do miasteczka, w którym Europa urządziła szkolenie, trzeba przejechać przez miejsce, gdzie sześć lat temu rozbiło się moje życie.

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Niech sobie puka. Niech nawet wali pięściami. Nie otworzę. Będę tu siedzieć, aż umrę. Może wtedy da mi spokój, prząśniczka jedna.

– Nawigacja? – zapytał pan Janusz, którego złapałam przed furtką; właśnie wysiadł z fundacyjnej furgonetki. – Oj nie, nie mam. Nie używam. Za bardzo lubię mapy. To część przyjemności podróżowania. Nawet jeśli się zabłądzi.

No rozumiem, rozumiem. Co kto lubi. Ale ja muszę! Muszę jechać naokoło, a bez nawigacji na bank się zgubię.

– Marcin by pani na pewno pomógł. On taki jest, że każdemu pomoże – mówił dalej pan Janusz. – Gdyby nie wyjechał, na pewno by skądś zdobył. Na

głowie by stanął, spod ziemi wykopał.

Przez chwilę pozwoliłam wyobraźni obserwować Marcina stojącego na głowie i jednocześnie kopiącego w gruncie saperką. Jaka szkoda, że ten jego Marcin, były alkoholik, a obecnie działacz AA, nie jest moim Marcinem. I jaka szkoda, że życie jest takie do dupy.

Zza pleców pana Janusza wyjrzał Gienek.

– Niech pani się pomodli – poradził życzliwie. – Najlepiej do świętego Krzysztofa i Anioła Stróża. Święty Krzysztof jest patronem podróżujących, a Anioł Stróż to wiadomo... Anioł Stróż. Nie umie pani? To ja się pomodłę za panią!

Patrzyłam na niego zdumiona i skrępowana. Będzie się modlił na ulicy? Ratunku.

Ale nie. Gienek wsiadł z powrotem do furgonetki, zamknął oczy i złożył ręce.

– Aniele Strózu i święty Krzysztofie! No i Panie Jezu, bo Ty jesteś najważniejszy. Ta urocza i dobra kobieta, zresztą piękna i młoda, ma dopiero dwadzieścia sześć lat, więc ona potrzebuje nawigacji do samochodu. Więc proszę was, pomóżcie jej pożyczyć to ustrojstwo od kogoś porządnego na kilka dni, w tę i z powrotem, amen.

Otworzył oczy, rażno wyskoczył z szoferki i spojrzał na mnie tryumfalnie.

– Załatwione – oświadczył.

Nie wiedziałam, co robić. Śmiać się, płakać, uciekać?

– Dziękuję – powiedziałam.

Mój dzielny samochód pędził radośnie przed siebie. Nie wiedział, że każdy jego ruch jest zaplanowany i kontrolowany. Po obu stronach drogi ciągnął się piękny zielony las, w plecy świeciło nam słońce, ruchu prawie nie było. W samochodzie było cicho, słyszałam tylko szum silnika i łomot własnego serca. Urządzenie, zaprogramowane przez Tomka, męża Kingi, prowadziło mnie bocznymi drogami, z dala od głównej trasy. Tamtej trasy.

Kolejna wioska, kolejny przydrożny krzyż, z wirującymi na wietrze kolorowymi wstążkami, uwiązany między nim a otaczającym go płotkiem. Sklep spożywczy. Szkoła. Kościół. Kury przebiegające przez ulicę tuż przed samochodem, jakby się założyły, która jest odważniejsza i przebieganie ostatnia. Pola. Pies. Znow las. Po obu stronach buki o pniach jak szare kolumny. I znow wioska. Nie zauważyłam nazwy. Krzyż ze wstążkami, kościół, cmentarz. Rynek. Przed rondem znak ROBOTY DROGOWE i OBJAZD. Cholera, co oni mają do roboty w takiej wiosce na rondzie? UFO im tu kręgi w asfalcie wypaliło, czy co?

I co teraz? Próbowałam sobie przypomnieć instrukcje Tomka, który pojawił się przed moją furtką chwilę po tym, jak Gienek zmówił modlitwę. Nie, nie poradzę sobie z tym urządzeniem. Skręciłam zgodnie z tym, co nakazywały znaki objazdu, wbrew temu, co pokazywał GPS, i wyjechałam za wieś. Znow las. Skrzyżowanie, skręt w lewo. Wąska szosa, po obu stronach drzewa, plamy słońca tańczące na asfalcie.

Wrzuciłam kierunkowskaz, zwolniłam i zatrzymałam się na poboczu, przy małym żelaznym krzyżu wbitym w ziemię tuż nad rowem. Wyłączyłam silnik. Opadłam na oparcie fotela. To tu.

Czyjeś troskliwe ręce zawiesiły na krzyżu wianek ze sztucznych kwiatów, a w trawie postawiły znicz w czerwonej szklanej osłonce. I kwiaty, i znicz wyglądały na nowe.

Rozejrzałam się ostrożnie. Nikogo. W oddali za drzewami terkotał traktor na polu. W trawie grały pasikoniki. Upał.

Kwiczeliśmy jeszcze ze śmiechu, gdy zza zakrętu wypadły na nas dwa tiry. Na masce jednego z nich zobaczyłam srebrną sylwetkę psa. „Jezu!”, krzyknął Sławek. „Boże!”, zawołali Jacek i Agnieszka. Przez te wszystkie lata myślałam, że krzyczeli ze strachu. Teraz zrozumiałam, że to była radość. Zamiast pędzących tirów zobaczyli Jezusa, który z serdecznym uśmiechem wyciągał do nich ręce. Widziałam, jak odpinają pasy, wstają, wychodzą przez przednią szybę i padają w jego ramiona. Patrzyłam, jak odchodzą.

Nie obejrzeli się. Tylko Jezus odwrócił do mnie twarz – roześmianą i piękną. Skinął głową i na chwilę z czułością przymknął oczy.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam. W oddali monotonnie terkotał traktor.

Jakiś samochód minął mnie ze świstem, potem następny.

No dobra. Trzeba jechać. Satelita już mnie namierzył, GPS wyznaczył trasę. Niebieska strzałka dziarsko wskazuje kierunek. W drogę.

Dajcie mi normalną kawiarnię! Nie proszę o cuda, niepotrzebne mi ekstrawagancje. Dajcie mi tylko kawiarnię, gdzie można usiąść na kanapie przy stoliku nakrytym koronkową serwetką i napić się dobrej kawy, do której uprzejma obsługa gratisowo doda rogalik posypany cukrem. Czy żądam czegoś nadzwyczajnego? Wystarczą mi malowane w złote aniołki bordowe ściany z pięknymi obrazami, regał pełen książek i ciasta domowej roboty za symboliczną „cołaskę”. Czy to tak dużo?

Westchnęłam z udręką i wycofałam się z kolejnego lokalu. Ostatnia próba. Jeśli nie znajdę odpowiedniego miejsca, wracam do centrum szkoleniowego na ten ich lunch.

Wreszcie znalazłam w miarę sympatyczną cukiernię z kilkoma stolikami i ekspresem do kawy i zapatrzyłam się w ciastka za szybą.

– Czym mogę służyć? – zapytała sprzedawczyni.

Chyba trochę się zniecierpliwiła. W sumie nic dziwnego. Co to jest, galeria? Tu się nie ogląda, tu się kupuje i je.

– Przepraszam – bąknęłam speszona, jakby przyłapała mnie na oglądaniu pornografii. – Proszę... e... bezę z kremem. I espresso z mlekiem. Na miejscu.

– Proszę uprzejmie – powiedziała przyjaźnie. – Dwanaście pięćdziesiąt.

I czego było się bać?

Zaszumiał ekspres, brzęknęła filiżanka. Usiadłam w rogu, plecami do ściany. Jadłam, krusząc niemiłosiernie. Ciekawe... Byłam pewna, że kogoś tu spotkam. A tu nic. Żadnego Halta, żadnego Kmicica, żadnej Ofelii, nie mówiąc już o czarnookich nieznanym. Dziwne...

Jutro po lunchu ostatnia konferencja, potem pytania, wnioski i takie tam, a na koniec integracyjne spotkanie, podczas którego mamy dostać certyfikaty. Na basenie. Na basenie! Czyli co? Wszyscy w kostiumach kąpielowych, z mokrymi włosami, przechadzający się po kafelkach z kieliszkami szampana i oprawionymi w folię zaświadczeniami o ukończeniu kursu?

To ja dziękuję. Po pierwsze, nie wzięłam kostiumu. Po drugie, mam grube nogi, wielki tyłek i mały biust. Po trzecie... a po co mi trzecie! Nie chcę, i już. Może skręcę nogę albo coś...

W lśniącym marmurem i nowoczesną sztuką holu centrum szkoleniowego panowała cisza. Pewnie wszyscy siedzieli już w sali konferencyjnej i trawili lunch, budząc się od czasu do czasu, by z udawanym zainteresowaniem spojrzeć na slajdy.

– Numer cztery, poproszę – rzuciłam nonszalancko do recepcjonistki i wzięłam klucz.

Ubrana w gustowny bordowy kostiumik, smukła jak jasna cholera

dziewczyna z bajecznym biustem zatrzymała mnie z uśmiechem, ale stanowczo.

– Przepraszam! Pani Ewa? – spytała, zerknąwszy do książki gości.

Przystanąłam jak uczeń przyłapany na ucieczce z lekcji.

– Tak, słucham? – spytałam tonem profesjonalnej księgowej zbyt zajętej ważnymi sprawami, by tracić czas na jakieś głupie konferencje.

– Jakiś mężczyzna pytał o panią. Powiedziałam, że wyszła pani na miasto. Chciał się dowiedzieć, w którym pokoju pani mieszka. Nie powiedziałam, oczywiście...

Zawiesiła głos i spojrzała na mnie badawczo.

O nie. Chyba umarłabym ze strachu, gdyby nagle wieczorem ktoś do mnie zastukał. Wyobraziłam to sobie. Otwieram, a tam ten dupek, któremu prawie dałam w pysk na poprzednim szkoleniu. Z szampanem w jednej dłoni i bukietem kwiatów w drugiej! Boże. Swoją drogą, powinnam była sprawdzić, czy ten lubieżny księgowy tu jest.

Obudziło mnie ciche pukanie. Gwałtownie usiadłam na łóżku i odczekałam, aż moje oszalałe serce się uspokoi. Potem ostrożnie podeszłam do drzwi i wyjrzałam przez wizjer.

O proszę. Wcale nie dupek, tylko recepcjonistka.

– Chwileczkę! – zawołałam.

Przyglądałam włosy, owinęłam się szalem i otworzyłam.

Zobaczyłam róże. Ogromne, ciemnoczerwone róże. Chyba z pięćdziesiąt, ale nawet gdyby było ich czterdzieści dziewięć, też byłabym zachwycona.

– Poproszono mnie, żebym je pani przekazała – powiedziała recepcjonistka, a w jej oczach chyba dostrzegłam zazdrość.

– Dzień... kuję – wydukałam.

Oszołomiona usiadłam na łóżku i wtuliłam twarz w kwiaty. To nie może być prawda. Pewnie dalej śpię. Chociaż... Nigdy nie snią mi się zapachy. A te róże pachniały tak, jakby chciały przyciągnąć wszystkie motyle świata.

Weszłam pod kołdrę, położyłam na niej bukiet. Tak będę leżeć. Niestety znowu rozległo się pukanie.

– Pomyślałam, że się przyda – powiedziała recepcjonistka i z porozumiewawczym uśmiechem podała mi duży kryształowy wazon.

No, racja. Sama bym na to wpadła. Kiedyś.

Cukiernia Pod Różą ul. Warszawska 32. Będę czekał do zamknięcia, a nawet dłużej – głosił dołączony do róż bilecik.

Co? Co on sobie myśli, ten ktoś? Że wystarczy przysłać mi byle kwiatki (no dobrze, najpiękniejsze kwiaty na świecie), żebym wyskoczyła z łóżka i poleciała do jakiejś cukierni? Pff.

Ale trochę mnie to rozbudziło. Zresztą w sumie jeszcze wcześniej, za wcześniej na spanie. Pójdę się przejść. Oczywiście nie do żadnej cukierni (pff), na

spacer po prostu. Szkoda, że Kajtka tu nie ma.

Przeszłam się po rynku, po deptaku i po romantycznych bocznych uliczkach. Było coraz więcej ludzi, psów, gołębi i rowerów. Gorąco i coraz mniej przyjemnie. (I nie było żadnej ulicy Warszawskiej, ktoś chyba sobie ze mnie zażartował). Zmęczona i zirytowana postanowiłam wstąpić na lody do znajomej cukierni. Kiedy już się do niej zbliżałam, zobaczyłam, że nazywa się, oczywiście, Pod Różą. Weszłam do wypełnionego słodkim zapachem wnętrza, a tam, przy stoliku w głębi – siedział Marcin. A właściwie wstawał, bo zauważył mnie przez okno. A właściwie stał. A właściwie szedł w moją stronę. A właściwie biegł, prawie unosząc się nad ziemią. Tak jak ja.

Po zamknięciu cukierni włóczyliśmy się po nadbrzeżnych łąkach.

– Zobacz, księżyc. Jaki wielki! I pomarańczowy! – zawołałam podekscytowana.

– Na razie taki jest. Jak wszędzie wyżej, znormalnieje. Będzie mniejszy, bladej...

– Ale wciąż ciekawski. Gapi się na nas.

– Ja mu się nie dziwię. Też bym tak sobie stanął i gapił się na ciebie. Mogę? Gdzie by tu się schować? Skoczyć w sitowia albo wręcz w nurt rzeki?

Marcin nie odrywał ode mnie zachwyconego spojrzenia (szalenciec, ślepy szalenciec!). Już wiem, zagadam go. Mężczyźni nie mają podzielnej uwagi. Jak się zajmie myśleniem, przestanie mnie adorować i będę mogła złapać oddech.

– Co tam w pracy? Zakładasz jakąś nową filię? Może tutaj?

– Nie, na razie przerwa w wyjazdach. Ale wiesz, co zobaczyłem przy wjeździe? Billboard, taki świecący, a na nim wielki napis „Matrix”! O mało nie wpadłem do rowu. Co jest, ktoś reklamuje moją firmę tyle kilometrów od Samulek? Zatrzymałem się, patrzę, o co chodzi, a to była jakaś wypożyczalnia filmów.

– Zaraz, zaraz. Chwileczkę. Czy... twoja firma nazywa się Matrix?

– No tak, na cześć mojego ulubionego filmu, wiesz...

– Marcin! I ty jesteś jej szefem?

– No, tak. I wiesz... Ups! – Bezwiednie przyłożył dłoń do ust i patrzył na mnie speszony.

– Mam cię, tajemniczy agencie! – zawołałam. – W końcu mogę ci podziękować...

– Oj, nie trzeba, co ty! Taki drobiazg... Ale się głupio wygadałem. Jaki ze mnie...

Marcin zapomniał o wszelkim gapieniu się i adorowaniu. I bardzo dobrze, przecież o to mi chodziło. Popatrzyłam sobie na księżyc. Chyba już był ciut wyżej. I rzeczywiście trochę jaśniejszy.

– Ale ty jesteś piękna. Nie, nie! Nie przeszkadzaj sobie, patrz spokojnie. A ja

sobie popatrzę na ciebie...

No dobra, niech tam.

Spacerowaliśmy długo, mocno trzymając się za ręce.

Kiedy rosa całkowicie przemoczyła mi pantofle i dół spódnicy, zaproponowałam powrót na rynek. Usiedliśmy w jednym z kawiarnianych ogródków w wiklinowych fotelach i zamówiliśmy herbatę. Patrzyliśmy na rozbawionych, może nawet zbyt rozbawionych ludzi. Nigdy nie lubiłam alkoholu, a po tym, co usłyszałam, nie mogłam na niego patrzeć.

Matka Marcina wychowywała jego i Anię w zasadzie sama. Ojciec zajmował się tylko piciem i biciem. I był w tym naprawdę niezły. W końcu mama Marcina zatrzała się, podobno przypadkowo, lekami i opuściła ten świat, nie zaznawszy na nim niczego dobrego. Ania, jak przystało na córkę alkoholika, wyszła za mąż za psychopatycznego pijaka, który zafundował jej kilka lat piekła i zniknął, zostawiając ją z dwoma małymi synkami. Marcin porzucił wtedy pracę w Warszawie i wrócił do Samulek, by pomóc siostrze. Mówił o niej z uznaniem i ogromną czułością.

– Taka drobna delikatna kobieta, a w środku mocarz. Świetnie sobie radzi i w domu, i w pracy. Opiekuje się chorymi i staruszkami, pomaga ludziom z rodzin alkoholowych w DDA, prowadzi strony internetowe szkoły i parafii.

Opowiadając o siostrzeńcach, nie potrafił zapanować nad śmiechem.

– Jakie my sobie numery robimy! Kiedyś przestawiłem im zegarki i polecili do szkoły na piątą rano. W odwecie przybili mi kaptcie do podłogi, mało się wtedy nie zabiłem. A w tym roku na prima aprilis namówiłem Goškę z Łasucha, żeby sprzedała im pączki z mięsnym nadzieniem. Dobre, co? Ale to bardzo mądre i dobre chłopaki – dodał już na poważnie. – Można się z nimi dogadać jak z dorosłymi. Raz nawet się im zwierzyłem. Po naszym ostatnim spotkaniu... Byłem taki zdołowany. Powiedziałem im, że... no... że według ciebie jestem nieprawdziwy, że we mnie nie wierzysz...

Ups. Co teraz? Przecież nadal mam wątpliwości.

Oczywiście do hotelu wróciliśmy późno. Pozostali księgowi zapewne już spali. Albo leżąc w łózkach, studiowali materiały szkoleniowe, he, he. Przystojny recepcjonista w bordowym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie zmierzył nas wymownym spojrzeniem. Wiem, co sobie pomyślał. „Poradzi sobie z nią bez problemu”. Trudno mu się dziwić, jasne. Marcin był taki przystojny, spokojny i budzący zaufanie, a ja – nerwowa, ale zachwycona – kurczowo trzymałam go za rękę.

Gdy jednak minęła godzina, a my nadal staliśmy w holu i rozmawialiśmy szeptem, recepcjonista nie był już taki pewny swojej diagnozy. Chrząknął. Niby tak sobie. Marcin zerknął na niego, pochylił się i delikatnie, po bratersku pocałował mnie w policzek. A potem w drugi. Tak, tak. Recepcjonista wyszedł na zaplecze,

ale kiedy wrócił, wciąż tam byliśmy. Trzymaliśmy się za ręce i patrząc sobie w oczy, szeptaliśmy: „Muszę iść, już późno...”, „No to dobranoc, do jutra...”. Recepcjonista westchnął ciężko („Cóż za nudne przedstawienie!”) i włączył telewizor. Leciał akurat jakiś program o seksie.

Ruszyliśmy do oszklonych drzwi wyjściowych, pod którymi znów przystanęliśmy, rozmawiając. Marcin jeszcze raz z czułością pocałował mnie w policzek. Recepcjonista poszedł do części restauracyjnej, zaopatrzył się w przekąski i wrócił na swoje stanowisko. W końcu nie wytrzymał. Pytanie wyrwało mu się, jeśli nie z serca, to gdzieś z okolic łędźwi.

– Jak długo będziecie czekać, ludzie!?

Marcin spojrzał na niego spokojnie i odpowiedział:

– Do ślubu.

Samochód mrucał pogodnie w zapadającym powoli zmroku. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę w stanie siedzieć na miejscu pasażera i w dodatku czuć się szczęśliwa. Ale tak właśnie było.

Integracyjna impreza w kostiumach kąpielowych się nie odbyła. Pan Bóg najwidoczniej czuwa nad sierotami o grubych tyłkach, bo spowodował awarię, wskutek której woda w basenie zrobiła się zielona i sanepid kazał go tymczasowo zamknąć. Skończyło się na całkiem miłym grillu. Dostałam certyfikat europejskiej księgowej i mogłam wracać do domu. Z Marcinem. Namówił mnie, żebym pozwoliła mu poprowadzić.

– Odpoczniesz sobie, pooglądasz widoki.

Przy ozdobionym sztucznymi kwiatami przydrożnym krzyżu zrobiliśmy postój. Usiedliśmy w trawie.

– Tak strasznie trudno było mi się do tego przyznać... – podjęłam. – Wiesz, przyznać się przed samą sobą. Tyle czasu to wypierałam.

– Kiedy w końcu się odważyłaś?

– W Wielką Sobotę, w tym ciemnym kościele. Zrozumiałam, że potrzebuję kogoś, kto mi pomoże, kto przeprowadzi mnie przez te ciemności. No, wiesz: depresja, ten wewnętrzny ból, nadwrażliwość, zranienie z dzieciństwa, potem wypadek... Ale zaczęło do mnie docierać coś jeszcze. Że, że... że zawsze uważałam się za ofiarę, a sama też jestem winna... To była trudna myśl, ale dopuściłam ją do siebie. Może udało mi się to dzięki obecności innych ludzi w kościele. Uświadomiłam sobie, że... że ja się ucieszyłam ze śmierci Sławka i Agnieszki... Pierwsze, co poczułam, kiedy się o niej dowiedziałam, to była... wiem, to potworne... ale wtedy najpierw poczułam satysfakcję. Że mają za swoje. Bo im zazdrościłam. I nie umiałam wybaczyć Sławkowi, że to ją wybrał. A Agnieszce nie umiałam... nie chciałam wybaczyć, że mi go zabrała... I wiesz, wtedy, w tym ciemnym kościele zrozumiałam dar zbawienia. Widziałam, jak Jezus wchodzi w to moje bagno, w ciemności, w mój grzech i ból. I one go zabijają. Jezus umiera, a ja się wynurzam i oczyszczona wychodzę na światło. A kiedy wniesiono tę świecę, poczułam... uwierzyłam, że On poradził sobie z tym wszystkim, że zmartwychwstał.

– Alleluja! – zawołał Marcin z powagą.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu i słuchaliśmy grania pasikoników.

– Zaraz po świętach poleciałam do spowiedzi. Ksiądz Andrzej się śmiał, że zwykle ludzie spowiadają się przed świętami, a nie po, ale w jego oczach było tyle akceptacji, że nic nie mogło mnie powstrzymać. O rany, co to była za spowiedź! Pierwsza po tylu latach. Gdyby nie ona, chyba nie poradziłabym sobie z odrazą do samej siebie. A dzięki spowiedzi mogłam wyznać swoje paskudne myśli, Bóg mi

przebaczył i ja przebaczyłam sama sobie... Marcin?

– Tak?

– Nie brzydzisz się mną? Nie boisz się mnie?

– Ja miałbym się tobą brzydzić? Miałbym się ciebie bać? Tajny agent niczego się nie boi.

– A co do brzydzenia się, to wiesz co? – odezwał się po chwili. – Teraz ja ci coś opowiem. Byłem... jestem alkoholikiem. Teraz już trzeźwym, od trzynastu lat, ale kiedyś... Mama rozpaczała, że poszedłem w ślady ojca, a ja tylko się śmiałem. Wierzyłem, że mam wszystko pod kontrolą. Ojciec to był menel, ochlaj i dno, a ja byłem po prostu rozrywkowym chłopakiem, fajnym gościem. Dobrze się bawiłem i tyle, tak mi się wydawało. I oczywiście straciłem kontrolę, nawet nie zauważyłem kiedy. Chodziłem do technikum budowlanego, ale właściwie więcej nie chodziłem, niż chodziłem. Zawaliłem praktyki, majster wyrzucił mnie z fuchy. W końcu nie miałem za co pić i stawiać kumplom, dziewczyny zaczęły się mnie bać... I wtedy ojciec się mną zajął. Wprowadził mnie w środowisko, wiesz, takie drugie dno Samulek. Bimber, rozboje, chłanie w krzakach, rzewne opowieści o paskudnym losie... A potem zmarł. Była zima, zgubił się po drodze do domu, zasnął w zaspie i zamarznął. Znaleźliśmy go po dwóch dniach... Śnił mi się potem miesiącami, noc w noc, z tą butelką w zamarniętej dłoni.

– I wtedy przestałeś pić?

– Wtedy zacząłem przestawać... I co? Nie brzydzisz się mną? Nie boisz się mnie?

– Marcin! Ja miałabym się tobą brzydzić? Miałabym się ciebie bać? Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, którego ani trochę się nie boję.

Pojechaliśmy dalej. Minęliśmy rondo w remoncie, kolejną wioskę i następną, kolejne lasy, pola i krzyże z wstążkami. Tylko kur tym razem nie było, pewnie już spały. Jechaliśmy powoli, nie spieszyło nam się. Jeśli o mnie chodzi, moglibyśmy tak jechać ze trzy stulecia. Uhm, to znaczy, może z przerwą na siku.

– Zatrzymamy się gdzieś na chwilę? – spytałam nieśmiało.

– Jasne – powiedział Marcin. – Z tego, co pamiętam, gdzieś tu zaraz była całkiem fajna restauracja.

I rzeczywiście, nie minęły dwie minuty, a zajechaliśmy przed nieduży parterowy dworek.

Wychodząc z łazienki, owinęłam się chustą. Marcin solidarnie zapiął swoją czarną bluzę, prawie pod szyję, tak że wystawał tylko skrawek białej koszulki.

– Zjemy coś, proszę księdza? – zachichotałam.

– Z przyjemnością, siostró.

Usiedliśmy przy stoliku. Kelner wręczył nam menu tak uroczyście, jakby był to co najmniej patent szlachecki.

– Na co ksiądz ma ochotę?

Kelner obrzucił nas zupełnie nieprofesjonalnym spojrzeniem.

– Niech siostra wybierze pierwsza.

– Długo byłeś w seminarium? – zapytałam, gdy już złożyliśmy zamówienie.

– Trzy lata. Kiedy ksiądz Andrzej pomógł mi się pozbierać, jeszcze zanim poznałem chłopaków z AA, postanowiłem zostać księdzem. Powiedziałem mu o tym, pewien, że mnie pochwali, że będzie ze mnie dumny. Uśmiechał się, widząc mój zapał, ale szczerze odradzał. „Zanim zaczniesz prowadzić innych, znajdź samego siebie”, powtarzał. Naciskał, żebym najpierw skończył technikum. Potem pilnował, żebym nie zrezygnował z AA. I chociaż zrobiłem maturę i zdałem na studia, wciąż był przeciwny. Ale ja myślałem, że wiem lepiej, i po studiach poszedłem do seminarium. Na czwartym roku naszym ojcem duchownym został ksiądz Mirek.

– Ten, co jest teraz proboszczem?

– Tak. Wystarczyło mu kilka tygodni, żeby mnie rozgryźć. „Synu, ty nie masz powołania do kapłaństwa – powiedział wprost. – Usiłujesz wyrównać rachunki, swoje i ojca. Chcesz odpokutować i udowodnić, że jesteś coś wart. Tyle że sam w to nie wierzysz”. Miał rację. I zasugerował, żebym dał spokój z seminarium, a za to poszedł na terapię. Posłuchałem. Już wtedy przeczuwałem, że to dobry wybór, ale teraz...

Znajomym gestem poprawił grzywkę. Błysnęła ta dziwna obrączka na jego dłoni. Podniósł na mnie uśmiechnięte oczy.

– Teraz jestem pewien, że nie mogło się lepiej złożyć. Że Bóg zaplanował dla mnie coś innego. Bo...

Wstrzymałam oddech, ale w tej chwili pojawił się kelner z apetycznie przyrumienioną, smakowicie pachnącą kaczką, która całkowicie pochłonęła uwagę Marcina.

– To pamiątka z seminarium? – spytałam przy deserze (szarlotka na ciepło z lodami), wskazując na obrączkę.

– Nie – odparł ze śmiechem. – To różaniec.

– Jak to? Przecież różaniec to takie długie, grzechoczące, z koralikami i z krzyżykiem.

– Popatrz – powiedział, zdejmując pierścionek i przysuwając się do mnie. – To są koraliki, a to krzyżyk. Wystarczy. A dzięki temu, że noszę go na palcu, nigdy go nie zgubię i nie zapomnę. No i jest dyskretniejszy. Można go odmawiać nawet podczas, na przykład, jakiejś nudnej konferencji.

– Albo śledząc wroga – uzupełniłam.

– Albo uciekając przed pościgiem.

– A skąd go masz?

– Kupiłem gdzieś w Warszawie, nie pamiętam dokładnie gdzie. Ale pamiętam, z jakiej okazji.

– A z jakiej?

Ciekawe, jakie są okazje inne niż pierwsza komunia.

– Z takiej, że oddałem swoje życie Jezusowi.

– Co?

– No, powierzyłem się Mu. Powiedziałem: „Panie Jezu, Ty za mnie umarłeś, przebaczyłeś mi, kochasz mnie. Chcę, byś był moim Panem, tylko Ty, nic innego i nikt inny. Oddaję stery swojego życia w Twoje ręce”.

– Tak się modlił ojciec Kavanagh... Oj, przepraszam, pewnie tego nie czytałeś.

– Czytałem – odparł Marcin z uśmiechem. – Czytałem wszystko, co wypożyczałaś. Poprosiłem Kingę, żeby odkładała mi do szuflady książki, które oddawałaś.

To dopiero tajni agenci!

Kiedy wychodziliśmy, kelner uklonił się i bardzo zadowolony z siebie powiedział:

– Szczęść Boże, zapraszamy ponownie, proszę księdza.

– Dogonili nas – zameldował Marcin, zerkając w lusterko wsteczne.
– O Jezu! – pisnęłam.
– Wyluzuj, dziewczyno. Dogonili nas, ale przecież nie złapali. Jesteś ze mną, więc spokój, jasne?

Obejrzałam się. Samochód był tuż za nami, tak blisko, że nie widziałam jego świateł. To mogą być nasze ostatnie chwile, muszę się spieszyć.

– Dlaczego myślisz, że dobrze się stało, że opuściłeś seminarium? Nie powiedziałaś, bo akurat przynieśli kaczkę.

Zerknął na mnie przelotnie.

– Bo Bóg chyba przewidział dla mnie coś innego.

– A co?

– Chwileczkę. – Wrzucił kierunkowskaz i zjechał na pobocze. Samochód, który jechał za nami, gwałtownie dodał gazu i nas wyprzedził, ryk silnika poniosł się ulicami spokojnego miasteczka. – Niech sobie jedzie, skoro mu się tak spieszy.

No kurczę, jak nie kaczka, to samochód. Chyba nigdy tego z niego nie wyciągnę. Jednak nie.

– Co Bóg dla mnie przewidział? Chyba taką jedną księgową. Zapaloną czytelniczkę. Czarnowłosą, smutną i wrażliwą. Z pięknymi brązowymi oczami, które często są pełne lęku, smutne i zniechęcone.

– I z grubym tyłkiem? – upewniłam się na wszelki wypadek.

– Z najpiękniejszym tyłkiem świata.

Hm, to chyba nie ja. Ale spróbujmy jeszcze raz.

– I bez biustu?

– Z biustem, ale niewielkim, eleganckim.

Masz ci los! I co mam zrobić z takim agentem specjalnym? Chyba będę musiała pójść na współpracę.

Samulki powitały nas ciepłym światłem latarni i kurantem z ratuszowego zegara. Właśnie minęła północ. Marcin zaparkował pod wiatą i zamknął bramę. Było bardzo ciepło i cicho, w powietrzu unosił się słodki zapach jaśminu kwitnącego w ogrodzie pani Mirki.

– No to lecę – powiedział Marcin. – Dziękuję, to była wspaniała wyprawa. Jechałem do ciebie jak po wyrok, jak na jakąś operację... A wracam jako najszcześniejszy człowiek świata.

– To niemożliwe. Ja jestem najszcześniejszym człowiekiem świata. Do jutra, tak?

– Do jutra!

– Idź już, jesteś pewnie bardzo zmęczony.

– Nie tak bardzo. Tylko trochę się boję, co zastanę w domu – parsknął

śmiechem.

– Jak to?

– Kiedy wracam z dłuższego wyjazdu, chłopaki zawsze robią mi jakiś kawał. Uwielbiają to, opowiadałem ci. Raz włożyli mi do łóżka żywego jeża, innym razem przyszyli kołdrę do prześcieradła. Różne takie. Za grosz szacunku do wuja nie mają! Pewnie za bardzo ich rozpieszczałem.

– Poradzisz sobie, mój agencie?

– Nie, no pewnie. Jutro ci opowiem, co wymyślili. No, to lecę.

– Dobranoc...

– Dobranoc, spokojnych snów!

Wiedziałam, że będą spokojne. I piękne.

Panie Jezu! Dziękuję Ci za wszystko. Ty mnie kochasz. Ty mnie zbawiłeś. Ty mi przebaczyłeś. Kocham Cię. Chcę Ci oddać swoje życie. Chcę, żebyś był moim Panem i królem. Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż Ty, nawet Marcin. Ale dziękuję Ci za niego z całego serca. I proszę, żeby w moim życiu wypełniała się Twoja wola. Amen.

Taką ułożyłam modlitwę i zapisałam ją sobie. Jutro wieczorem pójdę do kościoła i przeczytam ją na głos przed ołtarzem.

Piękny poranek. Słońce, lekkie figlarne obłoczki, delikatny ciepły wiatr niesie słodkie zapachy z ogrodu pani Mirki, który wygląda, jakby przed chwilą przebiegł przez niego szalony malarz.

– Chodź, Kajtek.

Pies ruszył przed siebie radosnym truchtem, ja za nim. Muszę kupić sukienkę na popołudniowy spacer z Marcinem. Letnią, kobiecą i koniecznie zwiewną. I koniecznie czerwoną. Rozmawiałam o tym przez telefon z dziewczynami, co do koloru były zgodne.

– Pamiętasz Juliannę z *Ani z Szumiących Topoli*? – zapytała Kinga. – Ona miała twój typ urody, no, może oprócz brwi, bo ty masz delikatne, a ona...

– Odstrasżające. Pamiętam. Więc czerwona, tak?

– Tak! – potwierdziła Kinga stanowczo.

– Tylko i wyłącznie czerwona – powiedziała Marzena. – Ciemnoczerwona jak wino.

Maja długo nie chciała ujawnić swojego zdania. Pewnie obawiała się mnie urazić, proponując inną kolorystykę niż ta, w której mnie zwykle widywała. W końcu, kiedy zagroziłam, że jeśli nie powie, to w ogóle nie kupię sukienki (też mi groźba), wyznała nieśmiało, że widzi mnie w ciemnej czerwieni wpadającej w bordo.

Iza, Kasia i Alicja miały podobne skojarzenia.

– Hiszpania!

– Flamenco!

– I krwistoczerwona róża we włosach!

No to kolor mam. Cóż. Teraz trzeba iść do sklepu, niestety.

Poszłam z Kajtkiem do centrum. Pilnie oglądałam wystawy, w nadziei, że właściwa sukienka zauważy mnie, zeskoczy z wieszaka i rzuci mi się w objęcia, krzycząc: „Ewka, ile ja się na ciebie naczekałam!”.

Nic z tego. Sukienki na chorobliwie chudych manekinach spoglądały na mnie z politowaniem i zdawały się mówić: „Czego tu szukasz, gruba beczko?”. Paskudy. Wcale nie jestem beczką, choć, co prawda, nie jestem także ponętą klepsydrą. Raczej słupem ogłoszeniowym. Albo, jeśli uwzględnić elegancki biust, wrzecionem.

Zirytowana zaprowadziłam Kajtka do domu i poszłam do centrum handlowego, żeby je szlag trafił, cholera jasna. Tłumy, hałas i rzeczy, rzeczy, rzeczy. Brr! Odwiedziłam trzy sklepy. Nic. I wtedy mnie olśniło. Już wiem. Usiadłam na ławce w pasażu i wyszeptałam:

– Panie Jezu, Ty jesteś moim Panem. Ufam Ci. Potrzebuję pięknej czerwonej sukienki. Wiem, że nie zajmujesz się modą, ale na pewno zajmujesz się mną. Więc

proszę o pomoc. Amen.

A potem weszłam do najbliższego sklepu. Na pierwszym z brzegu wieszaku wisiała dokładnie taka sukienka, jakiej potrzebowałam. Głęboka czerwień wpadająca w bordo, lekki materiał, falbana przy dekolcie, motylkowe rękawy, szeroki pas, długa rozkloszowana spódnica. Całość swobodna, ale subtelna.

Mam nadzieję, że spodobam się Marcinowi. Co tam nadzieję! Mam pewność.

Pani Mirka obejrzała mnie bezceremonialnie, ale życzliwie, i klepnęła po plecach.

– No, całkiem ładnie. Powodzenia! Ale kto to słyszał, z psem na randkę? Zostaw go.

Miałam nadzieję, że Kajtek, który właśnie zaaferowany obwąchiwał krawężnik, tego nie usłyszał.

– Do widzenia! – zawołałam pospiesznie i prawie biegiem ruszyłam w stronę parku.

– Ewa! – zawołał Marcin, podbiegł do nas, wyciągając ręce...

I o mało się nie przewrócił, bo Kajtek z radosnym popiskiwaniami rzucił się mu w objęcia.

Zmieszana odciągnęłam od niego psa. Marcin patrzył na mnie dość nieprzytomnie.

– Kurczę, tęskniłem...

Kajtek oburzony, że nikt nie zwraca na niego uwagi, skomlał, dyszał, popiskiwał i patrzył na nas z wyrzutem. Normalnie trzeba wezwać Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

– Dziękuję za kwiaty.

Kiedy wróciłam z porannego spaceru, kurier przywiózł wielki bukiet czerwonych róż. Jedną z nich wpięłam sobie we włosy.

Marcin trochę oprzytomniał. Wziął mnie za rękę.

– Dokąd idziemy?

Przebiegł koło nas Gienek w podkoszulku i szortach.

– Witam, pani Ewo! – rzucił w pędzie. – Witam szanownego Kajtka!

O Marcinie nie wspomniał. Popędził dalej, szurając klapkami.

Po spacerze zaproponowałam kawę u mnie.

– Ale najpierw do Łasucha po pączki – zarządziłam.

– A kurczak?

– Dziś nie będzie kurczaka. Tylko banalna kawa i pączki.

– Zgoda. O której idziesz do kościoła?

– Koło siódmej. Mamy dużo czasu.

Nad stawem spotkaliśmy Roberta z Bilbem.

– Cześć, Ewa! – zawołał wesoło i pochylił się, by pogłaskać mojego psa. –

Idziesz na spacer czy wracasz?

I ani słowa do Marcina. Dziwne.

– Robert, poznajcie się... – powiedziałam, wskazując na Marcina, który milczał, równie zdziwiony jak ja.

Robert nawet na niego nie spojrział.

– No dobra, muszę lecieć – pożegnał się i odszedł.

Patrzyłam za nim zdumiona. Ten kulturalny miły człowiek potraktował Marcina jak powietrze.

– Jezu, co z nim? – mruknął Marcin zaskoczony. – Przecież się znamy, od dawna...

Pokręcił głową.

– No, chodźmy po te paczki – dodał dziarsko, ale nic nie odpowiedziałam.

Poczułam znajomy ucisk między sercem a żołądkiem. Czy...

Bałam się myśleć dalej.

W Łasuchu musieliśmy stanąć w kolejce. Zaraz po nas weszły następne osoby. Obejrzałam się. O, siostrzeńcy Marcina! Szturchnęłam go. Chłopcy grzecznie się ze mną przywitali, a potem rzucili się głaskać psa.

– Dzień dobry! Cześć, Kajtek! Dobry piesek. A jaki mądry! Da mu pani nieść paczkę?

– Co jest, chłopaki? Nie widzicie mnie? – zagadnął ich Marcin, ale nawet na niego nie spojrzeli.

Marcin popatrzył na mnie zmieszany. Chciał coś powiedzieć, ale pani Małgosia akurat skończyła obsługiwać poprzednią osobę.

– Witam, pani Ewo! – zawołała serdecznie. – Ile paczków zapakować?

Zaschło mi w ustach. Serce biło szybko i głośno. Spojrzałam na nią bezradnie.

– Chcielibyśmy...

– A, to chłopcy są z panią?

Obejrzałam się. Siostrzeńcy Marcina patrzyli na nas zdumieni.

– My przyszliśmy sami, proszę pani. We dwóch. Mama prosiła...

– Chwileczkę – uciszyła ich pani Małgosia. – Najpierw obsłużę panią Ewę.

Więc paczki?

– Gośka – nie wytrzymał Marcin – jak pragnę zdrowia, co ty odstawiasz? Co to jest, żart, jakiś zakład, czy co?

Pani Małgosia nawet na niego nie spojrzała.

– Paczki? – ponagliła mnie. – Ile zapakować?

– Nie, nie... Dziękuję... Przepraszam. My... ja już pójdę.

– Co dla was, chłopcy? – spytała.

Wybiegłam na dwór, ciągnąc za sobą Kajtka.

– Ewa!

Marcin wyskoczył za mną i złapał mnie za rękę, ale mu się wyrwałam.
– Daj spokój. Wiedziałam. Nie dam rady. To za trudne...

Powoli nadchodził zmierzch. Na ziemi kładły się groteskowo długie cienie, powietrze jakby zmieniło kolor. Było ciepło, błękit nieba na wschodzie przechodził w szafir, a na zachodzie w róż i pomarańcz z czerwonymi, krwistymi smugami.

Zostało mi już tylko jedno. To wcale nie takie trudne, jak mogłoby się wydawać.

Wdrapałam się na strych. Wyciągnęłam z wielkiej walizki dużą walizkę, z dużej walizki średnią walizkę, ze średniej walizki małą walizkę. Jest. Błękitne pudełko ze słoiczkiem po kremie. A w nim grzechocząca śmierć.

Zeszłam ze strychu. Włożyłam pudełko do torebki. Dobrze, już pora. Nie przebrałam się po powrocie ze spaceru. Wyjęłam tylko kwiat z włosów i wyłączyłam telefon, bo ciągle dzwonił. Pójdę w tej radosnej czerwonej sukience. Tak będzie w sam raz.

– Zostań, Kajtek. Dobry, dobry pies.

Długo go głaskałam, tuliłam, klepałam po jedwabistym grzbiecie.

– Zostań.

Po drodze spotkałam chyba wszystkich, albo prawie wszystkich. Rudą Anię, hobbitów i Gandalfa, który przyglądał mi się uważnie spod krzaczastych brwi. W cieniu wierzby stał Halt. Hanka Borynowa rzuciła mi smutne spojrzenie i owinęła się chustą. Na trawniku zobaczyłam Jamesa z Samem, chodnikiem szły Emma, Eleonora, Marianna i Elżbieta. Na krawężniku siedział mój czarnooki nieznajomy, z okna na parterze wyglądała Gabrysia Borejko. Na jednej ławce siedzieli Barbara i Bogumił, na drugiej doktor Ransom, który odprowadzał mnie wzrokiem znad książki. Dalej pan Tadeusz, Gustaw-Konrad, Stanisław Wokulski, Kmicic, panna Marple, pastor Kavanagh, Scarlett O’Hara... I dziesiątki innych... Długi, milczący szpaler, którym szłam, słysząc tylko własny, huczący puls.

– Panie Jezu! Dziękuję Ci za wszystko. Ty mnie kochasz. Ty mnie zbawiłeś. Ty mi przebaczyłeś. Kocham Cię. Chcę Ci oddać swoje życie. Chcę, żebyś był moim Panem i Królem. Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż Ty. Wiesz o tym przecież. I proszę, żeby w moim życiu wypełniała się Twoja wola. Amen.

W kościele było pusto i cicho. Pachniało liliami.

Moje serce płakało z rozpacz i z tęsknoty za Marcinem, głowę wypełniały zamęt i ból, ale najgłębiej, w najskrytszym sanktuarium duszy, panował spokój.

Przypomniałam sobie uśmiechniętą twarz Jezusa, którą zobaczyłam przy tamtym przydrożnym krzyżu. Nie wiem, co to było: widzenie, sen, fantazja... Właściwie już nic nie wiem. Poza tym, że Bóg mnie kocha i chce mojego dobra. A ja Mu ufam. To On jest Panem, a nie ja. I moje życie i moja śmierć należą do Niego, nie do mnie.

Wstałam z klęczek, podeszłam do ołtarza i położyłam na nim pudełko po

kremie wraz z zawartością. Odwróciłam się, zesłam po schodkach i ruszyłam po lśniącej posadzce głównej nawy pod chór, do wyjścia.

A tam stał Marcin.

– Komu jeszcze herbaty? Ewa?

– Tak, poproszę, Aniu.

– Marcin?

– Tak, tak, ja też.

– Robert, jeszcze pączka? – zapytała pani Małgosia, która ufundowała kopę pączków.

Lekarz z udawanym niepokojem spojrział na żonę.

– Kasiu? Mogę? To byłby czwarty...

– Za to, co zrobiłeś, powinieneś mieć zakaz do końca życia – powiedziała Kasia i popatrzyła na mnie serdecznie. – Ja nie wiem, jak Ewa to w ogóle przeżyła. Jesteście bez serca! Wszyscy!

– To był tylko taki żarcik! – zawołali żałośnie siostrzeńcy Marcina. – Wujek się żalił, że pani Ewa w niego nie wierzy, no to namówiliśmy wszystkich, żeby udawali, że go nie ma.

– Powiedzieli, że się z nim założyli – tłumaczył się Robert. – Przecież w życiu bym tak sobie z Ewy nie żartował.

– Tak mnie nabrali, mój Boże – lamentował Gienek. – A wyglądali na takie niewiniątka! Patrzyli mi prosto w oczy i tłumaczyli, że to eksperyment do szkoły. Jaki tam eksperyment! Głupi kawał. Dobrze, że Marcin zawału nie dostał z tych nerwów.

– Barany! – mruknęła Ania, patrząc surowo na synów.

– Ale mam, bo my się chcieliśmy zemścić za te wstrętne mięsne pączki. Pani Małgosia od razu się zgodziła!

– Bo byłam pewna, że Ewa wszystko wie! Chłopcy, czy wy rozumiecie, co ona przeżyła?

Patrzyli na mnie wielkimi oczami. Nie rozumieli.

– Jeszcze się z wami policzę – warknął Marcin.

– O rany, wujek! Nie wystarczy ci, że do końca roku mamy szlaban na słodczyce i zero kieszonkowego?

– Nie – Marcin zmroził go spojrzeniem. – I nie zapominajcie o myciu samochodu, dyżurach w fundacji pana Janusza i zbiórce pieniędzy na studnię w Sudanie.

Chłopcy spojrzeli na mnie tak, że prawie pękło mi serce.

– Marcin, daruj im – szepnęłam. – Przynajmniej to kieszonkowe, przecież zaraz wakacje...

– Zobaczymy – uciał.

Od kiedy wyszliśmy z kościoła, nie puszczał mojej ręki. Jeszcze nie doszedł

do siebie. Ilekroć spojrział na Kubę i Maćka, zaciskał zęby. Mruknął coś niewyraźnie.

– Słucham?

– Potwory.

Potwory siedziały przy stole jak anioły.

Pan Janusz opowiadał Kasi, jak śledził mnie na prośbę Marcina przerażonego tym, że nie odbieram telefonu.

– Miałem czuwać z daleka – tłumaczył – żeby nic jej się nie stało. – (Czytaj: żeby nie zrobiła niczego głupiego). – Zadzwoiłem do niego, kiedy się upewniłem, że jest bezpieczna w kościele.

Marcin skinął głową, a Ania z troską spojrzała na jego włosy.

– Chyba troszkę posiwiałeś – szepnęła na wpół żartobliwie.

– A co tam. Mogę całkiem osiwieć albo i wyłysieć, byle tylko...

Urwał. No tak. Mój małomówny mężczyzna. Podniosłam się i ucałowałam go w czubek głowy.

Nie będzie miał więcej powodów do siwienia. Już ja o to zadbam.

Copyright © by Kinga Facon

Opieka redakcyjna: Małgorzata Olszewska

Redakcja tekstu: Helena Sztajn

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Kopec-Śledzikowska / Wydawnictwo JAK

Korekta: Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

Łamanie: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: kobieta – © iStockphoto.com / Erik Khalitov,

krajobraz – © iStockphoto.com / gkwt1

Fotografia autorki: Tomasz Facon

ISBN 978-83-7515-739-0



www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. (12) 427 12 00

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com